MEMORYALIK

PALESTRANTA TRYBUNALSKIEGO.

PRZEPISAŁ

PIOTR JAKSA BYKOWSKI.

KRAKÓW I WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1885.

Osobna Odbitka z „Gazety Krakowskiej“.

– Druk Wł. L. Anczyca i Sp., pod zarz.

(*).... Reasumując tę moją nieszczęsną dolę, pytam sam siebie, za co to nad nią jakieś fatum zawisło, czyli kur zapiał, kiedym na ten padoł płaczu przychodził, a wcale niepotrzebnie. Wprawdzie piastunka moja utrzymywała, że puszczyk huknął przeraźliwie; snadź tak mi los mój zahuczał, że dotąd mi się cale nie wiodło i to trojako, czyliżby to było według przypowiastki do trzech razy sztuka, a potem wyjdę na ludzi, lub może nic ze mnie nie będzie? czas to pokaże...

A może mię prześladuje przeciwność losu, lub niesprawiedliwość ludzka? Bo niechże tu kto powie, czy już tak lichy był ze mnie gospodarz? przecie rolę uprawiałem co się zowie, lege artis, wedle instrukcyi Oekonomiki Hamira, zboże się rodziło, inwentarz się chował etc. etc., czegóż więc odemnie chciano?... Aż tu mi pan ojciec

* Brak początkowych kart rękopisu.

zaczął jakieś grzechy *Adamowe* wyrzucać: jakoby moja wina, że krowy obmal mleka dają, i że przy wydoju miałem pilniej poglądać na dojące, niż dojone, a następnie iżem owym pierwszym zanadto miał folgować przy pieleniu pszenicy, której daleko mniej się przy zbiorze okazało niżli kąkolu, a nakoniec inkryminowano mi przy prządkach jakiś niedozór czy zbyteczny dozór... już nie wiem... Ale tak *paulatino summa petuntur*, tak się tych domniemanych kryminałów nazbierało, że pan ojciec zrezolwował przerzucić mnie od lemiesza do szerpentyny.

Wolę zamilczeć, jakie to tam było intermedium przy zmianie karyery, wiem tyle, że zapas rodzicielski na drogę był tak hojny i obfity, iż wierzchem nie byłem w stanie dojechać dziewięć lekkich mil od Zbaraża, gdzie kwaterowała owa chorągiew moja, przyszła *alma mater*, musiano mnie dowieźć na wozie, — ale nie ma o czem powiadać, bo się wygoiło.

Przynajmniej w chorągwi zdawało się już, żem dopiero trafił na to, do czegom stworzon; polubili mię towarzysze i pan Namiestnik był łaskaw; wierzchem jeździłem, jakbym przyrósł do konia, strzelałem celniej od całej chorągwi, a bywało gdy się zjadą do p. Namiestnika goście, to on dla zabawienia ich krzyczy:

— A wołać mi Nikodema!

A potem do mnie zdrobniale.

— Ano Nibuś wywiedźno nam kurcząt!

Ja wiedząc już o co chodzi, miałem zawsze na pogotowiu parę pistoletów nabitych a dobrze opatrzonych, żeby który na panewce nie spalił i konfuzyi mnie, a co gorsza p. Namiestnikowi przy gościach nie narobił; rzuci mi tedy p. Namiestnik parę jaj do góry, ja traf! paf! i rozbije w powietrzu. Dalej kompania sobie rzucać, czasem kopę natłukę, a dla krotofili p. Namiestnik każe postawić kilka balij, a ja tak strzelam, żeby tam jaja wpadały i dopieroż uciecha, gdy z tych moich kurcząt przysmażą sobie jajecznicy z kiełbasą i raczyć się zaczną, a potem odwilżać, żeby nie szkodziło, a mnie wezmą pomiędzy siebie, bo chociaż byłem gemajnem, tylko prosty towarzysz, ale dla tych strzałów dopuszczali mnie do swej konfidencyi.

A gdy się to bywało skończy, znów nowa zabawa, a wystąpi pan Namiestnik:

— Ano teraz Nikusiu, możebyś nam zrobił zrazów, bo po samych jajach jakoś czczo w żołądku. Powiadam waszmościom, że Nikuś to nasz wielki kuchmistrz chorągiewny!...

— Ano zrazów — wołała rozochocona kompania.

Ta sztuka zależała na mojej zręczności w fechtunku; że to gośćmi zazwyczaj byli pp. oficerowie lub namiestnicy konsystujących w sąsiedztwie chorągwi, a wszystko stare wygi rębacze, więc

z niemi trzeba się było bić, ale do tego rychtowano już osobne drewniane pałasze, posmalone na klingach, a występujący przywdziewali białe kitle, tak, że każde cięcie odrysowało się na nich jakby inkaustem. Dopieroż to była pociecha, gdy zaczną one zrazy siekać, wszakże z góry było zawarowane, że „do trzech razy sztuka“, a po trzecim szramie, każdy ustępował miejsca nowemu, wściekali się od złości, a im w większy ferwor wpadali, tem snadniej tłuc mi ich było, z zimną krwią, aż kiedy już wszystkich osmarowałem, a sam byłem w bieli jak panna młoda do ołtarza, znów p. Namiestnik drwinkuje sobie z pobitych.

— Otóż to mi kuchmistrz mosanie, tyle zrazów nasiekał i ani jednej plamki na fartuchu, to właśnie sztuka!

Żeby zaś tę konfuzyę nieco ukonsulować, już uprzedzony ordonans wnosił ogromną misę zrazów i trunek; zasiadali wszyscy z kwaśnemi minami, a pan Namiestnik sadzając mię wedle siebie, facecyonował:

— Ano jest gadka „Maciek zgotował, Maciek zjadł“, a czemuż nie miałoby tak być z Nikodemem, siadaj tu waszeć z nami.

Jakoś po jednej, drugiej czarce rozchmurzali się moi nasiekani i czyja kolej była goszczenia, że do siebie inwitował, zawsze powiadał do mojego Namiestnika:

— Ano nie zapomnij jegomość wziąść ze sobą

kucharza, może tam kiedy i z niego zraza zrobimy.

Było mi w chorągwi jak w raju, już przyszedłem do tej stanowczej konwikcyi, że dla niej mię Bóg stworzył, i że nigdy wojskowej karyery nie porzucę, a do tego szło mi wszystko jak po maśle, bowiem wezwał chorągiew na koło do Międzyborza nasz rotmistrz, którym był Imć książe Czartoryski wojewoda ruski, już za parę miesięcy mieliśmy wystąpić i szykowaliśmy się na paradną prezentacyę, a pan Namiestnik dał mi parol wobec swojej kompanii „jajeczno-zrazowej“, że mię zaforszteluje przed Księciem rotmistrzem na subalterna oficera, a wiedziałem, że mię to nie chybi, bo Namiestnik miał wielkie fawory u Księcia Jegomości; wyznam również *salvo ambitione*, że już mię ramię tak świerżbiało do szlify.

Wszystko się jakoś najpomyślniej składało, gdyby nie te przeklęte samice, i jak w domu stałem się upadłym aniołem przez krowę, tak w chorągwi przez kobyłę!...

Gdybyż to jeszcze jak mówią „nie żal spaść z dobrego konia!“ ale to kobylisko stare, do niczego i ta mi powaliła całą świetnie rozpoczętą karyerę, a rzecz tak się miała:

Pan Namiestnik posiadał klacz dropiatą, którą co prawda, po Bogu i chorągwi, miłował nadewszystko na świecie — i temu jednak nie prze-

czę, żem przez nią zaskarbił sobie łaski namiestnikowskie, bom ją umiał zażyć, manożować, rozumie się oględnie, a ostrożnie, bo próżniak był wycacany z tego wierzchowca, zapasionego — *stricte* szeregowy koń, ale co prawda pokaźny przed frontem, a znał komendę *expedite*, lepiej od starych wiarusów, tak, iż zatknąwszy uszy, siedź sobie, choć drzem na siodle podczas musztry, a zawsze cię zaprowadzi, gdzie należy; ja też ujeżdżając z całym respektem tę randrygę, oszczędzałem o ile możności przez wzgląd na pana Namiestnika i jego łaskę.

Już za tydzień mieliśmy wyruszać na koło; pan Namiestnik chuchał na swoją faworytę, sam zgrzebłował własnoręcznie, dobierał jakichś szczególnych obroków, bo tembardziej chciał klacz piękniej zaprezentować, że pochodziła ze stada i z daru Księcia Rotmistrza.

A tak się niefortunnie złożyło na moją zgubę, że jak w domu były krowy i dojarki, tak tu dla jakiejś fatalnej symetryi, była klacz p. Namiestnika i Salusia, córka komisarza Lubomirskich, wabna dziewczyna, jakich się nie wiele spotyka na świecie. Ja niby furażerując dla chorągwi, często u niej przesiadywałem i nie była mi bardzo krzywą; a kiedy przewidywało się dłuższe rozstanie z racyi owego koła, zafrasowała się nie na żarty niebożą, trzebaż było jakoś pocieszać: o zmroku kiedy capstrzyk otrąbią, ja szust z obo-

zu — i z Salusią nucimy sobie pożegnalne pieśni, aż gdy drugi kur zapieje, znów dopadnę szkapy i na ranną pobudkę już „gotów do apelu". Zamordowałem moje szkapsko na niwecz, a tu już dwa dni do wymarszu, Salusi zaś dałem parol, że ją jeszcze raz pożegnam — myślę sobie, niech moja szkapa choć dzień przed drogą wypocznie, bo jako forsztelowany na oficera, będę musiał na niej paradować przed Księciem — co się stanie tej kufie namiestnikowskiej (tak zwaliśmy klacz w chorągwi), że ją trochę przespaceruję?...

Stało się! pojechałem na kobyle do Salusi, pożegnałem jak należy, wracam sobie co rychlej do obozu i wszystko zdawało się jak najlepiej... aż tu kobyła ochwaciła się i djabli nadali, zdechła przed samym wymarszem! To już czysto moje nieszczęście, bo proszę, pięć mil lekkich drogi tam i napowrót, chyba taka głupia kobyła mogła zdechnąć od tej bagateli!...

Wszystko wyszło na wierzch jak oliwa. P. Namiestnik rozpaczał jak po rodzonej matce; gdybyż to jeszcze było poczem?... ale kobylisko stare lat czternastu do niczego!...

Nie starczy mi serca rozwodzić się nad fatalnemi skutkami téj katastrofy — zapiszę je w dwóch słowach: chorągiew, na której czele jechał p. Namiestnik na moim poczciwym bułanku, w zamian za nieboszczkę kobyłę, wymaszerowała na prawo, a ja zostałem na lewo z abszytem... a nic

nie pomogły żadne submisye i instancye, bo p. Namiestnik strasznie sierdzisty, rozdrażniony żalem po ciężkiej stracie, był nieprzebłaganym i słyszeć żadnej amnestyi nie chciał.

Tak to się pięknie ukończyła świetnie zapowiadająca się moja karyera wojskowa!

Nie koniec wszakże na tem, ale stałem długo wśród drogi, posyłając wzrok utęskniony za moją niegdy chorągwią, szparko maszerującą z wielkiemi nadziejami na koło chorągiewne, a ciągle przebiegały mi w skołatanej głowie jakieś płonne nadzieje:

— Ano jeszcze po mnie wrócą, jeszcze mnie zawezwą, przecież p. Namiestnik tak mię lubiał.

Aż gdy tumany kurzu zakryły mi chorągiew przed wzrokiem załzawionym, wyznam to ze wstydem, natenczas dopiero z uciśnionej frasunkiem piersi, zadałem sobie to pytanie:

— Gdzie ja się teraz podzieję?

Dla każdego innego na mojem miejscu, byłaby odpowiedź gotowa.

— A dom rodzicielski!

Tak, to prawda dla każdego innego, ale nie dla mnie, bo trzeba było znać ojca jako był surowy, zacięty w gniewie, a w swoich postanowieniach słowny i stały. Do tego przyszło mi na myśl nasze z nim rozstanie, wcale nie dobrze rokujące dla mnie w obecnej chwili: kiedy ojciec odwiózł mię sam do onej mojej chorągwi — czyli

niestety — dziś już ex-chorągwi, — prawda, że mię oporządził jak jakie paniątko, sprawił cały moderunek wojskowy jak z igły, dał mi dobrego konia podjezdka, sprawiedliwiej mówiąc ex-konia, gdyż ten już poszedł w zamian za zdechłą *kufę* namiestnikowską; przy rozstaniu, które bacząc na surową i zimną naturę mojego ojca, było dość czułe, wręczając mi ojciec 50 dukatów w złocie, rzekł:

— Wysztyftowałem cię należycie do wojska, że nawet obok senatorskiego synka nie zarumieniwszy się możesz stanąć w szeregu, masz jeszcze oto, aby ci na nieprzewidziany wypadek starczyło; służ dobrze, bądź pilny, a posłuszny, chcę bowiem, abyś został oficerem, wtedy dopiero możesz synku stanąć przedemną, a do tego czasu zapomnij, że masz ojca i dom, i nie pokazuj mi się na oczy... podobnież i ja nie będę o tobie pamiętał, jakbyśmy się nie znali i byli dla siebie obcymi.

Po tej apostrofie, padłem do nóg ojca, zapewniając go, iż wszelkich starań dołożę, aby rychło zarobić stopień wojskowy, już dla tego samego, abym dostąpił szczęścia oglądania go.

— Daj to Boże! niech cię Bóg błogosławi, a dopomaga w dobrej imprezie... pamiętaj wszelako, że słów na wiatr nie rzucam i z gęby cholewy nie robię, a gdybyś się pokazał w domu bez szlify, odejdziesz z niczem od wrót!

I mówił ojciec ze zwykłą sobie surowością, jużto jednak ucałował mię w głowę, a to bodaj po raz pierwszy od lat dwudziestu, alias mojego urodzenia.

Takie było rozstanie moje z ojcem, którego chybabym nie znał, ażeby mi mógł przyjść na myśl teraz powrót do domu.

Goły — bo już po tych dukatach rodzicielskich i słodka pamięć minęła, rozglądałem się po szerokim świecie z ciężką zadumą co pocznę, gdzie kroki moje skieruję; jużci tak pomyślałem — stać tu do końca świata nie będę i poszedłem... dokąd?... gdzie nogi poniosą jak to mówią, a tak postępując na oślep po drodze zafrasowany, nie wiedziałem w rzeczy, dokąd zdążam. Aż ku wieczorowi coś mi zamajaczyło przed oczyma, które na nie zdawały się nie patrzeć, ciekawy gdzie jestem, pierwszy raz oglądałem się do koła — byłem w Dederkałach i stałem tuż przed kościołem OO. Reformatów.

Kościół to był najbliższy od leż naszej chorągwi, towarzysze nie często tam zaglądali, a pan Namiestnik, który więcej miał nabożeństwa do flaszy i kart, jeszcze rzadziej; ja że przez matkę chowany w zasadach gorliwej pobożności, nigdy prawie w niedzielę i święta mszy ś. nie opuściłem, a często gęsto i posłużyłem do niej, do tego jeszcze czystym basem pieniom nabożnym wtórowałem, a zawsze modliłem się ze skruchą, jak

prawowiernemu przystało; za toż miałem mir wielki w konwencie i zawsze po nabożeństwie musiałem się stawić do refektarza na tak zwany *pierniczek*, rozpoczęty od gdańskiej wódki z nieodzownym piernikiem, a zakończony całym sutym obiadem. Wszyscy mnisi począwszy od gwardyana bardzo mię lubili.

Kiedy teraz stanąłem przed drzwiami kościoła, były otwarte, jako bowiem w dzień sobotni odprawiały się nieszpory.

Przed kilku jeszcze godzinami, to jest przed onym nieszczęsnym abszytem z chorągwi, anibym się zawahał, a wszedł prosto do kościoła, teraz wstrzymywała mię konfuzya i wstyd, jak się to Bogu pokazać abszytowanym? Przyczyniła się jeszcze i ta konsyderacya przyzwoitości, którą i regulamin nasz wojskowy obejmował, ażeby bez paradnego munduru i bez szabli do kościoła nie wchodzić — ja zaś miałem na sobie kitel pochodny, ale broń i wszelkie rynsztunki odebrano mi przy udzieleniu abszytu, a wyglądałem nijako. Pomimo to taka mię chęć wzięła pomodlenia się i myślałem sobie, że „Bóg nie wymaga po grzeszniku szabli ino serca skruszonego“, a wciągniony jakąś nieznaną siłą, wszedłem do kościoła, a ukląkłszy przy samych drzwiach, jąłem się gorąco modlić; nie dotarłem nawet do prezbiteryum, gdzie dla faworu ojców zakonnych wstęp miałem wolny.

Jak długo się modliłem, nie pamiętam, a jakbym się jeszcze długo modlił, powiedzieć nie umiem; jedno to wiem, iż zdało mi się, że jakoby kościółek ów był portem pożądanym, do którego dobiłem i ruszać mi się ztąd nie chciało, bo w istocie zapytanie „dokąd?“ w obecnem mojem położeniu zostawało bez odpowiedzi.

Z tego stanu otrętwienia wyrwał mię brzęk dużych kluczy, a znany to był sygnał brata zakrystyana Daniela, który po każdem nabożeństwie, przed zamknięciem kościoła w ten sposób zapóźnionych wiernych wypraszał.

Ockniony na ten znak jakby ze snu, przypomniałem sobie moją smutną pozycyą, ciągnącą mię do unikania ludzi i już uczyniwszy na „lewo w tył“ chciałem zmykać przed bratem Danielem, gdy ten stojąc przedemną, swoim odwiecznym zwyczajem, skrzypnął tabakierą i wymówił sentencyą, którą prawie od wieku zakonnego żywota do otwartej tabakiery stosował:

— „A nie bądźże taki, zażyj tabaki“ — czemu zawtórowawszy sakramentalnym śmiechem, dodał:

— A cóż to kawalerze, uciekasz przed reformatorami, czy my tatary? Ojciec gwardyan widział waćpana w kościele i czeka z wieczerzą.

Ten wyraz *wieczerza*, w obecnej chwili mający dla mnie coś magicznego, wpadł mi przez słuch aż do głębi kiszek i obudził we mnie uśpione czasowo frasunkiem poczucie głodu, bo od ab-

szytu, tj. od wschodu słońca niczego do ust nie włożyłem. Bez namysłu, rozumie się po zażyciu tabaki i kilkakrotnem kichaniu, co wszystko niezmiernie kontentowało staruszka brata Daniela, udałem się do refektarza.

Już tam bracia zakonna była zebrana dla wieczornego posiłku. Gwardyan powitał mię w progu kardynalnie jak zawsze i zaraz dał znak jednemu z braciszków do uderzenia w blachę dla rozpoczęcia przeducztowego „*Benedicite*“. Wszyscy stanęli szeregiem przy długich stołach i powtarzali za przełożonym modlitwę.

Nigdy nie zapomnę tego refektarza; była to izba długa, bardzo schludna, wszystko w niej świeciło czystością i pokojem; dokoła ścian zawieszonych obrazami były ławy szerokie dębowe już na zawsze przymocowane, przy nich takież stoły grube zasadne z jednej sztuki wyciosane, a długie, bo pięć ich zajmowało trzy ściany obszernej izby, pod stołami przez całą długość znajdowały się piasecznice z białym, czystym piaskiem; na wszystkich sprzętach połysk starego dębu, niczem nie naśladowany, pięknie odbijał; przed każdym stołownikiem leżała zwinięta szczególnym zakonnym sposobem serweta, wewnątrz kęs chleba, a na wierzchu w skórzanym pokrowcu nóż, widelec i łyżka rogowa, bo używania metali, szczególniej droższych, reguła im zabraniała; przy każdem nakryciu znajdowało się dwa duże kufle,

jeden z wodą a drugi z piwem, które się w klasztorze warzyło; przeducztową wódeczkę każdy dostawał w *kanafie*, tak się zwała śpiżarka tuż przy refektarzu, pełna różnych przysmaków i płynów, będąca pod zawiadywaniem brata kanafarza.

Przy każdem jedzeniu zachowywano wedle reguły *silentium* (milczenie) i jeden z kolei czytał excerpta z Pisma Św., inni jedząc słuchali. Atoli sam gwardyan O. Abdon był w duszy wielkim nieprzyjacielem onego *silentium* a że miał prawo zwalniać z niego, więc zaraz zasiadając rzekł do czytającego:

— *Cesse frater, in gratiam gości dispensatur silentium.*

Bracia pokłoniwszy się starszemu, wesoło sobie gwarzyć zaczęli. Taki zwyczaj był, że przełożony siadywał przy poprzecznym stole, a przy nim goście, skoro się nadarzyli; my tedy we dwóch z ojcem Abdonem zasiedliśmy u osobnego stołu. Co było milszego, że dyspensa od *silentium* pociągała za sobą lampeczki z miodem, które kanafarz natychmiast ponalewał i począł roznosić, przed nami postawiono omszałą flaszkę. Z drugiej strony okienka kuchennego braciszkowie pospieszyli zabierać na dużych deskach podzielone już porcye w glinianych misach i rozstawiali po stołach według starszeństwa.

O ile przypominam, rzuciłem się na jadło, jak dziki zwierz, co zauważywszy O. Abdon, powiedział:

— Chciałem to ja kawalerzę korzystając z dyspensowanego *silentium* pogawędzić cośkolwiek, bo to u nas *vive* reguły zakonnej tak się mało mówi, że człek mowy zapomnieć może, ale widzę, żeś głodny, więc nasyć się z Bogiem, a potem pójdziem sobie do ogrodu.

O. Abdon, co to „mało mówił *in vive* reguły zakonnej“, był maleńki suchy staruszek, nadzwyczaj ruchliwy, bardzo wesoły i żywy — tyle co do oznak powierzchownych — wszakże musiał posiadać i zalety wewnętrzne, kiedy już od lat dwudziestu gwardyanował konwentowi w Dyderkałach — w istocie jak go bliżej poznałem, był skrzętny, zapobiegliwy, gospodarny, a w ogóle o dobro klasztoru dbały; jedną miał nie powiem wadę, boć to rzecz niewinna, więc niech to sobie będzie właściwość, że mówił bardzo dużo, a nieustannie i usta mu się prawie nie zamykały, przeto zawsze narzekał na paragraf reguły zakonnej o milczeniu i w przysłowie mu weszło „gdyby nie one zakonne *silentium*, wieleby się powiedziało“; zresztą był człek na swojem miejscu, jako przełożony, surowy gdzie tego była potrzeba, wyrozumiały, łagodny i do tego przykładny, co się wielce w duchownym a przełożonym ceni.

Że pora była letnia, a wieczerza odbywała się o 6-tej godzinie wieczorem, więc po rychłem jej ukończeniu, udaliśmy się z O. gwardyanem do ogrodu. Do dziś zapamiętałem naszą pierwszą rozmowę, która niespodzianie wpłynęła na moje losy ówczesne; wiedzieć należy, iż gwardyan mawiał prędko, nie czekając odpowiedzi, sam sobie replikował, mowę zaś swoją gęsto szpikował przysłowiami, lub cytatami z pisma ś. polskiemi i łacińskiemi. Oto nasza rozmowa:

— Czemuż to mam przypisać miły kawalerze, iż cię oglądać mam szczęście, przecie wasza chorągiew już wymaszerowała do Międzyborza, a przed paru dniami sam ci dawałem błogosławieństwo na drogę, co ci się chwali, iżeś żądał poczynać z Bogiem, bo jest powiedziano: „*Benedictus, qui venit in Nomine Domini*“ [1]), *ergo* dlaczegóżeś nie poszedł, kiedyś jest *benedictus*, bo aczkolwiek ja tam tej waszej chorągwi nie jestem miłośnikiem, boć to heretycy i ateusze, a na czele ich ten stary libertyn Namiestnik, co nawet w uroczyste święta nosa do kościoła nie wściubi, ale zawsze obserwując z innego punktu, przysłowie twierdzi: *kiedyś grzybem, to leź do kosza*, a *probabiliter* zostałbyś oficerem, tak to utrzymywano, a chociaż wszystko *vanitas vanitatum*, wszelako to jest dystynkcya „gdyby nie owo za-

[1]) Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie.

konne *silentium* wieleby się powiedziało"... a więc waść mówisz, że nie poszedłeś z chorągwią? hę?

— A tak...

— Tak powiadasz, to dobrze... a dlaczego to nie poszedłeś razem?... Więc powiadasz z prorokiem: „Zejdę z dróg bezbożnych potępienia", toć się chwali kawalerze... i wołasz z mędrcem Pańskim: „I nie powrócę na ścieżki zatracenia"... tak powiadasz, bardzo chwalebnie — „gdyby nie owo zakonne *silentium*, wieleby się jeszcze powiedziało"... a więc rzekłeś, żeś wystąpił z tej chorągwi zatracenia, tak mówisz... wystąpiłeś hę!...

— Tak to jest...

— Ślicznie kawalerze i bogobojnie, iżeś opuścił ową *spelunca latronum* [1]), bo i psalmista twierdzi: „*Beatus vir, qui non abiit in consilio inpiorum*" [2]). Ha i ty tak powiadasz? boć to się zawsze modliłem: *ut Deus liberat ab insidiis diaboli* [3]). Więc powiadasz, że Bóg miłosierny wysłuchać raczył mnie niegodnego sługę i uwolnił cię *a spiritu fornicationis* (od ducha nieczystości) — to rozumiem: „gdyby nie owo zakonne *silentium*, wieleby się jeszcze powiedziało". Zatem twierdzisz, iż zamierzasz osiąść przy czcigodnym rodzicu i jak mówi poeta wprawdzie pogański:

---

[1]) Jaskinia łotrów.

[2]) Błogosławiony mąż, który nie powstał w radzie bezbożnych.

[3]) Aby cię Bóg wybawił od sideł szatańskich.

„ludere calamo agresti“ (opiewać pokój wiejski), ano w każdym stanie można być miłym Bogu, spełniając jego przykazania, *ergo* udajesz się do domu, jak powiadasz?...

— Nie wiem jeszcze...

— Mówisz, że nie wiesz?... to źle... A czemu to kawalerze nie miałbyś obrać sobie służenia temu, którego „jarzmo słodkie, a brzemię lekkie jest?...“ Boć powiedziano, że „Bogu i mamonie służyć razem nie można“. Czemuż nie pójdziesz do tego, który jak mówi Janko, swoje ma za przyjacioły. *Ergo* kawalerze czujesz w sobie powołanie do stanu duchownego w zakonie? Hę? jak powiadasz...

— Nie byłbym od tego, — wtrąciłem bezmyślnie korzystając z małej pauzy O. Abdona, której sobie udzielił dla zażycia tabaki. Wtem dał się słyszeć dzwon klasztorny.

— Ha? co? „Wieleby się powiedziało, gdyby nie owo zatracone *silentium*“, o którem i dzwon przypomina. Więc pragniesz zwiększyć naszą małą gromadkę niegodnych sług pańskich, dobrze jest, bo jak mówi Paweł ś. w liście do Rzymian, „których Bóg przejrzał tych też i wezwał“, a „wezwał ich z ciemności do prawdziwej światłości“, dodaje Piotr apostoł. Ale teraz śpieszmy do chóru na ostatnią modlitwę, a „gdyby nie owe zatracone *silentium*, daleko więcejby się powiedziało“.

Dziś nie umiem dokumentnie opisać, jak to się stało, ale po pacierzach wieczornych jeszcze długo konferowaliśmy z O. Abdonem, rozumie się, że z poza cytat widać mię nie było i już światła dawno pogasły w klasztorze, kiedy gwardyan zaprowadził mię do celi obok swojej i przy błogosławieństwie życzył mi dobrej nocy, jakoż w istocie dobrą, a bodaj rozkoszną mi się wydawała, a tem więcej, iż z rana jeszcze nie wiedziałem gdzie ją przepędzę; a zaprawdę, że nietylko u tych świątobliwych sług bożych, ale w ten dzień trwogi i niepewności, byłbym przyjął gościnę u samego Lucypera.

Doprawdy, że nie wytłumaczę, jak to się stało, ale fakt się spełnił, że skoro zostałem obudzony dzwonem „na jutrznią", zamiast moich resztek chluby rycerskiej, którą zawiesiłem na kołku, znalazłem skromną sukienkę zakonną braciszka reformackiego; nim się opatrzyłem, już stał przedemną stary braciszek dany mi za socyusza, ten mi pomógł przywdziać habit, sztuka napozór niewielka, atoli posiadająca pewne arkana nie każdemu światowemu wiadome. Odrazu z socyuszem poszliśmy do chóru na poranne pacierze.

I tego nie pomnę, jakie w tej nowej okazyi życia były moje rozumowania? Prawdopodobnie, że ich nie miałem, a cieszyłem się w duszy i dziękowałem Bogu, że mam dach nad głową,

którego bez Opatrzności i wielomówstwa Jego sługi O. Abdona, nie wiem, jakbym zdobył.

Jakby nie było, a zaledwie minęło parę miesięcy, kiedy już błogosławiłem kobyłę Namiestnika, że sobie poszła *ad patres*; niema to jak życie zakonne, żadnego rwetesu, szumu, strzelania, bębnienia, musztry i wszelkiego zawracania głowy, człek staje się sobie zegarem i raz nakręcony regułą, idzie nie susząc głowy, co dalej będzie? I tak: rano wstajesz na pacierze — potem posiłek, dalej nabożeństwo, znów posiłek, obiad i drzemka, następuje nieszpór, wieczerza i spać; a w ten sposób dzień po dniu schodzi i niema się o co kłopotać. Karmili jak na rzeź, konsolacye *vulgo* lampki miodu dość często się przydawały, mnichy lud spokojny, a jako reguła nakazuje, niewesoły — i czegóż tu więcej potrzeba?

Prawda i to, że ledwie jakiś roczek w konwencie zabawiłem, a reformat był ze mnie co się zowie: studya gryzłem jak orzechy — do chóru pierwszy, ceremoniał przy asyście znałem lepiej od mszalnych — a co w chórze byłem *primus*, bo już to Stwórca łaskawy pięknym głosem od natury mię obdarzył, a żadna większa celebra, żaden kondukt nie obeszły się bez brata Humilisa (takie imię zakonne obrałem); bywało, pożyczają mię świeccy księża do paradniejszych pogrzebów, a za to konwentowi coś jeszcze przy-

sparzałem. Nawet parę razy niezgorzej spisałem się na ambonie, bo ojcowie starsi, że od opasłości wymowę tracili, więc chętnie dopuszczali kleryków, żeby się sami nie zasypywali.

Zdobyłem też i mir w zakonie, a szczególne względy u naszego lektora Ojca Natalego, który wziąwszy mię za socyusza, pomieścił w jednej ze sobą celi — i to niestety było zawiązkiem moich nieszczęść.

„Dobre początki stają za połowę dzieła“ — mówi przysłowie, ale na nieszczęście jest inne, które głosi, że „koniec dzieło chwali“ — i to ostatnie zawsze mi pobruździ całą robotę dobrze rozpoczętą.

Dwa razy w życiu potknąłem się o samicę i teraz djabeł jedną z nich na drodze mi postawił, uczynił zaś to w zgromadzeniu świątobliwych, którym reguła zakonna zabraniala do posług i wyżywienia klasztoru utrzymywać zwierzęta domowe, samice, ino tylko samców. Ale od czegóż pokusa; i ja znalazłem na gładkiej drodze samicę, a do tego jeszcze jaką plugawą, jak się wyżej rzekło, dwie pierwsze bowiem będące moim skrupułem, należały przynajmniej do zwierząt szlachetniejszych — bo krowa tyle ważna w gospodarstwie, a karmicielka człowieka: koń szlachetne zwierzę, towarzysz i przyjaciel rycerza, a wojownika, dzielący z nim trudy i niebezpieczeństwa; za nie ucierpieć, to jeszcze pół

biedy. Ale teraźniejszą moją niszczycielką szczytnej duchownej wokacyi i karyery, była samica podlejszego gatunku — aż się pióro wzbrania wypisać — *koza!* przyjaciółka żydów, jedyne zwierzę domowe, w które się oni zaopatrują.

Jedno wprawdzie pociesza mię dziś jakotako, że kózka to była bardzo wdzięczna, biała jak śnieg, posiadała śliczną czerwoną wstążkę na szyi i dzwoneczek, rogi ubrane w wonne kwiatów wianuszki.

Rzecz się tak miała: konwent nasz posiadał ogród tak obszerny, iż sam własnemi siłami nie był w stanie go uprawić, a pomimo, iż prócz licznej stałej usługi, każdy z dwudziestu kilku zakonników miał szmat sobie ogrodzony, jednak większa połowa, osobliwie pod murami, leżała odłogiem; była tam jedna część zakryta gęstwiną, poza którą rozciągała się łączka zarosła trawami, już to po części i burzanami, nikt tam prawie nigdy nie zachodził; ja zaś, że natenczas gotowałem się do pierwszego święcenia, a studya chciałem przyśpieszyć, szukając spokojnego zakątka, ujrzałem ową kusicielkę samicę; jak powiadam, kózka to była wdzięczna, przywiązana do długiego sznura z tamtej strony muru, gdzie była szczerba dość znaczna, pasła się sobie na łączce; skoro mię pierwszy raz ujrzała, zabeczała czegoś tak mile a wdzięcznie, że mię za serce

schwyciła; pogłaskałem ją, szła do ręki, widocznie ułaskawiona i zabraliśmy znajomość.

Już tu pierwsza wina według kazuistyki, żem starszym do wiadomości nie podał, jako samica wkradła się za klauzurę, a powtóre o szkodzie przyczynionej klasztorowi; ale kózka była tak miła, a tak mię zawsze uprzejmie witała, że oną surowość w wypełnieniu obowiązku *per non sunt* — a co do szkody klasztorowi, że biedactwo wyje tam trochę burzanów, toć przecie pożytek przyniesie, bo pleć ich nie będzię trzeba i nietylko, żem grzech tolerował, lecz mu pobłażałem, bo nieraz kózce przyniosłem soli i chleba, a cieszyłem się za to jej przymileniem i pieszczotami. Jeżelim to z czasem sobie wyrzucał, tom miał ten argument na usprawiedliwienie, że chociaż przywykłem do klasztoru i jego cichości, ale z drugiej strony ta zabójcza jedność tych samych twarzy, tych samych sukien, modlitw, chórów, godzin i t. d. poczynała mię kaducznie nudzić i o ogłupienie przyprawiać.

Razu pewnego, kiedy przyszedłem na moje ustronie, niosąc dla mojej fawory tki podarki hojne soli i chleba, ujrzałem ją bardziej skaczącą i odwiązaną, nie zwracałem na to uwagi, bawiąc się z miłem stworzonkiem, aż tu zamiast zwyczajnego beczenia, daje mi się słyszeć słodziutki głosik:

— Bracie dobrodzieju, wybaczcie śmiałości i z łaski swej dajcie mi sznur od kozy, która się

odwiązała, jeszcze pójdzie dalej w ogród, szkody narobi, Ojciec gwardyan się dowie i mój tatko straci obowiązek.

— *In nomine Patris!... Vade retro satanas*, ta bestya gada, a to zły duch się w nią wcielił!...

Zawołam — i pocznę żegnać kozę, która myśląc, iż się z nią bawię, skacze do mnie obcesowo; już chciałem zmykać, gdy na nowo ten sam głos dał się słyszeć:

— To nie koza, bracie dobrodzieju, a ja Fauścia organiścianka, suplikuję, abyście mi sznur od kozy podali.

Zwrócę oczy, zkąd głos pochodził, jeszcze straszniejsza pokusa, bo już nie koza, podłe zwierzę, a stała na murze u szczerby białogłowa, istota na obraz i podobieństwo Boże stworzona; ale jakoś od niej nie odżegnywałem się, tylko sznur jej podałem, a ona mi skinęła główką, mówiąc:

— Wdzięczna nieskończenie waszmości za przysługę, a jeszcze ośmielę się upraszać łaskawych względów dla mojej kózki, aby nie mówić Ojcu gwardyanowi, ja jej tu więcej nie puszczę.

— Nie powiem Ojcu gwardyanowi, tylko pod warunkiem, że kózka będzie się tu pasła jak dotąd, bom się do tego stworzeńka nazwyczaił, — odpowiem już nie po zakonnemu, a tak ze świecka.

Zamieniliśmy jeszcze parę słów niewinnych z dziewczyną, ona mi pięknie ponowiła podziękowania, ja pomogłem jej przymocować do muru sznur od kozy, dygnęła mi pięknie i odeszła.

Kózka na moją instancyę pasała się jak dawniej, a jej właścicielka od czasu do czasu przybiegała do szczerby dowiadywać się, czy sznurek się nie odwiązał, zamienialiśmy sobie niewinne „dzień dobry“, lub parę słówek nieznaczących... cóż w tem mogło być złego?

A jednak gdybym był czytał z większą uwagą, a bardziej wziął do serca ów rozdział ze ś. Tertuliana, traktujący *„o stromej spadzistości do grzechu“*, byłbym zaprawdę smutnych następstw uniknął!... Tak to jest, bo owoż były z tego konsekwencye, nie wiem jak do tego przyszło, dość, że się stało — zacząłem od czasu do czasu, wieczorkami, kiedy konwent dobrze zachrapał, utorowaną drogą wymknąwszy się przez ową szczerbę, zaglądać do nadobnej właścicielki kozy.

Ale proszę nie myśleć, aby w tem coś było zdrożnego, i honorowi Fauści żadnej szczerby nie uczyniło, lubo przez szczerbę do niej droga prowadziła; śpiewaliśmy razem pieśni, wprawdzie światowe, ona, jako córka mistrza w kunszcie muzycznym, grała biegle na gitarze. Mieli w domu klawicymbalik, na którym ojciec nam przygrywał.

Nareszcie na oczyszczenie panny od wszelkiego zarzutu, winienem oświadczyć, że wszystko

się to działo za wolą i konsensem ojca (matka jej już bowiem nie żyła), który zawsze był przytomnym naszemu widzeniu i brał udział klawicymbałem w naszych duetach. Imćpan organista znał moje pochodzenie, wiedział o zamożności mojego ojca, był bowiem z naszych stron rodem; z mowy to jego poznałem, iż świadom był tamtejszych stosunków. Skoro mu się wyspowiadałem z mojej krótkiej przeszłości i przeciętej wojskowej karyery, powiedział mi:

— Dziwnem mi się wydaje, że waćpan idziesz wbrew woli ojca swojego, który chce cię widzieć oficerem, a pewny jestem, że z osiągnięciem tej rangi i dom ci i serce otworzy, a będziesz mógł pójść za predestygnacyą każdego, żyć wesoło i szczęśliwie w gronie rodzinnem, a nie kwaśnieć w zakonie, który nie dla waćpana stworzony; cóż w rzeczy za karyera tam cię oczekuje, rozpijesz się na miodzie jako nasi ojcowie, nos ci zakwitnie na starość jak im i zejdziesz do grobu samotny, a nie będzie komu cię opłakać.

Przy tych wyrazach panna Fauścia spojrzawszy na mnie siarczyście, jakby z samopału strzelił, otarła coś, niby łezkę na oczach, a stary prawił:

— Że tam się w jednej chorągwi coś zmalowało, to nie idzie zatem, ażeby do innej nie zakołatać; ot ja znam pewną chorągiew, w której mój szwagier jest chorążym, a niedołęgę namiestnika ma pod obcasem, zaregestruj się tam wać-

pan, a do roku ręczę, oficerstwo jak na dłoni; przecież to i prezencya i postawa wcale u waćpana nie zakonna, a i temperament iście wojskowy.

Dziwno mi się zaprawdę wydało, że sługa kościoła oponował przeciwko mojej duchownej wokacyi, a jak jął usilnie perswadować, tak i u mnie coś chwiejno się stało około tej zakonnej, wprawdzie przymusowej imprezy. To znów powiadał:

— Klasztor mosanie, to jest jakoby gwałt zadany wolnej woli, którą Bóg człowieka przy stworzeniu obdarował; ot naprzykład cóż w tem nagannego, że my tu sobie niewinnym dyskursem, a muzyką się zabawiamy, a niechnoby ojcowie dośledzili przekroczenia klauzury, ciężkobyś to waść odpokutował i gorzkim traktamentem opłacił.

W podobnych miejscach imć panna Fauścia wzdychała, wznosząc łzawe oczy ku niebu, a niby od niechcenia uderzała akord na gitarze, ale taki tęskliwy, aż mi się mdło około serca robiło.

Otóż stało się według jednej z maxym często powtarzanych przez Ojca Abdona — „*aqua cavat lapidem*...“ etc., to jest, że woda wydrąża kamień nie siłą, ale częstem spadaniem — cóż więc dziwnego, że remonstracya organisty, łzy panny Fauści, spadające od czasu do czasu na moje wcale niekamienne dla niej serce, wydrążyły je

do szczętu i już ojcu, a wabnej córeczce poddałem się jak jeniec na wojnie pojmany.

Chodziło już tylko, ażeby jako tako upozorować moje wystąpienie z klasztoru, bo chociaż jeszcze nie byłem związany prawem kościelnem, bo żadnych święceń nie miałem, jednak nie byłem pewny, ażali mi starczyć będzie animuszu, żeby ojcom szanownym wręcz powiedzieć:

— „Nie chcę, idę sobie tak, jak przyszedłem i basta“.

Obawiałem się zresztą onej powodzi cytat Ojca gwardyana, w którychbym utonął jak związany w wodzie.

Snać moje obawy podzielał i ojciec Fauści, bo taki proceder wykoncypował:

— Masz waść racyę, że na retoryce z Ojcem Abdonem nie wygrasz, bo cytatami pobije, trzeba rzecz poprowadzić politycznie i owóż com ja wyinwentował: umiem to ja przeróżne szryfty udawać i charaktery pisma zmieniać, napiszę tedy list do Ojca gwardyana od waszego rodzica, pełen gróźb i inwektyw, że waszmości, jako niemającego lat 24 wieku, bez woli rodziców przyjęli do konwentu, co jest prawem surowo zawarowane; iż jeżeli waćpana natychmiast nie uwolnią z klasztoru, ojciec jego pozew kongregacyi we właściwym konsystorzu złoży; tembardziej czas dobry po temu, bo jest w konwencie prowincyał, rygo-

rysta wielki, a na wszelkie takie rzeczy bardzo drażliwy.

— No i cóżby było z tych strachów?

— A byłoby to, że prowincyałaby i gwardyana z ich funkcyi zdegradowano, a suspendowanych *a divinis* na parę lat zasadzono na rekolekcye do surowszego zakonu, przypuśćmy kapucynów, albo co gorsza kamedułów i kartuzów, a oni się tego boją, bo już to wiem z doświadczenia, że nikt się tak nie pastwi jak mnichy nad mnichami.

— Ale czyliż się godzi podpis cudzy fałszować? — Wtrąciłem z pewnym wyrzutem.

Nim ojciec miał czas replikować, czegoś się odwrócił w inną stronę, a Fauścia białemi paluszkami od koralowych ustek posłała mi taki wdzięczny całusek, żem się rozpłynął jak wosk od ognia.

— Hm! fałszować nie fałszować — replikował pan organista — zapewne ono się nie chwali, lecz i potępiać nie można, bo gdybyśmy przez to stawali w kontrze zamysłom czcigodnego rodzica waszeci, byłoby to nagannem — ale tu właśnie działamy w myśl jego, który waćpana, a swojego syna chciał widzieć oficerem, o ile mi wiadomo, nie wymieniając tej lub owej chorągwi.

— Przecież na habit mi szlify nie nałożą?

— *Festina lente!* młodzieńcze, jak mówi Ojciec Abdon, wszystko jest dokładnie ukartowane: Ojciec gwardyan odebrawszy ten list, ze strachu

zapomni cytat, przedstawi to z powinności Ojcu prowincyałowi i obaj przynaglą waćpana do opuszczenia klasztoru: natenczas dam waści moje konie i bryczkę, które cię dowiozą ztąd o dzień drogi do mojego krewniaka, a ja już za to stoję, iż on cię zaregestruje do chorągwi, a za rok szlifę tu uczepi!

Wyrecytował wesoło organista, uderzając mię po ramieniu, jakby tam szlifę przykładał; lecz mnie jakoś na sumieniu ciężko się zrobiło i rzeknę:

— Zważ jegomość, czyli to się godzi nadużywać tak cudzej wiary, a do tego zakonników, sług bożych? Bóg za to skarze!

Organista na te słowa odwrócił się odemnie z gniewem, a panna Fauścia zakryła jedną rączką oczy, snać płakała w cichości, bo jej bujne łono to się wznosiło, to opadało gwałtownie, a drugą rączką dłoń moję uścisnęła tak ciepło i mile, jakby błagała o zezwolenie na propozycyę swojego ojca i on przez ten krótki moment jakby się z gniewu wysapał, podszedłszy do mnie, prawił poważnie i surowo:

— Kiedy kawalerze trwasz w wokacyi, z serca życzęć godności gwardyana, a nawet prowincyała dostąpić, ale że jak mówi Ojciec Abdon: „wlazłeś w kosz, bądźże grzybem“, zatem unikając zgorszenia, zechcesz zaniechać tej wiolencyi klauzury klasztornej i jakkolwiek miłych mi odwiedzin, zresztą i drogi do nich jutro nie będzie, bo w naj-

niewinniejszy sposób ostrzegę Ojca gwardyana, że się zrobiła szczerba w murze, którą on niezawodnie poprawić każe. — A pamiętaj ty, żebyś mi więcej nie pasała kozy w klasztornym ogrodzie! Zakończył, zwracając się do córki.

Biedna Fauścia zaniosła się głośnem łkaniem:

— Czego ty głupia płaczesz? — burknął ojciec.

Ten płacz przewyższał wszelkie wyrzuty mojego sumienia, a podbił mię do reszty, rzeknę tedy, a sam we łzach, które napróżno siliłem się powstrzymać:

— Czyńcie jegomość jak wasza wola, ja się zgadzam na wszystko!

A nie bacząc na obecność ojca, chwyciłem rączkę Fauści, któremi oczy spłakane zakrywała, i do gorących ust przycisnąłem.

Zatarł ręce z radości pan organista, a otworzywszy szafkę, dobył z niej gąsiorek i parę lampek, mówiąc:

— Wypijmyż na ten kontent i za zdrowie przyszłego oficera... Jutro tedy wykoncypuję i przepiszę list od szanownego rodzica waszmości do Ojca gwardyana, a wynajdę obcego nieznanego tu człowieka, który, niby jako umyślnie posłany, przybędzie pod wieczór, a pojutrze pożegnamy was i dalej w drogę do chorągwi; a że do niedzieli mszy śpiewanej ani nieszporów nie będzie, to może ja sobie urlaub na parę dni wyproszę

i razem czmychniemy; będzie nam weselej, a osobliwie łatwiej się sprawię z krewniakiem chorążym.

Poczęliśmy sobie przypijać na tę okazyę z panem organistą, a jego córeczka tymczasem ognistych oczu ze mnie nie spuszczała i od czasu do czasu brządknęła na gitarze akkord taki rzewliwy, że mnie za serce chwytało. Ojciec wymknął się do komory po drugą flaszkę, z czego korzystając, przysięgliśmy sobie affekt wieczny, który miał utrwalić związek dozgonny, zaraz po otrzymaniu szlify oficerskiej; jakoś na tej szlifie już dwa sentymenta budowałem, bo rodzicielski i małżeński. Przy tej okazyi skradłem Fauści całuska i niebardzo się nieboga wzdragała.

Osuszyliśmy jeszcze flaszkę z przyszłym panem teściem, a czas już było powracać, bo kur zapiał, a za parę godzin — myślę sobie — zadzwonią na jutrznię, wprawdzie już ostatnią dla mnie, jako braciszka reformackiego, ale zawsze trzeba było pośpieszać do mojego konwentu, który wprawdzie maluczko miał być „moim“. Z tego powodu przeróżne sprzeczne myśli cisnęły mi się do głowy, to stawał mi przed oczyma obraz nadobnej Fauści w promieniach słonecznych i przyszła z nią błogość — to znów żal mi było klasztoru, gdzie tyle spokoju i ciszy zakosztowałem.

Szarpany tedy tylu sprzecznemi myślami, biegłem do konwentu nie patrząc przed się, wprawdzie

droga to była wytknięta dla mnie jak szeroki gościniec, a tylekroć razy ją przebiegałem, iż zda się z zawiązanemi oczyma mógłbym ją przebyć; lecz upojony nadzieją rozkosznej z Fauścią przyszłości, utopiłem wzrok w gwiazdach, a w ich jasności zdawało mi się, że upatruję połysk ognistych oczu swej lubej. Tak zajęty niebem, zapomniałem o ziemi i nie patrząc pod nogi, wpadłem w kałużę, którą dotąd zawsze wymijałem, a wpadłem aż po same kolana; wprawdzie rosił deszczyk jesienny i było trochę błota, ale bez tej przeklętej kałuży, podjąwszy rewerendę, śladuby jego nie było.

Ta na pozór drobna okoliczność fatalnie wpłynęła na moje losy! Obryzgany błotem, oprzytomniałem i biegłem do klasztoru, pocieszając się tem, żem posiadał drugi habit i obuwie na zmianę.

Stanąłem jak zawsze dotąd, szczęśliwie na miejscu, mój pater ks. lektor Natali chrapał najszczęśliwiej — już to z natury sen miał twardy, a jeszcze do poduszki dopomagał sobie do niego sporą dozą *konsolacyi* i sypiał jak nowo narodzone dziecię; wszakże był to sen „zakonny“, że tak nazwę, nie przerwałbyś go wystrzałem działa, lecz na pierwszy dźwięk dzwonu klasztornego wskakiwał na równe nogi; nie było więc obawy z tej strony, bo do jutrzni zostawało dobrych parę

godzin, kiedy wróciłem, więc mogłem się rozgospodarować w celi, na której ściany spojrzawszy, smutno mi się zrobiło, że wkrótce miałem pożegnać te mury, gdzie tyle błogiego spokoju i pożądanej ciszy doznałem; wszakże myśl o Fauści i przyszłem z nią szczęściu konsolowała aż nadto moje te smutki.

Przy świetle tego kaganka, który według reguły zakonnej gorzał przez noc całą w każdej celi (a mówiąc nawiasem, jako z prostego łoju złożony, cuchnął niemiłosiernie — lecz do czegóż to się człek nie nazwyczai?) oddawszy się przeróżnym dumom, rozgospodarowałem się sobie w celi, bez obawy przerwania snu niewinnego O. lektora, gdy wtem spojrzę na jego nos sterczący do góry, a posiadał go potężnych rozmiarów w kształcie dwóch kułaków, a czerwoność jego była jak najpiękniejszej róży centofolii w pełnym rozkwicie; nos ten zdawał się patrzeć na mnie i domagać się gwałtownie *finfy*. Ano komuż to nieznany ów figiel szkolny, w którego wykonaniu celowałem niegdyś w Ostrogskim konwikcie OO. Jezuitów.

Jakoś mi tak było wesoło, a flasze organistowskie czmerały w głowie, że ową myśl psotną (Boże odpuść!) postanowiłem w czyn wprowadzić, tem bardziej, iż dawno męczyła mnie pokusa na tę finfę.

Wprzód jednak zrzuciłem zabłocony habit i obuwie i zawiesiłem na szarugach do przesuszenia, w tej myśli, że skoro na jutrznię zadzwonią, ubierając się, będę miał sposobność wszystko schować do szafy i na inne zamienić.

Walczyłem jeszcze przeciw owej pokusie finfy, boć to zawsze figiel, osobliwie względem starszego nieprzyzwoity i występny; ale pokusa była jakoś niezwalczona i zły duch mi szeptał, że po onym układzie z organistą już nie byłem zakonnikiem, *ergo* O. lektor już nie reprezentował względem mnie władzy, a w rzeczy żart sam przez się niewinny. Wprawdzie rozsądek swoje powiadał i przywodził mi na pamięć jedną z tysiąca maksym Ojca gwardyana, który między innemi mawiał:

„Małe słowo *żart*, dodaj *c*, a będzie *czart*, pokusa, figura kusa, konduktor do grzechu i wszelakich zdrożności“...

Ale się stało!... i do onej nieszczęsnej finfy niezwłocznie przystąpiłem — ja, eks-towarzysz chorągwi pancernej, kandydat na święcenie subdyakona w konwencie OO. Reformatów, poczynałem sobie jak jaki żaczek z infimy! Tak zaś to urządziłem: wydarłem waty z kołdry, zwinąłem rożek z papieru, którego ostrzejszy koniec destynowany do nosa dla lepszego skutku obsypałem tabaką, o tę, jak wiadomo, w konwencie niet rudno; cały zaś proces miał się tak odbyć:

wdmuchnąwszy finfę w nos lektorski, miałem natychmiast zagasić kaganek zalawszy go wodą ze szklanki, a wszystko to sobie przygotowałem tak, aby mieć pod ręką, a sam wskoczyć do mojego łóżka, ukryć się z głową i zachrapać w najlepsze; słowem uczynić tak, jak najmniej sto razy praktykowałem w konwikcie z wielkim sukcesem, ani razu nie będąc pojmanym na gorącym uczynku, gdyż *subiectum*, któremu finfę wymierzają, odurzony zazwyczaj, i ze snu, sam nie wie, co się z nim stało.

Niezawodnie powiodłoby się wszystko jak najlepiej, gdyby nie ten fatalny wypadek, który do wyrazu *żart* ono *c* gwardyanowskie przyczepił; finfa tedy już była w głębi czeluści lektorskiego nosa i już skutki pożądane wywarła, bo krztusił się i kichał biedaczysko, a odżegnywał moc szatańską, której wszystko w pierwszem odurzeniu przypisywał; ale na nieszczęście ja, zaślepiony powodzeniem tej finfy nad finfami, jaka mi się kiedy w życiu udała — bom wprawdzie nie miał dotąd pod ręką nigdy takiego wspaniałego okazu jak on nos lektorski — zacietrzewiłem się i wodę przygotowaną zamiast na kaganek, wylałem obok, a sam zaniepokojony tym wypadkiem i zmięszany moją niezręcznością, zamiast skoczyć do swego łóżka, stałem jak wryty na miejscu, trzymając dymiącą finfę, którą jednocześnie miałem zdusić w ręku z zalaniem kaganka.

Zerwał się na równe nogi mój pacyent, a przez chwil kilka orzeźwiony z zaspania, widząc *corpus delicti* dymiące w mojem ręku, rzecz sobie całą wyjaśnił i przystąpił do mnie gniewny, a kichając silnie i gęsto od onej nieszczęsnej finfy, począł mię okładać z obu stron silnemi kułakami, gdzie natrafił, wrzeszcząc sierdziście:

— A synku, nicponiu, Belbezubie, apostato, ateuszu! (taki miał sposób łajania O. Natali) będziesz starszyźnie zakonnej finfy w nos puszczał, ja cię nauczę!

Stałem jak osłupiały, a nawet nie usunąłem się z pod razów ciężkiej ręki lektora, bom czuł, że na nie zasłużyłem przez mój niewczesny, a występny uczynek. Możeby się na tem skończyło, bo O. Natali choć prędki i popędliwy, ale skoro się wykrzyczał, a do tego kuksnął winowajcę stygł i miękł rychło; ale kaci nadali, iż wpadł mu w oko mój habit i obuwie silnie zabłocone; rozpaliwszy od kaganka świecę, aby mi się lepiej przyjrzeć, zawołał gniewnie:

— A to co Belzebubie, ateuszu, to oprócz finf bawisz się jeszcze nocnemi wycieczkami, a pięknie!... ja myślałem, że z ciebie co dobrego, biorąc za socyusza, uczyniłem ci zaszczyt, o który całe studyum się dobija, a ty zły przykład dajesz, klauzury zakonnej nie obserwując... gdzież to cię nosił twój patron Belzebub, ty nicponiu, apostato?

— Ja... proszę *reverendissime*... coś mię zadusiło w nocy i poszedłem do studni na dziedzińcu świeżej wody się napić, a że tam ponalewano, więc...

— Zadusiło cię ateuszu, może twój brat Belzebub dał ci finfę, jak ty mnie nicponiu... mógłbyś sobie wody w dzbanuszku na noc przygotować, mówiłem, ażeby zawsze była woda na wszelki wypadek.

Dodał już wyprychany O. lektor łagodniej, a zakończył tak szczęśliwie dla mnie, jak tylko mógłem się spodziewać:

— A więc Belzebubie, ateuszu — rzekł zdrobniale, co u niego oznaczało gniew przemijający — wybiczujesz się sobie cały tydzień przez jedno *miserere* podczas rekreacyi, a powiesz bratu kanafarzowi, że cały ten tydzień będziesz jadał na „pamięć“, żeby ci zaś syneńku lepiej zastygło w mózgownicy, co to jest finfy strasznym dawać i żeby cię zmory nie dusiły, przenocujesz ten tydzienek nie na posłaniu, ale na gołej ziemi.

Nie mogłem nawet przewidywać szczęśliwszego rozwiązania tej smutnej katastrofy. Według zwyczaju zachowanej pokory, ukląkłszy przed starszym pocałowałem ziemię na znak posłuszeństwa; zapewne pokuta była ciężka, ale tylko napozór, bo dyscyplinować się samemu niewielka sztuka — któż tam jest zresztą nieprzyjacielem samego siebie? — jeść zaś obiad „na pamięć“ —

i to jeszcze był *modus in rebus*, bo żyło się zawsze w dobrej komitywie z kanafarzem, a nasz brat Antoni był człek wyrozumiały i litościwy, a można było mieć pewność, że owe jadło wpłynie tajemnemi drogami. Mnie zaś i tego nie było potrzeba, bo nazajutrz miał przybyć ów list ojca, a raczej organisty, a nim ten tydzień pokutny upłynie — myślałem sobie — już ja będę brzękał pałaszem w chorągwi i tryumfowałem, że mi się jakoś tak wszystko gładko złożyło i już O. Natali skierował się ku posłaniu dla dokończenia snu finfą przerwanego, nim na jutrznię zadzwonią, gdy wtem jakiś zły duch podszepnął mu chęć bliższego przyjrzenia się mojemu habitowi, aż struchlałem; skoro się już dobrze wpatrzył, powiedział:

— A toż co synku, nicponiu, Belzebubie, a gdzież to mur przy studni, która ocembrowana drzewem i takiż ma daszek nad sobą, a gdzie to apostato przez mur pielgrzymowałeś, hę?

Do habitu bowiem zmoczonego w kałuży, uczepiły się wapno, glina i piasek z muru i aż nadto widocznie o tem świadczyły, tak, że zagadnięty przez Ojca lektora, słowa odpowiedzieć nie mógłem.

— Gadajże synku ateuszu? — powtórzył Ojciec Natali.

— Ja tak trochę... tego... do miasta — bąkałem pomięszany.

— Ty ateuszu, Belzebubie, tak tego... trochę do miasta... a którędy to droga, że aż mur klasztorny odarłeś?... gadajno synku!

— A tam w ogrodzie, za leszczyną jest szczerba i tego...

— Jest szczerba synku, nicponiu, apostato „i tego“... cóż to za „tego“, dokąd i pocoś chodził, gadaj mi zaraz?...

— Do miasta...

— Do miasta, nicponiu, a poco?

— Chciałem załatwić sprawunek...

— „Załatwić sprawunek“ Belzebubie, a jaki mianowicie, jeżeli wolno wiedzieć?

— Tak... to... jest...

— Ateuszu, nicponiu, nie żadne „tak to jest“, ale odpowiadaj wyraźnie, kiedy przełożony pyta, czy rozumiesz?

— Chciałem proszę ojca... kupić i igieł i nici do zaszycia habitu...

— Nici po nocy, nicponiu, powiesz mi ty prawdę?

— Nie śmiałbym kłamać przed przełożonym.

— Zaraz to się wszystko wyjaśni Belzebubie, idę do ojców starszych.

Aż struchlałem!... bo myślę sobie: skoro sprawa wyjdzie na areopag przełożonych, jestem zgubiony; niewielka jeszcze byłaby bieda, gdyby sprawa się oparła o samego Ojca gwardyana, ten dość mię nawidził, a zresztą zasypawszy cytata-

mi, podwoiłby dozę postu i dyscypliny, to jeszcze pół biedy, ale w konwencie bawił na wizycie prowincyał, a był nim Ojciec Wilibald, znany z surowości i rygoru, według zaś reguły zakonnej podczas bytności prowincyała, władza gwardyana ustawała, przynajmniej w rzeczach większej wagi, jaką była ta moja wycieczka.

O. lektor wkładając habit, prawił już na zimno i z pewną determinacyą, a gniewu zaniechawszy, co już było złym znakiem:

— Wyeksplikujesz się asindziej przed przełożonym, któremu winienem z obowiązku rzecz całą przedstawić.

Padłem do nóg lektorowi, błagając ze łzami:

— *Reverendissime!* podwójcie karę, jeżeli wola, naznaczcie mi rok postu i dyscyplinę, ale Ojcu przełożonemu nie mówcie.

— Nie, synku, to być nie może, uchybiłbym powinności człowieka, zakonnika i starszego, gdybym o tem zamilczał, a grzech ściągnął na własne sumienie... nie, tak być nie może...

Ja jednak nie przestawałem błagać i molestować, zdawał się mięknąć i walczyć ze sobą Ojciec Natali, lecz po chwili wyrzekł stanowczo:

— I mnie ciebie żal mój Belzebubie, ale pierwsza miłość od siebie; gdyby to sprawa z samym naszym Ojcem Abdonem, toby się jakoś skrupiło, ale gdyby wypadkiem ubocznie dowiedział się o tem Ojciec prowincyał, z którym żar-

tów niema, gotów od pierwszego słowa, swoim zwyczajem *napahościć* i trzydziestoletnie przeszło zasługi zakonne odrazu w łeb wezmą; nie, synku, nie mogę, bo jak powiedziałem *prima charitas ab ego*, a wcale sobie nie życzę żadnej *pahości*.

Owa „pahość“, a skoncypowane od niej przez reformatów słowo pahościć, były przenośnią do srogiej pokuty i rekolekcyi, której miejscem był ich klasztór w miasteczku Pahości pod Inowrocławiem, bali się tego Ojcowie jak ognia, czem znów prowincyał hojnie szafował.

Ojciec lektor zabrawszy moje buty, jako *corpus delicti*, wyszedł z celi, zamknąwszy mnie w niej na klucz.

Zostawszy więźniem, nie miałem wiele czasu do oddania się czarnym myślom nad moją smutną dolą; ale natomiast musiałem wytężyć ucho, gdyż tuż pod drzwiami mojej celi, alias jak teraz więzienia, poczęły się ważyć moje losy, cała starszyzna zgromadzona tam deliberowała nad niemi.

— Czy pater lektor indagowałeś go należycie i nie wyznaje gdzie był? — pytał sam prowincyał.

— Tak jest *illustrissime* i wyznał to tylko, co miałem zaszczyt przełożyć.

— Znasz go pater lepiej jako bliższy zwierzchnik i praeceptor, jak więc myślisz, możeby przez ściślejszą indagacyę można prawdę wyświecić?

— Nie przypuszczam *illustrissime*, bo choć pilny w naukach i jak dotąd przykładny w konduicie, jednak charakteru twardego i nieugiętego, nie wiem, czyli zmuszony wyznałby?...

W tej chwili zadzwoniono na jutrznię i Ojciec prowincyał rzekł:

— Pater Wikary idźcie z konwentem, odprawcie *ad matutinum*, my tu z patrami gwardyanem i lektorem pozostaniemy i przy *laudes* odprawimy pacierze, bo *casus est gravis*, trzeba to należycie spenetrować.

O ile po głosach słyszałem, w radzie tej mającej o mnie wyrokować, pozostali pod drzwiami OO. prowincyał, Abdon i Natali, oraz brat Fryderyk; był on socyuszem prowincyała, to jest nieodstępnym od niego, a jeździł z nim wszędzie, w konwentach zwano go pospolicie nie socyuszem, ale szpiegiem, a inaczej pudlem prowincyalskim; był on niemiec, podoficer niegdyś z gwardyi saskiej królewskiej, nie wiadomo, co go do zakonu zapędziło; wysoki, chudy, zawiędły, chadzał krokiem żołnierskim, miarowym, nieprzystępny odludek, niczem ująć się, ani zobowiązać nie dał, wszyscy go silnie nie lubili, a bali się bardziej niż samego prowincyała.

Po długich deliberacyach, które jak się pokazało do niczego nie doprowadziły, prowincyał ozwał się do br. Fryderyka:

— No, a waść Fryderyczku — tak go zwał

pieszczotliwie, a może dla sprzeczności z jego ogromnym wzrostem — jakbyś nam w tem poradził?

— *Ja giedy iluzdrisim befelt, to wziolby tego but i przemierzil na blot do ślad, którendy chodzila.*

— A co patrowie, mówiłem wam przecie nieraz, że u Fryderyczka głowa nie dla samej proporcyi, a dawnobym go zrobił mszalnym, gdyby się tylko nauczył po ludzku mówić.

— Przeklęty szołdra, pomyślałem sobie, jestem zgubiony, bo po śladach dojść gotowi do szczerby, a tam do domku organisty, który stał niedaleko, a tem łatwiej dopatrzą śladów, że deszczyk silniejszy zaczął padać późno, kiedy właśnie przy Fauści gruchałem. O finfo przeklęta, jaki mi cię szatan podszepnął; kląłem też równie najniewinniej biednego Ojca lektora, że go Stworzyciel opatrzył tak potężnym nosem.

Zaledwie przedeliberowałem tę moją mizeryę, aż tu wrócił Fryderyk z dobrym śladem mej zbrodni, bo zastawszy klucz w furcie ogrodowej, który tam nie powinien był się znajdować, przestraszonego ogrodniczka stawił jako delikwenta przed majestatem prowincyalskim.

Rozpoczęła się indagacya słowna z początku, chłopak zapierał się, że o niczem nie wie, aż wzięto się do indagacyi czynnej, a dlatego może pod mojemi drzwiami, aby na mnie przestrachem

wpłynąć; rozciągnięto chłopaka, a zaledwie przeklęty szołdra Fryderyk wymierzył mu żelazną prawicą parę razów, biedny chłopczyna wrzasnął w niebogłosy i oświadczył, że wszystko wyzna jak było; nieszczęście mieć chciało, żem się z nim zaprzyjaźnił, bo to było chłopię szlacheckie a poczciwe, kadukże go odgadnął, że tchórzem podszyt, a uczyniłem go nadto powiernikiem moich sentymentów dla Fauści; on to czatował kiedy się biała kózka pasała, a ja z jej piękną właścicielką bawiłem się dyskursem; z kolei opowiedział, żem przez oną ścieżkę wykradał się nocną porą do organisty, on zaś na moję prośbę zostawiał klucz w furcie ogrodowej, za co mu dałem kilka złotych, słowem, wygadał wszystko prawie, co ja tylko mógłbym powiedzieć.

Prowincyał wysłuchawszy tej depozycyi, zwrócił się do O. Abdona.

— Pater gwardyanie! raczcie mnie objaśnić, zkąd u zakonnika, szczególniej alumna, mogły być własne pieniądze, kiedy reguła zakonna tego zabrania, i ja kilkakrotnie ponawiałem ten zakaz, jako drogę prowadzącą do zgorszenia?

— To jest, *illustrissime* — odpowie gwardyan nieśmiało — według przyjętego oddawna zwyczaju w tym konwencie, udzielam braciom grosz dziesiąty od zarobionych przez nich na paradniejszych pogrzebach lub za wigilie przy ciałach zmarłych bogatszych osób, a czyni się to dla zachęty.

W istocie z tego dziesiątego grosza często gęsto kapnęła mi jakaś złotówka, którą z ogrodniczkiem Grzesiem dzieliłem, jużto nie w chęci korumpowania go, ale raczej z przyjaźni.

— *Reverendissime Pater!* — odparł prowincyał gwardyanowi dość ostro — ponieważ nie raczycie zapamiętywać moich remonstracyi, może będziecie łaskawi odmawiać sobie *officium parvum de Spiritu Sanctu,* przez pięć poniedziałków, a zbawienniej byłoby jeszcze przy suchedniowym poście, a to na uproszenie Ducha Świętego lepszej pamięci do zleceń starszych.

— Oho — pomyślałem sobie ze strachem — co to ze mną będzie, kiedy taką poważną personę traktuje O. Wilibald, jakby mnie lektor?

Dalej O. prowincyał rozkazywał swemu socyuszowi:

— Słuchajno, Fryderyku! żeby niewinnego bez przekonania nie potępiać, należy rzecz całą dokumentnie spenetrować; weźmij but a po śladach idź dalej za oną szczerbą; jeżeli się takowe okażą aż do mieszkania organisty, to jego samego poprosisz, aby tu do mnie przyszedł, a na wszelki wypadek zabierz ze sobą parę parobków stajennych, żeby prośba była skuteczniejsza.

— Ja, illuzdrizime! — odpowiedział Niemiec, udając się dla spełnienia rozkazu.

— A jeszcze czekaj: naszego furmana Kubę postawisz tu przy tych drzwiach na warcie, żeby

się czasem ptaszek z klatki nie wymknął, to silny chłop, na wszelki wypadek da mu radę.

— Ja illuzdrizime! i sam się tu bendzie dowiedzial — rzekł Fryderyk, oddalając się na spełnienie rozkazów.

Potem zapanowała cisza; snadź się rozeszli.

Mnie do biednej głowy cisnęły się myśli przeróżne, jedne od drugich frasobliwsze. Z rygoru, jaki w ogóle po zakonach panował, a szczególniej wypływał od naszego srogiego prowincyała, nic dobrego sobie tuszyć nie mogłem, ja, który już w miłem spodziewaniu widziałem siebie na nowo w wirze wesołego i ruchliwego życia obozowego, a zarabiającym przez nie na pożądaną szlifę, a jeszcze pożądańsze połączenie z Fauścią; ja, który miałem za dobę podróżować do chorągwi, siedziałem teraz w ciupie reformackiej.

Wiedziałem, że od strony drzwi przy bracie Fryderyku i prowincyalskim furmanie, obu silnych chłopach, nie było się co kusić o ucieczkę, pozostawało okno, lubo na piętrze ale niezbytniej wysokości, zkąd można było skoczyć bez swanku na skopane grzędy; opatrzyłem kratę, lecz ta była podwójną, a pilnika nie miałem, a gdyby nawet i był, to nienawieleby się przydał, bo zgrzyt jego mógł mię zdradzić.

Moje dumy i frasunek przerwała, a raczej zwiększyła nowa okoliczność; niebawem po rozejściu się zakonnego areopagu, znów posłysza-

łem jakieś szamotanie; biednego organistę ojca mojej Fauści z prowincyalskiej celi, będącej w sąsiedztwie mojego więzienia, prowadzono, dokąd? dowiedziałem się z jego rozpaczliwego głosu, którym wołał:

— Co to mosanie, mnie szlachcica z dziada pradziada mają zamykać *in carcere duro* jakieś popy, ja na to nie pozwolę, ja zależę jedynie od praw krajowych, sam król imć. nie ma prawa mnie inkarcerować bez wyroku sądowego, „*neminem captivabimus nisi jure victum*“. Jestem Bolbas herbu Juńczyk, moi przodkowie piastowali urzęda ziemskie, mój ojciec był...

— No herr Polpus, marszirować nie rezonirować! — przerwał gburowato brat Fryderyk, który prawdopodobnie konwojował biednego ojca Fauści.

— Protestuję! protestuję!... zaniosę manifest do grodu! — wołał biedny więzień.

— Giedy mówi marszirować, to marszirować — mruczał gniewnie szołdra i słyszałem, że huknął biednego organistę, który jęknął boleśnie.

Na ten odgłos, który mi się w sercu odezwał i Fauści oblicze spłakane przed oczy postawił, chwyciła mię jakaś zapamiętałość, zatrząsłem z całej siły drzwiami... ale niestety te były dębowe podwójne a mocno kute, napróżno drapałem je paznogciami, gryzłem zębami... rozkrwawiony tylko, a rozpłakany jak dziecię nad moją bezsilnością padłem na posłanie łzami zalany.

Już dalej nie wiem, co się zemną działo; pamiętam tylko, że z południa otworzono drzwi po cichu i oględnie w nich się ukazała wstrętna twarz szołdry Fryderyka, którego otaczali furman prowincyonalski i dwaj jeszcze pachołkowie. Niemiec po uchyleniu drzwi, postawił prędko tuż przy nich dzbanek z wodą i kęs chleba mówiąc:

— *Dobri apetit jegomości!*

I rychło drzwi za sobą zamknął.

Zmierzchło i noc zapadła, nic ciszy nie przerwało, tylko dzwony do chórów i zakonnicy na to wezwanie śpieszący, potem stukanie w blachę na wieczerzę. Mnie światła nie dano, ciemność panowała w celi.

Wkrótce po wieczerzy, drzwi się rozwarły z hałasem, brat Fryderyk wniósł światło, a za nim wszedł O. lektor, był smutny, a widocznie pomięszany, nie patrząc mi w oczy rzekł z cicha:

— O. prowincyał wzywa.

Wyszedłem z nim z celi, na korytarzu przy drzwiach stał furman prowincyonalski z kilku pachołkami. Szedłem tedy za O. Natalim, który mię prowadził do refektarza, pachołkowie wsunąwszy się za nami przy drzwiach stanęli. W refektarzu zastałem wszystkich zakonników w porządku, w jakim siadywali przy stole, z tą różnicą, że nakrycia już były zdjęte. Skoro mię wprowadzono, O. prowincyał wstał z miejsca

i zbliżył się do mnie, zaczął przemawiać długo łagodnie, bez najmniejszego podniesienia głosu: najprzód przełożył mi całą szkaradę mojego postępku, wiolencyi klauzury klasztornej, potem wdanie się z kobietą, nakoniec nieposzanowanie starszego i przełożonego w osobie O. lektora, któremu finfę dałem etc., etc., a tak zakończył:

— Po onych czynach występnych, mój synu, nie możesz pozostać członkiem naszej świątobliwej kongregacyi...

O ile O. gwardyan mawiał prędko, jakby pytlował we młynie, o tyle O. prowincyał mówił powolnie i z pauzami, z których korzystając, aż odetchnąłem swobodniej w tem miejscu i pomyślałem sobie:

— Wypędzą, tem lepiej, pożegnam się z Faustcią i już jadę do chorągwi.

Po pauzie wszakże O. Wilibald ciągnął dalej:

..... Lecz ponieważ Łukasz św. mówi: „Bóg niektórych karze na przestrogę innych“, tak i ciebie mój synu Bóg w łasce swej nieprzebranej wybrać raczył za ono narzędzie przestrogi dla braci twoich, aby się podobnych występków chronili.... i nasza też kongregacya nie wymierza ci kary, chowaj Boże, dla złości, zawiści lub zemsty, ale z miłości chrześciańskiej, według słów Pawła Apostoła do Koryntyan: „Kogo Pan miłuje, karze, a biczuje każdego syna, którego przyjmuje.“ Odbierz tedy z pokorą karę synu mój, podczas któ-

rej nasza niegodna kongregacya modlić się będzie, aby Bóg miłosierny tę karę doczesną zaliczył ci na sądzie ostatecznym.

Zmówiwszy to, dał znak O. prowincyał, wszyscy wystąpili na środek, brat zaś Fryderyk zbliżył się do mnie i począł ze mnie zdejmować habit; krew mi cała do głowy spłynęła, wyciąłem mu silny policzek i zawołałem, jak ojciec Fauści z rana wiedziony do ciupy:

— Nie zapominajcie waszmościowe, żem jest szlachcic, niegdy towarzysz pancernej chorągwi księcia wojewody ruskiego, syn urzędnika ziemskiego, burgrabiego ziemi Łukowskiej i krzywdzić się nie pozwolę, a tego waszmościowie nie macie prawa!

Znów wystąpił O. prowincyał, a z taką słodyczą głosu, iż zda się cukrami częstuje, przemówił:

— Niebawem miły synu, tego prawa mieć nie będziemy, skoro za naszą furtą odzyskasz wszelkie światowe prerogatywy i konsyderacye, chociaż i teraz nawet czyniąc im zadość, masz tu rozesłany kobierzec jako szlachecki przywilej w podobnych okazyach (i wskazał ręką na rozesłany pośrodku kobierzec).

Atoli teraz, dopóki zostajesz pod władzą naszą duchowną jako ubogi zakonnik, a jako takiego brata w Chrystusie miłujący, albowiem: „Bóg kogo miłuje, tego karze“, mówi Paweł Apo-

stoł, a także powiedziano *qui bene amat*, *bene castigat*, a więc....

Już nie dokończył, dał znak, a braciszkowie moi koledzy rzucili się na mnie jakby wilcy na jagnię, a rozebrawszy mię z habitu, powalili na kobierzec.

Tu mi przychodzi na myśl jedna uwaga, zapewne nie w tej krytycznej chwili uczyniona, że wszelkie przymusowe zebranie ludzi do kupy, czy to w klasztorze, lub więzieniu, zamiast, łączyć, zbliżać, a wiązać węzłem przyjaźnym, jątrzy rozdraźnia wspólnie jednych przeciw drugim i tam się dopiero sprawdza przysłowie: „cudza bieda ludziom śmiech“.

Poklękali ojcowie, a prowincyał z całem namaszczeniem i pobożną powolnością począł odmawiać psalm: „*Miserere mei Domine*“, psalm to dość długi, a dla mnie trwał wieki, bo im bardziej dobywały się moje męki z pod żelaznej prawicy Fryderyka, tem powolniej modlił się O. prowincyał, a szołdra w miarę tego przyśpieszał, a zapewne, że do gorliwości służbowej przymieszała się zemsta za on policzek.

Szczęściem, że skończył się kiedyś ten psalm, boć i wszystko złe a dobre zarówno ma koniec na tym doczesnym świecie. Ledwie się podjąłem z kobierca krwią zbroczony, już mi nie dali napowrót mego habitu, a tylko zawiniątko z mojemi sukniami, w jakich się stawiłem do klasztoru,

bo takowe na wypadek wystąpienia zwykle są przechowywane w konwencie aż do pierwszego obowiązującego święcenia.

Poczem wzięło mię dwóch pachołków pod ręce i wyprowadziło za furtę klasztorną, która się za mną na zawsze zamknęła. Nie wiem zaś czy z litości, czy z rozkazu starszyzny zakonnej, obdarowali mię pachołkowie kęsem chleba.

„Otóż tobie i finfa“.

Rozmyśliwałem sobie, skoro mi ból rozmyślać dozwolił, bez tej przeklętej finfy możebym już wybierał się w drogę do chorągwi, w drogę rozkoszy, która miała mię w przyszłości doprowadzić do najpożądańszej mety szczęścia z Faušcią! Ot tobie finfa! prawdziwa finfa!

Jakie to szczęście, myślę znów sobie, iż istota ludzka z dwóch części się składa, z ducha i ciała; gdy pierwszy cierpi, drugie się czemś pocieszy i już całości raźniej, a gdy drugie boli, to i o tamtym człek zapomina; owoż zemną tak się działo, iż bardziej mię zajmowały bóle cielesne, niżli tęsknota po stracie Fauści, bo pamiątka zbyt dotkliwa owego zakonnego *miserere* wszelkie inne troski z myśli mi wypędzała. Skoro nieco ochłonąłem z pierwszego dojmującego bólu, rozprostowawszy kości, na ile ten dozwalał, powoli zacząłem zdawać sobie sprawę z mojego położenia; co

do fizycznej strony przyszło mi to z łatwością i snadno dowiedziałem się, co mi dolega, gdyż chcąc spocząć, nie mogłem innej do tego obrać pozycyi, tylko położyć się twarzą do ziemi, co uczyniłem przy murze klasztornym, przy onej szczerbie, pierwszej zawiązce mojej dzisiejszej turbacyi. Skoro z kolei ochłonąłem na ile tyle z pod doznanych smutnych impresyi dnia tego, mimowoli zadałem sobie ono czysto ludzkie pytanie:

— Kimże teraz jestem i co posiadam?

Jako odzienie prócz bielizny, była na mnie stara siermięga pachołka dla przyzwoitości zarzucona na plecy, przeźroczysta jak rzeszoto, ogrzewać zbytecznie nie mogła i chłód mię przejmował; ale szczęściem byłem posiadaczem jakiegoś zawiniątka; po bliższem obejrzeniu dowiedziałem się teraz dopiero z wielką radością, iż to były moje suknie wojskowe, które klasztor wiernie przechował.

— Suknie wojskowe, które wkrótce nosić miałem i mimowoli zaśpiewałem sobie znaną piosenkę:

Wezmę ja mundur, wezmę ja mundur, szablę przypaszę,
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej, tam się pocieszę.

O miły Boże, jakże to mało człowiekowi potrzeba dla pociechy, niech ino mała gwiazdeczka nadziei błyśnie, a już najczarniejsze chmury smu-

tku rozpędzi. Stękałem z bólu, a przebierałem się po wojacku, lecz jakiż był mój frasunek, kiedy po dokładnej próbie przekonałem się, że ów półtoraroczny obrok duchowny, który spożywałem i reformackie konsolacye we dwójnasób zwiększyły moją tuszę tak, że nie powiem już o reszcie, którą wciągać mi przychodziło z trudnością, ale naforsowawszy kitel, rozdarłem go na dwoje!

Nikt może nie uwierzy, żem nad tą szkodą zapłakał jak dziecię nad utratą ulubionego cacka!... bom to sobie roił, pójdę do organisty, którego zakonnicy przecie *in carcere duro* nie zjedli, ułatwimy wszystko, a co lżej dla sumienia, bez fałszowania pisma mojego ojca, pojedziemy z p. organistą do nowej chorągwi, wysłużę szlifę, a ze szlifą Fauścię i t. d. A wszystkie te piękne rojenia od razu z przeklętym kitlem popękały — przeklinałem konwenty, na co to oni tak dużo jedzą.

Opłakawszy nadzieję, z kolei musiałem się zwrócić do smutnej rzeczywistości i zadać sobie pytania:

— Kimże ja jestem?

— Wypędzony braciszek z konwentu OO. Reformatów w Dyderkałach – o onem *miserere* nie potrzebowałem wspominać, gdyż to za najmniejszem poruszeniem czuć mi się dawało.

— Co posiadam? drugie pytanie.

Przeszukawszy dokoła siebie, prócz zawiniątka z wojskowym moderunkiem, które mi było nie-

potrzebne, jakoż je zaraz do fosy klasztornej cisnąłem, namacałem kęs chleba, dany mi przez pachołków za furtą; obecność jego przypomniała mi, żem przeszło dobę nie posilał się, a więc chleb spożyłem, i nic już nie posiadałem prócz lichego odzienia — *omnia mea mecum porto*!

Jeszcze machinalnie szukałem koło siebie, czy mi nie pozostała przez jaki dziwny wypadek która z onych złotówek z pańskich pogrzebów — próżne to spodziewanie, albowiem sam dobrze wiedziałem, że za ostatnie konduktowe fundusze kupiłem nową czerwoną wstążkę dla białej kózki, pierwszej pośredniczki naszych szczęśliwych z Faustą momentów, a coś tam dało się Grzesiowi ogrodniczkowi dla podsycenia przyjaźni, którą tak haniebnie zdradził — czego niech mu Bóg nie pamięta!

Następował problemat najtrudniejszy do rozwiązania:

— Co pocznę teraz, gdzie się podzieję? bowiem o domu rodzicielskim i marzyć teraz nie śmiałem, a znając słowność mojego pana ojca, poczytywałem go za niebyły. Jak zacząłem rozmyślać nad solucyą tej zawiłej kwestyi, położywszy się, rozumie się, nieinaczej tylko twarzą do ziemi, nie wynalazłem lepszej odpowiedzi nad sen, który mię w końcu, pomimo dojmującego chłodu, zmorzył. A jakoś mi się pod szczęśliwą rękę ten sen nadarzył, bo różnych rozkosz-

nych mi mar napędził, majaczyły mi się to biała koza, to czarnobrewa Fauścia, to nowa chorągiew i szlifa... A gdyby tak przespać było życie!

Aliści niegodziwy dzwon klasztorny na jutrznią, zerwał mię na równe nogi; już gotowałem się biedz do chóru, gdy nagły ruch przypomniał mi smutną rzeczywistość, że najdłuższy z psalmów pokutnych przylepiono mi do ciała. Sam widok klasztoru na rozświcie, kiedy się cały przedstawił moim oczom, miłym mi nie był; zgromadziłem tedy manatki... słuszniej mówiąc zbolałe kości, bo te tylko były przy mnie i zbierałem się w dalszą drogę.

— Dokąd?

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, rozglądałem się na cztery strony świata, które wszystkie co prawda miały dla mnie jedno znaczenie nieskończoności, bo do żadnego celu zmierzać nie mogłem, gdy wtem usłyszę po za sobą znane mi skrzyp tabakiery i głos staruszka brata Daniela:

— „A nie bądźże taki, zażyj tabaki“.

Wymówił brat Daniel z nadrobioną wprawdzie fantazyą, podsuwając pod nos tabakierę.

— Cóż braciszku — mówił smutno kiwając głową — pokpiłeś sprawę, nie przymierzywszy sił młodych do ostrości reguły zakonnej; niejeden tak upadł, ale Bóg łaskaw grzechu nie po-

czyta, bo to mosanie krewkość, młodość, a niedoświadczenie, nareszcie pokusa... ale czy to tylko klasztor na świecie, wszędzie można sobie skarbić łaskę bożą, byle żyć po Jego świętym zakonie.... Ale „nie bądź taki, zażyj tabaki“.

Pierwsze mi się okazało przyjazne oblicze w niedoli i spoglądałem z afektem na starego braciszka, zażyłem tabaki i kichnąłem na jego pociechę:

— A co, widzisz bracie, zaraz lżej na sercu i myśli, mózg się oczyszcza, niema jak tabaka; wsunąłem ci tu cały rożek na drogę i prawdziwej „*sam pan tre danla makutre*“ (sam pan trze w makutrze) mojej preparacyi, niech ci służy na zdrowie!... masz ją tu.

Po tych słowach wskazał mi sakwę skórzaną trzymaną pod pachą i mówił prędko:

— Otóż widzisz, że iść regułą zakonną, to jak po lodzie człek się co chwila pośliźgnie, powiem ci to na konsolacyę; nie dziwota zasię młodemu, kiedy ja stary a w tej chwili koziołka przewracam, bo to widzisz waszeć, mnie niewolno i patrzeć na ciebie, a ja tymczasem przyniosłem ci nieco prowizyi od brata kanafarza; a masz tu jeszcze mój stary habit, w tem już niema grzechu, bo że wysłużył lata, więc według reguły mogę z niego ubogiemu uczynić ofiarę, a tyś w tej chwili ubogim jest mój bracie; masz tu taki sam płaszcz i kapuzę (czapka krągła bez

daszka), tylko pod kondycyą, że to przy pierwszej lepszej okazyi przerobisz na suknie światowe lub sporzesz... ot masz jeszcze i ten kosztur, boś zbolały jest, abyś miał się czem podeprzeć, a reszta com zregestrował, znajdziesz tu w *szporcie* *); zdałoby się tobie coś grosza mój biedaku, ale tego reguła zabrania, a ja się poniekąd trzymam...

Widząc zaś, że łzy wdzięczności miałem w oczach biorąc od niego szportę i kosztur, czupurząc się niemi rubasznie, skrzypnąwszy tabakierą, przemówił:

— „Ale nie bądź waść taki i zażyj tabaki“. No brateńku czas na czasie nie stoi, a ja tu jako sam trochę mularz, mam doglądać mularzy, którzy zaraz przyjdą, poprawić tę szczerbę, która cię nieboraku wyszczerbiła; wiedziałem, że tu cię na pewno zastanę, bo to „natura wilka ciągnie do lasu“.

A grożąc mi łaskawie palcem prawił dalej.

— Oj! wiem ja, wiem, bo czego to stary Daniel nie wie, i miałem ostrzedz, alem się spóźnił, bo to mosanie była i koza i *puella formosa*, a to już szatańska sprawa, a czemu to nie było pięknie się modlić... „*et ne nos inducas in tentationem*“. A teraz co? „gdyby kózka nie skakała,

*) *Szporta*, tak się zowie duża torba skórzana osobliwszej formy, przewieszana przez plecy przez dawnych podróżujących zakonników. (*Przyp. wyd.*)

toby nóżki nie złamała", a tu kózka skakała, a tobie się brateńku noga powinęła... O ho! ho! słyszysz, dzwonią na *Magnificat*, zaraz się skończy jutrznia, może nadejść starszyzna, a gdyby mię zastali z tobą, pfe! źle!.. a moje kości stare nie udźwigną już *miserere*... Niech cię Bóg synku prowadzi, tylko dalej od klasztoru, bo to twoja snadź destynacya... No, ale „nie bądź taki, zażyj tabaki!"

Zakończył poczciwiec a drżącym głosem, napróżno siląc się ukryć rozrzewnienie i położył mi znak krzyża świętego na czole skostniałą od starości ręką, którą do gorących od wdzięczności ust przycisnąłem, on zaś mnie z lekka popychając mruczał ciągle:

— No, no, idź, idź z Bogiem, dalej od klasztoru, bo tu nie twoja destynacya.

O bądź błogosławiony bracie Danielu, najdobroczynniejszy z ludzi, jakich w życiu napotkałem!.. Oby ten twój „grosz wdowi" Bóg zapisał na białej karcie zasługi.

Poszedłem tedy przed siebie w kierunku, jakim mię popchnął poczciwy brat Daniel, a w uszach ciągle mi brzmiały jego słowa: Dalej, dalej od klasztoru, bo to nie twoja destynacya!"

— Cóż tedy jest moją dystynacyą?

Mimowoli zapytałem sam siebie, a jak łatwo się domyśleć, pytanie to zostało bez odpowiedzi, więc kierowałem się wskazówką brata Daniela „byle dalej od klasztoru“; w tem przynajmniej na początek miałem jaki taki cel podróży i szedłem bez wytchnienia, oglądając się poza siebie: rychło li stracę klasztor z oczu, a dopiero kiedy i kopuły jego widzieć przestałem w oddaleniu jako małe punkciki, wtedy odetchnąłem całą piersią, jakbym dotarł do mety; natenczas dały mi się czuć głód i zimno, bowiem ona rzeszotowa siermiężka zakonna niewiele ogrzewała; od onego zaś kęsa chleba z litości pachołków, niczem nie posilałem się. Zajrzałem tedy do szporty poczciwego brata Daniela; aż się cofnąłem z zadziwienia i radości, istna to była puszka Pandory! A tak mi ta dobroczyność i miłosierdzie prawdziwie chrześciańskie utkwiły w pamięci, iż po latach jeszcze najdokładniej mogę opisać całą zawartość tego rogu obfitości — poczciwy Daniel!

Owoż co się tam znajdowało: habit, płaszcz, pasek św. Franciszka, para trepków, pończochy, pilśniowa kapuza podszyta futerkiem kretów, pochodzącem z połowu brata Daniela, bo był tych zwierząt zawziętym tępicielem. Tyle co do stroju. Kiełbasy łokci ze trzy, dwa duże półgęski wędzone, szmat słoniny, sześć śledziów, dwa suszone szczupaki, chleb, bułki, pierogi, gruszki suszone, śliwki na rożenkach i coś tam jeszcze smakoły-

ków; na mięsnej prowizyi zrobił brat Daniel własną ręką adnotacyą: iż włożył ją do szporty z tej racyi, że w czasie postu łatwiej mu było wystarać się o mięsne produkta; atoli polecał mi, aby postu nie łamać i tych używać w czasie Wielkiejnocy, jeżeli dotrwają, lub w razie gwałtownego głodu, kiedy się już inne zapasy wyczerpią — pobożna dusza!

Tyle było co do pokarmu ciała, jako zaś pokarm duchowny, włożył mi „Officcium Rakocziannum“, znana książka do nabożeństwa ku użytkowi Sodalisów zastosowana, trochę obdarta wprawdzie, ale do użytku zdatna. Nie zapomniał też brat i o konsolacyi, którą reprezentowały trzy sztofy anyżówki, tyleż flasz miodu i czarka rogowa dla wygody.

Jako rozkosze tego świata, znalazłem spory róg tabaki, *sampantre.*

Przywdziawszy habit, a ogrzawszy ciało, posilony z łaski Boga i dobroczynnego brata, usnąłem mocno, a że to było ku wieczorowi, przespałem noc całą wprawdzie na gołej wilgotnej ziemi w lesie, ale skoro sen przychodzi, to i puchy wszelkie zbyteczne.

Nieraz tom sobie myślał, czyli może być lepsza zabawa nad sen? niechże kto sobie dobierze najweselszą nawet kompanię, z którąby się przypuśćmy przez dziesięć godzin z rzędu (bo ze snem, który lubię nadewszystko, i tej sztuki dokazywa-

łem) ani chwili nie znudził? a we śnie człek zapomni i biedy i wszelkich dolegliwości, a różne mary i widziadła zabawią go lepiej niż wszystko na świecie.

Przespawszy tedy spory kęs czasu, obudziłem się, kiedy słońce już było wysoko i wracać musiałem do smutnej rzeczywistości i do jednostajnego pytania bez odpowiedzi:

— Dokąd idę?

Przynajmniej wczora miałem cel w owej Danielowej wskazówce „dalej od konwentu“ a teraz? — przedemną cały świat szeroki, a na nim najmniejszego punkciku, gdziebym skołataną głowę skłonił.

— Chyba pozostać w tym lesie i stać się dzikim człowiekiem?

Takie dziwaczne myśli snuły mi się po głowie.

Nie będę opisywał onej mojej wędrówki dzień po dniu, ale szedłem i szedłem, unikając miejsc zamieszkałych przez ludzi, zapuszczając się w lasy i manowce, wędrując bezmyślnie, modliłem się i czekałem na opatrzność i zmiłowanie Boże.

Gdybym był nie porzucił w lesie onej starej siermiężki, możeby mi się na coś teraz przydała, poszedłbym gdzie nająć się do pracy za kęs suchego chleba; ale te suknie zakonne oddzielały mię od świata i... o niegodziwość ludzka!... zacząłem złorzeczyć poczciwemu Danielowi, że mię w one zaopatrzył. Jedno szczęście, że nako-

niec i myśleć przestałem; zostając jakimś automatem mechaniczną siłą w ruch puszczonym, szedłem dalej i dalej!... uważałem być to moją powinnością, jakbym do tego był jedynie stworzonym; nie wiedziałem już czasu i liczbę dni zatraciłem.

Nagle otrzeźwiłem się z tego odrętwienia przez wyczerpanie prowizyi brata Daniela, bo stopniowo spożywszy postne wedle jego rekomendacyi, przeszedłem do mięsnego, a i to już się miało ku końcowi; z musu przypomniałem sobie wyczytane w księgach, jak robią żeglarze przy zmniejszeniu prowizyi, iż znacznie sobie porcye uszczuplają, tak i ja sobie poczynałem doprowadzając pożywienie do najmożliwszego minimum; głód prawdzie dojmował, ale jeszcze w dobroczynnej szporcie kilka dni miałem zapewnionych.

„A co potem“, obawiałem się zadać sobie tego pytania.

Tak zaprowadzając coraz większą oszczędność w prowizyach brata Daniela, że zaledwie głód oszukiwałem, z przerażeniem dostrzegłem, iż przy najsurowszej oszczędności, zaledwie mi na parę dni starczą.

Rozpacz mię ogarnęła: głodową śmierć miałem przed oczyma!

Dotąd, jak się powiedziało, wędrowałem przez lasy i manowce, stroniąc od ludzi, lecz zagrożony głodem, puściłem się na szeroką drogę w tej

myśli, może mię kto złapie, wtrąci do więzienia, ale przynajmniej jako tako nakarmi; za całą bowiem prowizyę pozostawał mi w szporcie niewielki kawałek chleba, przez czas w suchara obrócony, i aby mi na dłużej starczył, spożycie onego odłożyłem na inny dzień, na głód najgwałtowniejszy, nie do wytrzymania — i puściłem się wielkim gościńcem.

Lecz i to się nie na wiele przydało. Spotykałem rozmaitych ludzi; każdy uszanował, czapki uchylił, Pana Jezusa pochwalił, jako przed duchownym przystoi, i poszedł dalej; już mię parę razy brała chętka żebraniny, ale wstrętu do tego przemódz w sobie nie mogłem.

Gdy się już miało ku wieczorowi, a idąc Bóg jeden wiedział dokąd, trapiony nieznośnym głodem, postanowiłem spożyć ostatniego suchara, gdy spostrzegę, naprzeciwko mnie sadzi jakiś wóz parą końmi zaprzężony. Jeszcze przed kilku godzinami niezawodnie byłbym umknął na bok lub przykucnął gdzie w rowie, ale teraz owszem szukając przygody starałem się stać jak najwidoczniejszym. Zrównał się ze mną wózek, a patrzę porządny, malowany, konie gładkie, wypasione, siedzi na wózku jakiś jegomość już stateczny pod siwym wąsem, granatowa na nim bekieszka, czapka z siwym barankiem, a sam konie popędza — woźnicy nie było. Zrównawszy się ze

mną, przystanął, a uchyliwszy czapki przemówił uprzejmie:

— *Laudetur Jesus Christus.*

— *In saecula saeculorum.*

— A to chyba jegomość niegłodny? — spytał rubasznie.

— Z łaski Boga, nie! — odpowiem hardo.

No i proszę, co to próżność ludzka! i taka odpowiedź mogła wyjść z żołądka głodem skurczonego? Lecz nagle, wyrzucając sobie to wystąpienie niegrzeczne, pośpieszyłem dodać:

— A gdybym nie był syt, to cóż z tego?

— A to z tego, czekaj nie gadaj, że w takim razie nie minąłbyś waszeć Kętrzynka i starego Kętrzyńskiego, z których pierwszy ot tam bieleje pod lasem, a drugi ma honor submitować się waści.

Rzekł uprzejmie zdjąwszy czapkę i tąż ręką wskazując na wioskę rozłożoną pod lasem.

— Hej! hej! — dodał z westchnieniem — czy to już łaska pańska odemnie się odwraca, że Jego słudzy wymijają starego Kętrzyńskiego? Dotąd tego nie bywało... Mówisz waść, żeś nie głodny, to chwała Bogu!

— O gdybyś szlachcicu siedział w moich kiszkach, tobyś obaczył!.. — odpowiedziałem w myśli.

— A więc tak pod noc puszczasz się i wymijasz Kętrzynek... na to nie pozwolę, bo nawet w blizkości niema ani klasztoru, nawet porządnej

gospody a Kętrzynek do waszych usług pod bokiem... ej! co tu długo gadać, dawajcie ojcze szportę i siądźcie tu wedle mnie.

Prawił jegomość usuwając się i robiąc mi miejsce na wózku.

— Mszalnym nie jestem — rzeknę, ażeby zrzucić choć o połowę ciężar kłamstwa z mego sumienia.

— No, jeżeli tedy nie „ojciec“, to „brat“, jedno i drugie blizkie pokrewieństwo; tandem tedy bracie dobrodzieju, biorę cię jako jeńca na mojem *territorium*.

Nie dałem się długo prosić, wsiadłem na wózek.

— A tak, to co innego — rozpoczął jegomość zacinając konie — mam cię zbiegu i tak prędko nie puszczę... A brat dobrodziej zapewne po *obedyencyi?*

— Po *obedyencyi* — odpowiem naprędce, a w duchu sobie dodałem:

— Poczyna się kofesata, żeby się tylko nie potknąć, a jegomość snać ciekawy dotrze do głębi.

Koniki szły rażno, ale spokojnie do domu, imćpan Kętrzyński nie zwracał na nie uwagi, mnie się przyglądając, prawił:

— Co u kata, nie mogę skombinować, jakiej waszeć reguły; że św. Franciszka, to już wiem po pasku, z brodą to powinien być kapucyn, ale krój sukni niekapucyński...

— Nie goliłem dawno brody, bom chorował w drodze — przerwę mu.

— Toż gadaj, więc reformat nieogolony; niechno tylko staniem na miejscu, mam barwierza, co doskonale goli, lekka ci powiadam ręka i wszystko będzie w porządku... czekaj nie gadaj.

— Jegomość wielomówny, trzeba się ostro trzymać — pomyślałem sobie.

— A dokądże bracie Bóg prowadzi?

Tego zapytania od razu nie przewidziałem, jednak żem się miał na baczności, odpowiem po chwili na chybił trafił:

— Do naszego konwentu w Łabiszynie.

— Oho! ho! ho! „wstąpił do piekła po drodze mu było“, gdzie Łabiszyn, a toście bracie zbłądzić musieli.

— Już pierwszego bąka palnąłem — myślę sobie, aż mi się zimno zrobiło, ale naprawdę idąc na oślep, nie wiedziałem gdzie się znajduję.

— A z jakiego to konwentu?

— Z Dederkał...

— Hm z Dederkał!... to już rozumiem, pod Gąsinem za groblą aż trzy drogi; musiałeś pójść na lewo, a to trzeba było środkową... czekaj nie gadaj...

— Otóż to właśnie — wtrąciłem, żeby jakoś zagadać i egzamin przerwać, ale na nic się nie zdało.

— Czekajno nie gadaj!.. zaraz ci powiem,

kto u was przełożonym... abo to ja znam klasztory jak moją kieszeń... Dederkały?.. to u was bodaj czy nie Abdon... a co czy nie tak?

— Tak jest.

— A cóż zdrów? musiał się zestarzeć! piu! piu! bagatela, więcej naszej znajomości niż waćpana życia, to jeszcze kiedy lat ze trzydzieści ledwo się wyświęcił, a szedł po obedyencyi z Grudziąża do Konina, chorował biedak u mnie na gardło przez dwa tygodnie, ale go panie wyreperowałem co się zowie, to człek stateczny; po śmierci Wilibalda pewno będzie waszym prowincyałem; a nie minąłby mosanie starego Kętrzyńskiego, starzy zakonnicy byli lepsi, nie tak jak waszmościowie... A powiedzże mi bracie, jak dawno rozpocząłeś wakacye, boś to widzę jeszcze młody?

Dobrze się składało, bo wielomówny panek sam się pytał i sam sobie odpowiadał:

— Pewno od lat dwóch ukończyłeś nowicyat, teraz maszerujesz na studya, bo to one u was teraz w Łabiszynie, a co nie zgadłem, hę?

— Tak jest, mości dobrodzieju.

— Mnie w zakonnych rzeczach panie nie złapiesz, sam byłbym może zakonnikiem, czułem nawet pewną do tego wokacyę, ale jakaś się nawinęła panna, nieboszczyk ojciec kazał się żenić, Bóg dał dziatki i chwali Go się w tym stanie, jaki destynował. „Czekaj, czekajno nie gadaj!“

(to było jego przysłowiem) a ja ci zaraz powiem, kto u was lektorem, czekaj, czekaj! czy nie Jacek bez małego palca u lewej ręki?... Nie, to czekaj nie gadaj, ja ci zaraz powiem... Natali z dużym nosem, człek uczony, a co nie zgadłem, hę — powiadaj.

— A tak jest.

— Czekajno, czekaj nie gadaj, był tu u mnie zeszłej jesieni poczciwy Wilibald wasz prowincyał, ależ dobrał sobie socyusza jakiegoś szołdrę, brata Fryderyka, jeszczem takiego imienia szwabskiego w zakonie nie słyszał!

Na to wspomnienie zadrżałem, bo to imię wstrętne odbiło się w mojem nieszczęsnem *miserere*, które mi jeszcze dolegało.

Na moje szczęście dojeżdżaliśmy do domu; ledwie jegomość zatrzymał konie przed gankiem, a wybiegł stajenny pachołek, żeby je zabrać, już szlachcic hałasował:

— Żono! dzieci! czekajno nie gadaj, chodźcie tu, popatrzcie, co to za gościa wam przywożę. A co nie gadaj, czekaj, mówiłem, że Bóg zeszle duchownego na Wielkanoc, bo już to bratku od święconego jajka nie puszczę; jeżeli chcesz, to zrobię adnotacyą na obedyencyi, ale ani się ruszysz... czekaj nie gadaj, a długi tam termin tej obedyencyi, powiedzcie bracie dobrodzieju?

— W tem sęk — pomyślę sobie, a na chybił trafił, odpowiem.

— Jeszcze ze trzy miesiące.

— Trzy miesiące! czekaj nie gadaj, to jeszcze na żółwiu zajedziesz dziesięć razy tyle niż do Łabiszyna.

Tymczasem na ganku stanęła pani wcale nie stara i przyjemnej powierzchowności, a z nią czworo dziatek, dwóch chłopców podrostków i dwie mniejsze panienki, skakały z radości na moje przybycie.

— A co, nie mówiłem, że będzie zakonnik, czekaj nie gadaj, ja ci powiem, ale zgadnijcie dzieci jaki? czekaj nie gadaj, jeszcze takiego nie było... Reformat z brodą.

Chłopcy i dziewczęta zaczęli skakać, wołając:

— Reformat z brodą!

— Czekaj nie gadaj, moja panno, każno nam dać kawy i czego tam jeszcze, bo to jutro wielki piątek, a surowy, sucby post, zatem trzeba się dziś przygotować należycie.

— Mężu, ale pozwól, że zaproszę ojca dobrodzieja do izby... — rozpoczęła jejmość; mąż jej przerwał:

— Czekaj nie gadaj, bo nie jest ojcem tylko bratem, ale będzie ojcem niedługo i jeszcze jakim, bo chociaż młody, ale dobrze mu z oczu patrzy... Ale czekaj nie gadaj, nie poczęstowałeś mię waść dotąd tabaką, jakże to reformat bez tabaki?

Dobyłem ze szporty rogu Danielowego, który

był pełen, bo sam nie używałem tabaki, z wyjątkiem dla kontentu brata Daniela.

— Oto mi zapas, czekaj nie gadaj, a mówiłem wam, że jest stateczny lubo młody, czekaj nie gadaj, zaraz powiem, co to za tabaka... to jest, oho! mnie nie oszukasz, to jest sławna na cały świat sampantre brata... brata, czekaj nie gadaj, brata Daniela. A co, nie zgadłem! Oho ja to jestem *versatus* w rzeczach zakonu... czekaj nie gadaj, moja panno, idę z tobą do rozwodu, wstępuję do reformatów, może mię nie przyjmą, hę?

Szczęściem, że odwołano jegomościa do jakiejś gospodarskiej sprawy, bo pilno mi było do tego jadła. Dowiedziawszy się z mowy jego, że to już był wielki czwartek, ażem struchlał, bo to o Danielowych zapasach żywności przeszło trzy tygodnie wałęsałem się po świecie.

— No, czekaj nie gadaj, moja jejmość polecam ci naszego szanownego gościa, tylko go nie zamórz głodem.

Gospodyni przedstawiała zupełną sprzeczność z małżonkiem, stateczna, poważna, pomimo młodego jeszcze wieku, a cicha kobiecina; zaraz ostudziła gorliwość dzieci, które w zastępstwie ojca już mię opadały. Przeszliśmy nakoniec do wielce pożądanej dla mnie izby jadalnej; podczas kiedy jegomość zabawiał się gawędą w ganku, służba wszystko przygotowała, zastawa była obfita, a może mój głód do tego się przyczynił, ale zdało mi

się, żem do podobnie wspaniałej uczty nigdy w życiu nie zasiadł, a rad byłem, że jegomościa zajęły sprawy gospodarskie, bo nikt mi nasycić się nie przeszkadzał, a chociaż wszystko zmiatałem, pani mi jeszcze z gościnnością podsuwała coś nowego.

O jakże rozkoszną noc spędziłem na doskonałem łożu, w ciepłej izbie, czegom już dawno nie doświadczał. Obudziwszy się a dość późno, patrzę, czysta świeża bielizna, a mój biedny habicina, hojność poczciwego Daniela, oczyszczony i podłatany; Boga pochwaliwszy za kąt ciepły i pożądany przytułek, począłem się podnosić, aż tu otwierają się drzwi i wchodzi pan cześnik (tak tytułowano mojego zacnego gospodarza), snadź czatował na moje wstanie.

— Ha co, czekaj nie gadaj, dnia dobrego życzę, zaspałeś bracie dobrodzieju, ale nie gadaj, nie sromaj się, bo tu u mnie *ad matutissima* nie dzwonią, a wszyscy, nawet wasz czujny prowincyał O. Wilibald, choć taki rygorysta, a tnie chrapaka porządnie, u mnie reguła zachowana *dispensatur*, cicho nie gadaj, ja tu gwardyanem.

A otwierając drzwi zawołał:

— Cicho nie gadaj, a chodź tu sam Szymek; oto jest mój barwierz, goli a powiadam ci bez mydła mógłby, tylkoż cicho nie gadaj, a ogól uważnie smyku, bo to duchowna broda.

Usadzono mię przy oknie i poddano operacyi

golenia; a pan Kętrzyński tymczasem rozpoczął nową gawędę:

— Czekaj nie gadaj, ja ci powiem, więc mówisz, że obedyencya twoja jeszcze na trzy miesiące? tak, to świat mosanie! Owóż więc jak sobie wykalkulowałem, czekaj nie gadaj, od świąt takich jak Wielkanoc chyba się ucieka z Sodomy i Gomory, lub z pod bisurmańskiego dachu, to już tam niema o czem mówić, a jeżeli żądasz, to ci odnotuję na obedyencyi, żem cię gwałtem zatrzymał, a czekaj nie gadaj, moja adnotacya stanie za prowincyalską, bo mię reformaci kochają, a tam w Łabiszynie Feliks gwardyanem, oho! ho! znałem go jeszcze światowym, czekaj nie gadaj; do Łabiszyna masz ztąd siedmnaście mil jak strzelił, a zatem wyjdziesz na pięć tygodni przed terminem, żebyś miał sobie po pół milki na dzień i czas zapasny do wypoczęcia lub wypadku w drodze i obedyencyi nie chybił, bo za to nie przymawiając będzie *miserere*, co waści jako zakonnikowi, nie mówiąc złego słowa, musi być znane...

Na ten fatalny wyraz *miserere* mimowoli poruszyłem się, bo coś mię tam zaswędziło, a golarz mnie zaciął.

— A co czekaj nie gadaj, a mówiłem ci Szymku bisurmanie jakiś, że duchowna broda, wara! ja cię tu zatnę...

— Kiedy jegomość się nagle poruszył — uniewinniał się balwierz przestraszony.

— W istocie — wtrąciłem dla uspokojenia.

— Czekaj nie gadaj, a ty Szymku basałyku, uważnie, bo... Tandem tedy, mówisz jegomość, że zgoda? Tak bardzo wdzięczny, a tymczasem wypoczniesz i wydobrzejesz, bo cię choroba bardzo wymizerowała... Dziękujęż mój bracie z całego serca, nie ma to jak z zakonnikami, we dwóch słowach człek porozumie się i basta, mówię ci, czekaj nie gadaj, gdyby nieboszczyk ojciec mię nie ożenił, a Bóg dziatek nie dał, byłbym sam mnichem, a nieinaczej tylko reformatem... Pozwól, niechże cię uściskam za łaskawą obietnicę...

A że już operacyi Szymek dokończył szczęśliwie, wycałował mnie szlachcic jeszcze po świeżem niestartem mydle, chyba na tej zasadzie *qui tacet consentire videtur*. To prawda, bom się w duchu zgodził na ten termin, przystałbym i na daleko większy, ale jak teraz nietylko ust nie otwarłem, nawet głową nie kiwnąłem, sam się cześnik pytał, sam odpowiadał, dziękował; zacne to jakieś było *homo*, ale zaiste człowiek się otarł i o prawników, co to gadanie ich rzemiosłem, ale takiego pytla, jak ten szlachcic nie napotykałem.

Gdybym chciał się rozwodzić nad tym domem, co mi tyle pamięci pozostawił, zapisałbym foliały, bo oprócz gadulstwa zresztą wcale niewinnego

jegomości, dom to był boży, a szlachecki, jakich u nas coraz rzadziej na nieszczęście.

Sama pani miła, skrzętna, gospodarna, a litościwa, choć do rany przykładaj, dzieciaki przez nią w ryzie trzymane, usłużne i nienatrętne.

Mieli kaplicę domową, której kapelan dominikan ks. Rajmund, odjechał był do pobliskiego klasztoru na nabożeństwa pasyjne, a miał wrócić w sobotę wieczór dla odprawienia rezurekcyi — o czem dowiedziawszy się, prosiłem, aby mi pozwolono trochę tam uporządkować; jako przez całe dwa dni tem się zająłem, dzieciaki mi pomagały, porobiliśmy girlandy, festony, naciąłem choiny i co tam wiosna przyniosła już zieleni, użyłem to do przystrojenia onego domu Bożego, który chociaż był drewniany i prosty, ale schludny i czyściutki — jakże Bogu dziękowałem z głębi duszy, iż dał mi na nowo zbliżyć się do swojego przybytku, od którego ze sromotą mię odegnano.

Przybył O. Rajmund poczciwy starowina — cóż o nim powiedzieć — mnich sobie domorosły, co to nigdy z *cura animarum*, nie wyskoczy na przełożonego, a tych *ab uno disce omnes*, prostoduszny, nabożny, wesoły, a miły Bogu i ludziom.

Ucieszył się staruszek, że ma pomoc z braciszka na czas świąteczny, a gdy ujrzał jak mu ustroiłem świątynię jego, uściskał mię setnie mówiąc:

— No patrzajcie kogo (to było jego przysłowiem, co nie dziwcie się, żem tak napotykał ludzi z przysłowiami, bo mojego czasu każdy miał jakoweś).

— No proszę kogo? chyba niema reguły bez wyjątku, a ja sobie myślałem, że reformaty do niczego! (i temu się nie dziwcie, bo to zwyczajna zawiść zakonna).

A gdym mu odśpiewał rezurekcyę, tym głosem moim przez konwent podziwianym, tom schwytał go za serce, że starowina topniał dla mnie w sentymentach:

— No proszę kogo — mówił — ciebie bracie Bóg nie dla tych darmozjadów reformatów stworzył, pojedziemy ze mną do konwentu mojego i przeor cię złapie na dominikana — a to mi zakon, reguła wolniejsza, pacierze krótsze, nawet sama msza nie ma *introitu*. No proszę kogo, wleźć do reformatów z taką głową i głosem! Dodam jeszcze dla zachęcenia, że nasz konwent należy do reguły dyspensów, nie zaś obserwantów, mięso pakujemy, proszę kogo, cienkie habity nosimy i *et caetera* proszę kogo.

Namawiał mię gorliwie, ja też myślałem sobie zakończyć na tem, może będę szczęśliwszy, a nie spotkam kozy, Fauści, jej rodzica organisty, a nadewszystko *miserere*, lecz wiedziałem, że w takich razach klasztory skombinowałyby się piśmiennie, a zresztą najprzód trzebaby okazać

obedyencyę, a drżałem, żeby kto o nią nie zapytał.

Wszystko od góry do dołu, od panów do sług w tym zacnym domu przypadło mi do serca, poczciwa gosposia była mi uprzejmą, a tak myślała o wygodach prostego braciszka, jakby jakiego biskupa; nagle pewnego rana na miejscu starego płaszcza, habita, onych hojności Danielowych, z których już strzębki wisiały, ujrzałem całkiem nowiuteńkie, i trepki także mi w ten sposób zamieniono i owe szkarpetki pilśniowe na wełniane z cienkiej przędzy, nawet nowa kapuza się znalazła. Ot nie śmiejcie się, ale przywdziewając to, miałem łzy w oczach, a gdy na to nadszedł cześnik i ja mu dziękowałem, ruszył tylko ramionami:

— Czekaj nie gadaj, a gdzieżby tu potrafił kto u mnie reformackie rzeczy zrobić, czekaj nie gadaj, a waść rozumny panie bracie i takie głupstwo palnąłeś, ja ci powiem, to krawiec Moszko stary z miasteczka, który przyjechał dzieci oporządzić, tak ci jakoś podmalował i podmajstrował jak nowe; on bestya do tego zuch, ale czekaj nie gadaj, jaki żydzina! tak rzetelnie reformacką barwę natrafił, dowcipny żyd!

Tak wcieliłem się do tego poczciwego domu, iż zdawał mi się być moim, jakbym się pomiędzy tymi ludźmi zrodził i nie myślałem, aby inna była moja dystynkcya na świecie, jak żyć z nimi,

bawić się z dziećmi, posługiwać do mszy ks. Rajmundowi, przystrajać kaplicę i wysłuchiwać gawęd Kętrzyńskiego.

Ale wszystko ma swój koniec na tym padole, a milsze rzeczy rychlejszy! Był to dom wielce uczęszczany, cześnik był koryfeuszem okolicy, jako prócz gawędy, zacny, zaradny człowiek; na mnie też nie wiem za co, może dla miłości poczciwego gospodarza, goście bywali łaskawi. Sąsiad więc tam bywał nierzadki, a wszelkie uroczystości domowe obchodzono solennie. Pewnego dnia widziałem wielkie przygotowania; nie wiedziałem jaka to uroczystość, bo mię nie uprzedzono, ale ściągnęło się całe sąsiedztwo. Pijano u cześnika w miarę, ale zawsze za kołnierz nie wylano, przy obiedzie była ochota, mnie posadzono pomiędzy gospodynią a O. Rajmundem *alias* na pierwszem miejscu, wymawiałem się, ale nic nie pomogło. Pod koniec obiadu wymknął się cześnik, a wrócił z dwoma szczególnemi gąsiorkami, które zwał „patryarchami“, a wino to w istocie patryarchalne miał w odrębnej piwniczce pod swoim kluczem i tylko dla osobliwszych okazyj dobywał. Wziąwszy tedy kolejkowy kielich, a przepijając do mnie w ręce Ojca Rajmunda, wymówił rzewnym głosem:

— Czekaj nie gadaj, komu droga, temu czas; Bóg mi świadkiem, że gdyby mię stać było na to, fundowałbym tu w Kętrzynku klasztor OO.

Reformatów, ażebyś waszeć po wyświęceniu, które bogdaj prędko nastąpiło, był w nim przełożonym.

— No patrzajcie kogo, a jeszcze czego, już kiedy fundować to Dominikanom, ci są prawdziwi *canes domini*, *ordo praedicatorum*, mosanie! Reformat zaś to coś na reformacyę przechodzi i Lutrem, Boże odpuść, trąci... — przerwał Dominikanin.

— Ale bo czekaj nie gadaj, bo ja powiadam, że kogo do jakiej reguły Pan Bóg wokował, niech mu służy, a czekaj nie gadaj, bo ja oto tym puharem chcę wypić za zdrowie i za pomyślną drogę naszego miłego gościa, bo to się na jutrzejszy dzień wyznaczyło termin jego wyjazdu, a jak się słowo rzekło, to wiesz kobyła... czekaj nie gadaj księże Rajmundzie, a jutro *dominissime*, odprawisz nam mszę i będziesz błogosławił naszego miłego gościa na drogę, a że to tylko góra z górą się nie schodzi, więc czekaj nie gadaj, niech nam zdrów żyje i rychło tu wraca prowincyałem...

Nie będę się rozwodził, jak tam było wszystko poczciwie, a serdecznie. Nazajutrz do dnia służyłem do mszy O. Rajmudowi, której wszyscy domowi z kilku pozostałemi gośćmi słuchali i odebrałem benedykcyę na drogę. Rzewne było i serdeczne pożegnanie ze wszystkiemi, pani cześnikowa i dziatki szczerze się popłakały, jam też nie miał suchego oka. Kiedy wziąwszy kosztur

do ręki i szportę na plecy, miałem się ruszać w dalszą zagadkową drogę, podjechała bryka przed ganek, a cześnik stał po podróżnemu ubrany i prawił:

— Czekaj nie gadaj, pojedziemy razem, wiem, że ci reguła zabrania po obedyencyi używać koni, bo czekaj nie gadaj, a regułę waszą znam lepiej od samego prowincyała, ale z kimś w towarzystwie zaproszony przysiąść się możesz, czekaj nie gadaj, mnie tam wypadła pilna sprawa, a tak się niespodzianie złożyło, że i tobie po drodze, więc też cię podwiozę... czekaj nie gadaj i siadaj!

Siadłem tedy i pojechaliśmy razem; nie wchodzę czyli ona sprawa Kętrzyńskiego była rzeczywista czy zmyślona, ale znając jego dobre serce, prędzej to ostatnie przypuszczam; podwiózł mnie pewno o część trzecią mojej mniemanej drogi.

Nie będę mówił o rozstaniu, obaj rzewnieśmy się popłakali; a po kilkakrotnie wznawianych uściskach, kiedy cześnik siedział na bryczce, a ja miałem pieszo puszczać się dalej, rzekł jakby coś sobie przypominając:

— Czekaj nie gadaj, ale ponieważ zostawiłeś mi spory zapas doskonałej *sampantre*, przyjmże odemnie przynajmniej tę tabakierę na pamiątkę, bo z rożka zażywać niewygodnie — czekaj nie gadaj, a nie zapominaj o mnie drogi bracie. Niech cię Bóg prowadzi!.. czekaj nie gadaj...

A wręczywszy mi tabakierę, zawołał na woźnicę:

— Ruszaj, a z kopyta, bo już późno!

Zaciął pachołek konie i niebawem tumany kurzu zakryły przed mojemi czyma tę figurę wcielonej poczciwości.

Długo patrzyłem jeszcze za odjeżdżającym, aż gdy już i wózek zniknął mi z oczu, poczułem, iż ogromna tabakiera posiada ciężar niezwykły, otworzyłem ją, a mała ilość tabaki przykrywała mnóstwo zwitków papieru; odrazu zrozumiałem o co chodzi, był to delikatny sposób ofiarowywania datków zakonnikom surowych reguł, którym za wyjątkiem przełożonych i upoważnionych przez nich kwestarzy, datków pieniężnych przyjmować się nie godziło.

Nicby w tem nagannego dla mnie nie było, gdybym w istocie był tym, za kogo ci ludzie mnie poczytywali — zakonnikiem, ale nie oszustem, jak zostałem w ich oczach; w mojem zaś położeniu te pieniądze traciły święty charakter ofiary, a natomiast stawały się ohydną kradzieżą.

— Oszust i złodziej!

Wrzasnęło mi na cały głos sumienie, ja zaś chcąc się ratować z tego zarzutu, z tabakierą w ręku biegłem co tchu za wózkiem, jakbym go był w stanie dogonić.

Ochłonąwszy wszakże z pierwszego zapędu, rozważyłem całą niemożność szalonego przedsięwzięcia, a rzuciwszy z całej siły tabakierą o ziemię, schwyciwszy się oburącz za głowę, wtórowałem na całe gardło sumieniu:

— Oszust i złodziej!

A usiadłszy na ziemi obok rozbitej tabakiery i rozsypanych pieniędzy, począłem szlochać jak dziecię.

Zbliżająca się noc zmitygowała nieco pierwsze porywy oburzenia przeciwko sobie samemu, lecz chodziło jeszcze o spokój, które mi tak podszepnęło:

— Jesteś stróżem tych pieniędzy, gdyż dane są na intencyę i ofiarę dla kościoła, jeżeli chcesz spokoju, co rychlej zrzuć ze siebie ten ciężar i oddaj ów depozyt wedle destynacyi.

Myśl ta, którą, jak mi się zdawało, ktoś mi szeptał do ucha, znacznie ulżyła sumieniowi i przyniosła mi na ile tyle spokój — a święcie sobie postanowiłem ją w czyn wprowadzić przy najpierwszej sposobności i odtąd uważałem siebie za depozytora tych pieniędzy, zaraz skrzętnie je pozbierawszy, zgarnąłem do kupy; że nas noc wkrótce zapadła, obliczyć tego skarbu nie mogłem; lecz napełniony błogim spokojem z przedsięwziętego zamiaru, wkrótce twardo usnąłem.

Obudzony równo ze słońcem, a rzeźwiejszy daleko, tak mię ona myśl zdjęcia ze siebie tego ciężaru uszczęśliwiła, co prędzej chwyciłem ten depozyt w celu dokładnego zweryfikowania — otóż co zawierał:

W pierwszym zwitku dziesięć sztuk złota, a na

nim ten serdeczny napis, który mi łzę do oka powołał:

„Wierni przyjaciele proszą o modlitwy na intencyę szczęśliwej podróży i pomyślnych dalszych sukcesów ich podróżnego, obecnie przyjaciela brata Humilisa“.

Gdybym nie poznał pisma starego, odgadłbym go po sercu.

Dalej cztery inne zwitki, każdy zawierał po dwa talary, na nich zaś pismem niewprawnem, dziecinnem następne napisy:

„Andzia prosi o modlitwy, ażeby jej kurki się chowały“.

„Justysia prosi o modlitwy, ażeby Bóg dał zdrowie tatusiowi i mamusi“.

„Proszę bardzo, żeby się brat dobrodziej pomodlił na intencyę, żeby mię tak często koń nie zrzucał. Walek“.

„Janek składa tę drobną ofiarę na intencyę, żeby mu „Alwar“ łatwiej właził do głowy“.

Były to wszystko czworo miłe dziateczki Kętrzyńskich; przyznam się, że najstarszy Janek, któremu alwar trudno lazł do głowy, dwunastoletni walny chłopak, był mój największy faworyt.

Dalej znajdowały się większe i mniejsze datki od gości i domowników, a tych naliczyłem na kwotę, jak dziś pamiętam 324 złote.

Wszystko to włożyłem w rozbitą tabakierę, a obwinąwszy szmatką i zawiązawszy sznurkami

i ułożyłem nadto szporty; a po uczynionej gorącej modlitwie przysiągłem sobie uroczyście, iż tego depozytu nie ruszę w żadnej najgwałtowniejszej potrzebie, żebym nawet umierał z głodu. W ten sposób ulżywszy sumieniowi, razem jakbym zdjął jakiś ciężar z ciała, raźno i swobodnie puściłem się w dalszą drogę.

Wierzyłem to ja zawsze w jakieś tajemnicze nadprzyrodzone sympatye, wiążące ludzi pomiędzy sobą, tak i teraz się ze mną działo, bo ów dar cześnika, jego dzieci i gości, który mię odrazu tyle zatrwożył, stawał się teraz jakby ulgą w tem nowem tułactwie, dając cel mojej zagadkowej podróży. Już na zadane sobie pytanie:

— Dokąd idę? — miałem gotową odpowiedź:

— Złożyć mój święty depozyt w pierwszym napotkanym kościele.

Lecz o dziwo! smutne dziwo, że w kraju chrześciańskim napełnionym chwałą bożą i jej przybytkami, dla mnie odszczepionego od zgromadzenia wiernych, nie było świątyni i moja suknia zakonna, która wszystkich ją wdziewających zbliżała do kościoła, mnie jak najdalej odtrącała.

Najtrudniejszem stało się dla mnie zadaniem wyszukanie kościoła, który znajdował się prawie w każdem miasteczku, wiosce, lub więcej zaludnionem miejscu; nie mogłem bowiem stawić się tam, bo proboszczowie byli obowiązani zapytywać wędrownych duchownych o obedyencyę, toż

i władze świeckie czyniły, gdyż zdarzało się niekiedy, że łotrzykowie i wałęsy pod pokrywką takiej sukienki swój niecny proceder prowadzili. Przyjść zresztą zakonnikowi do innego kościoła z takim znacznym datkiem, byłoby to obudzić podejrzenie, „dlaczego ofiary nie niesie do własnego konwentu, jak to jest jego powinnością?“

Umyśliłem wziąć się na inne sposoby, w ciemnościach nocy podkradałem się do kościołów, próbując, czyli nie znajdę skarbonki na zewnątrz przybitej, lecz to się tylko praktykuje po większych miastach, gdzie dozór władzy czujniejszy, a w miejscach mniej ludnych skarbonki od złości ludzkiej chronią zazwyczaj wewnątrz kościoła. Poczynał mi tedy ciężyć ów depozyt i znów jak on legendowy żyd wieczny tułacz, tak ja „pseudomnich tułacz“, włóczyłem się po świecie, nie mogąc dojść do celu. Rozpacz mnie ogarniała, różne grzeszne myśli napływały do głowy, że strach bierze powtarzać.

Puściłem się w drogę jak przedtem bezmyślnie i bezcelowo, szedłem, a szedłem, gdzie tylko oczy zajrzą a nogi poniosą; dotąd jeszcze o jutro nie kłopotałem się, bo jak niegdyś poczciwa ręka Daniela, tak dziś hojna cześnikowa szportę mi napełniła przeróżnemi darami.

Nie będę opisywał szczegółów tej nieszczęsnej podróży, którą śmiało możnaby porównać do przechadzania się zwierzęcia po więziennej klatce,

lecz owo moje nowe pielgrzymowanie zakończyło się właśnie w skutek hojnego zaopatrzenia szporty, a w czym nie powiadał wyżej, że są ludzie rozlewający dobry *omen* na wszystko, co się do nich zbliży.

Otóż w jaki dziwny sposób szporta owa wywarła wpływ na moje dalsze losy: O ile przypominam, już z parę tygodni prowadziłem moją zagadkową peregrynacyę, gdy pewnego wieczora zmęczony całodzienną podróżą, natrafiłem na gęsty las; na samym skraju stała waląca się karczemka, ale tak zrujnowana i niepoczesna, żem sądził ją być niezamieszkałą; pod samą karczmą kupka drzew starych, wiążących się pomiędzy sobą gałęziami, miły cień dawały, tak iż mię coś w to miejsce ciągnęło dla odpoczynku; usiadłem więc sobie na przyzbie pod owemi drzewami, a sądząc się być samotnym i niepostrzeżonym, otworzywszy szportę w zamiarze posilenia się najprzód namacałem u spodu, czyli są moje skarby depozytowe, które mię najbardziej niepokoiły, a że te znajdowały się na samym spodzie, zatem aby je namacać, musiałem podobywać mnóstwo rupieci, które przy sobie złożyłem. A śmiało spytam „czego tam nie było z hojności zacnej cześnikowej?“ kilka par bielizny, kaftan włóczkowy, kilka par pończoch wełnianych cienkiej roboty i wiele innych rzeczy, zaprawdę niepotrzebnych mi, a ciążących w podróży i gdyby

nie to, że wyjeżdżając z ich domu razem z cześnikiem, szportę odrazu włożono na wózek, byłbym się od przyjęcia tego wyprosił.

Otóż zajadałem sobie w najlepsze, ani przypuszczając, że ktoś na mnie patrzy, a cała prawie zawartość szporty, rozumie się oprócz depozytu, przy mnie na przyźbie leżała, gdy wtem usłyszę obok siebie głos chrypliwy:

— Kłaniam się jegomościu.

Obejrzę się, aż przy mnie tuż stoi ogromne rude żydzisko szperając w moich manatach zezowatemi oczyma i znów prawi:

— Dobry apetyt jegomościu życzi... a jegomość zdaleka, pewno zmęczony? a jegomość jest od reformatów, a ja znam wiele reformaty, tu oni od nas o siedm mil w Lublinie.

Nie bardzo byłem rad żydowi, ale „niema złego coby na dobre nie wyszło“; przynajmniej dowiedziałem się gdzie jestem, o siedm mil od Lublina, zupełnie w przeciwnej stronie niż ta, do której nibyto dążyłem.

— Cóż jegomość posyla się na sucho, możeby czym zakropić, u mnie jest doskonałe trunków?

— Dziękuję, nie pijam.

— U mnie jest takie klasztorne, wiszniówka, kordyał...

— Dziękuję — odpowiem sucho, chcąc pozbyć się żyda.

— Do woli jegomościa. Piu, piu, a jak jegomość podróżuje, to jak jaki Purec, a co za kaftanów, co za ponczochów, jakiego bielisna...

— Et! rupiecie — rzeknę od niechcenia, zbierając manatki, aby się uwolnić od niemiłej obecności żyda, któremu niedobrze z oczu patrzyło; lecz mi nie dawał za wygraną i znów się ozwał, a teraz z pewną jakąś tajemniczą intencyą w głosie:

— Z przeproszeniem jegomościu, czy to was tak z konwentów bogato wyprawili?

— A co acanu do tego — odparłem zachmurzony, chcąc odłożyć torbę na plecy i dalej się wybierać.

— Czego to jegomość si nagniewal, ja sobie tak powiedzil, bo ja tu różne rzecze kupuję, a nie pitam zkond woni sie wzieli... jabym u jegomościu kupil cokolwiek, bo tam u panów reformaty tego nie noszą.

Myśl szczęśliwa przeleciała mi po głowie, że za te pieniądze mógłbym sobie kupić inne suknie i pozbyć się habitu, jako cudzej skóry; siadając napowrót, zapytam żyda bez gniewu:

— A co acan kupujesz?

— Wsistkiego... prosi nie patrzić co moje chaty wali sie, ja moge duże kupić i dobrze zapłaci... a może jegomość pozwoli miodu, mam doskonały bernadyński.

— Nie, dziękuję... a cóżbyś waćpan chciał kupić?

— Ano wsistkiego co wam nie potszebni, a tilko zawadzi w drogę... a może chcecie facyendować, to proszę do komory, u mnie tam tyle pięknych rzeczy.

Przez ciekawość poszedłem za żydem przez bramę, gdzie przy stole kilku ludzi posilało się, ci ujrzawszy mnie, powstali i powitali, a jeden całując w rękę, ozwał się:

— Niech będzie pochwalony... Co to ojciec dobrodziej z rudym Moszkiem się wdaje... to żyd poganin niedość mu świeckich ludzi oszwabiać, a jeszcze chce i duchownych...

— On i kradzione rzeczy skupuje, a czasem i sam...

— No ty ganef, zalej sobie pysk kiedy masz za co, a nie szczekaj, co ja od ciebie wydrwił, kiedy nie masz sukmany na grzbiecie.

Po usłyszanem, jeszcze większa wzięła mię ciekawość zwiedzić składy Moszkowe, a gdy tam wszedłem, wydziwić się nie mogłem rozmaitości przedmiotów; najwięcej tam było sukien bogatszych już to i prostackich, niejedna mnie nęciła i radbym ją za habit zamienił, alem tego nie mógł uczynić z obawy ściągnięcia na siebie podejrzenia.

— Może co jegomość wybierze na facyendę?

— Nie masz tu nic przydatnego dla zakonnika, zatem jeżeli chcecie na gotówkę.

— Do woli jegomości, ale niechno moja Sure obaczy, co to warte?..

Przywołał Sury z bachorami; wszyscy zaczęli przezierać, przewracać i obmacywać moje rupiecie, widziałem z miny, że się żydowicy podobało; wszakże po paru godzinach targu i szwargotaniu, żyd narzucając po groszyku, ledwie doszedł do pięciu talarów, t. j. najwyżej piątej części rzeczywistej wartości, a tymczasem i noc zapadła.

— Ano — zawołał żyd przebijając rękę swoim zwyczajem — no ręka, daję jegomości pięć talarów, a jeszcze i wieczerzę, doskonały rosół z kurem i łobszynem i szczupak faszerowany, no i szklanka miodu bernardyńskiego... no lepiej powiem jegomości, za nocleg w alkierzu nic nie wezmę... a no git!...

Żyd mię wymęczył, dobiłem targu, a i to prawda, że pięć talarów przedstawiało dla mnie majątek, a większa sposobność pozbycia cudzej skóry. Co zaś do noclegu myślę sobie:

— Pewnie żydzina bawi się handlem skradzionych rzeczy, a kto wie, i sam się złodziejstwem trudni, może u mnie podpatrzył depozyta i zamierza mię okraść; jeżeli więc nie zostanę, pójdą śladem za mną w las, tam mi tył wezmą znienacka i wyjdzie na gorsze; na miejscu zaś łacniej

się obronię, mam kosztur kuty i siłę, a kto wie, ten co mię witał, ma jakąś poczciwą minę, może mi przyjdzie w pomoc, a także miał nocować.

Spożywszy łokszynę i rybę, obawiając się jakiej zaprawy w trunku, wodą zapiłem i do snu się udałem. Ow alkierz zachwalony przez żyda, była to brudna komórka, za posłanie miała stęchłą słomę, starą derą przykrytą, ale przy mojej włóczędze i to mi za puchy starczyło.

Radość z tej nadziei, iż wkrótce zrzucę ze siebie tę skorupę zakonną, która mi paliła skórę, spać mi nie dawała; lecz i to spodziewanie niedługo trwało, rozwiał je bowiem nowy frasunek: bowiem przyszło mi na myśl, że pomimo zdobycia potrzebnej kwoty na kupno choć lichego przyodziewka świeckiego, jednak samo wykonanie tego zamiaru przedstawiało dla zakonnika niezwalczone trudności podając go w podejrzenie. Zacząłem tedy biedzić się i suszyć głowę nad tem, jakby przemódz te przeszkody, a nagle zaświtała mi myśl genialna w głowie, ażeby korzystając z dobrej sposobności, jaka się w tej karczmie nadarzała, *okraść się!*

Dla wyjaśnienia rzeczy opowiem, jakie były ku temu zamiarowi sprzyjające okoliczności przez samo położenie karczemki, które przed udaniem się na spoczynek dla własnego bezpieczeństwa obejrzałem — okno mojego alkierza wychodziło samo jedno z całego budynku na ogród zaopusz-

czony i ogromnemi burzanami i chwastami zarosły; o kilkaset kroków znajdowała się stara studnia na kilkanaście łokci głęboka, woda w niej cuchnąca i zrujnowane ocembrowanie świadczyły, że jej nie używano; drugie pareset kroków za studnią poczynał się las bardzo gęsty.

Otóż krótko mówiąc, tak sobie poradziłem: Kiedy się przekonałem, że wszyscy w domu, tak gospodarz, jako i kilku gości dobrze już spali, pozostawszy w jednej bieliźnie, w wełnianych pończochach i takimże kaftanie, niesprzedanym żydowi, a pochodzącym z darów cześnikowej, powtykałem nieznacznie przy sobie poza kaftanik i pończochy mój depozyt święcie chowany, pieniądze wzięte od żyda zawinąwszy w chustkę, wsunąłem w słomę mojego posłania; wszystkie zaś rzeczy zakonne ze szlachetnych darów brata Daniela: habit, płaszcz, owinąłem dokoła szporty napełnionej wewnątrz ziemią dla większego ciężaru i obwiązawszy paskiem świętego Franciszka cisnąłem w onę studnię, a kiedy usłyszałem, iż już plusnęło i zanurzyło się w wodzie, westchnąłem pełną piersią, jakby kamień cetnarowy z niej opadł; dziękowałem Bogu, żem pozbył się nakoniec tego piętna zakonnego, które z poczciwej chęci brata Daniela tak fatalnie do mnie przyrosło! Jednego żal mi było serdecznie, to prowizyi imćpani cześnikowej; już to i dla zachowania jej zacnej pamięci, ale i dla smacznego przyrzą-

dzenia samych zapasów, skonsumowałem na pożegnanie ile wlazło.

Dopełniwszy szczęśliwie tej kradzieży, podeptałem kilkakroć wysokie chwasty po drodze od mojego okna do lasu, ażeby zostawić ślady niby kilku złodziei; pamiętny jednak, że ten szwab Fryderyk przez ślady na ziemi dośledził mojej wycieczki, biegałem w trepach, i te naostatku rzuciwszy do studni, wróciłem do alkierza przez okno, które zacząłem tłuc z całej siły, wołając w niebogłosy:

— Gwałtu! ratujcie, jestem okradziony!

Tak zacząłem się uwijać a wrzeszczeć, że w kilka chwil całą karczmę podjąłem ze snu na nogi; wbiegli prawie razem do mego alkierza, żyd prawie nagi, z pejsami i brodą w pierzach, trzymał latarkę, a drżał cały ze strachu i gardłować począł silniej nademnie.

— Gwalt, gwalt, a ganyf, lapajcie ludzie, dam garniec gorzałki!

Za nim stali dwaj owi, co mię powitali i jeszcze para jakichś nocujących w karczmie, a wszyscy widocznie jeszcze całkiem trunku nie przespali; pierwsi dwaj odrazu wysworowali się do żyda, a jeden z nich chwytając żyda za kark, wołał groźnie:

— Mówisz ty Judaszu, żeby łapać złodzieja; oto już cię trzymam, bo to nie kto inny tylko ty okradłeś łotrze szanowną duchowną osobę!

Wszyscy się do niego przyłączyli i uczepiwszy się biednego żyda, każdy swoje dorzucał:

— To jeszcze tobie mało, że twoi umęczyli Pana Jezusa, a ty jeszcze będziesz okradał święte sługi jego!...

— A kto to okradł wieprzowników lubartowskich, jeżeli nie ty?...

— Gwalt! ratujcie, a rozbijny bies!... czego wy odemnie chcecie... idźcie zobaczcie, musi być ciepła pierzyna, na której spałem.

Bełkotał żyd wybladły, dzwoniąc zębami. Nadbiegła żydówka z bachurami, zaczęły wyć, lamentować, szarpać ludzi trzymających starego żyda, ci zaś ich kopali nogami; powstał lament i rwetes niedoopisania. Ja zaś utajony sprawca tego wszystkiego, stałem na uboczu srodze zmodyfikowany, że mi ta impreza powiodła się daleko lepiej nad oczekiwanie.

Biedny żyd przemagając strach, przemówił:

— No, co jegomości mogli ukraść, to ja zapłaci, poszli po suknie do panów reformaty do Lublina, dam jeszcze pieniędzy za szkodę, tylkoż wy nie duście!

I opędzał się biedaczysko na wszystkie strony, ale ci go silniej jeszcze trzymali!

— Oho! mądry żyd, chce opłacić marną złotówką znaczną szkodę; przecie to ojciec pewnie z kwesty wracają, kiedy wam takie rzeczy za bezcen przedali, a musieli mieć pieniądze; tyś to

zwąchał żydowinie, przeklęty Barabaszu i nasłałeś swoich złodziei!...

— Co tam z nim długo gaworzycie, a oddajmy go naszemu staroście, on prędko z żydami kończy, każe wysmagać oprawcy, to się wszystko znajdzie... a starosta dawno na ciebie łotrze ma chrap!

— Do starosty, do starosty, nasz starosta nie żartuje z tem parszywstwem, a gdy weźmie na humor, to od pierwszego słowa każe powiesić; a dajcie tam który sznura, to go zwiążemy...

Dopiero poczęła się muzyka lamentów i gwałtowań; ja chciałem parę razy wdać się, ale mnie zagłuszyli.

— Zmiłujcie się ludzie... — jęczał żyd jakby konający — co ja winien, że jakieś złodzieje, rozbójniki napadli?... niech duchowne osobe na sumienie powie, jakie ma szkody, ja zaplaci, tylkoż nie prowadźcie do starosty, bo wun taki sierdzisty, co strach!...

— Ano zgoda; niech ojciec dobrodziej powiedzą, jaką mają szkodę, musi huncwot zwrócić z dodatkiem, a nam jeszcze dać gorzałki i miodu za to, że puścimy, ale pieniądze tu na stół co do gronia.

Przemówił rozkazująco przewódca tej wyprawy. Wszystkie oczy zwróciły się na mnie; rad nakoniec, że mogę przyjść do głosu, bo przera-

żony skutkami mojego pomysłu, może niemniej byłem wylękniony nad biednego żydka, rzeknę:

— Niepotrzebnie dobrzy ludzie znęcacie się nad niewinnym człowiekiem...

— O, o! co to miłość chrześciańska bliźniego, choć to żyd poganin, dobrodziej go jeszcze oszczędzają. Ale my prosimy ojca powiedzieć dokumentnie, jaką mieli szkodę?

— Żadnej — odpowiem — prócz ubogich sukien zakonnych, bo sami byliście świadkami, że co miałem lepszego, sprzedałem wczoraj karczmarzowi...

— Raczej wydrwił u was za psie pieniądze — wtrącił któryś — a nawet te liche pieniądze, co wam dał, pożałował psia wiara i okradł.

— W każdej sprzedaży to już dobra wola — rzeknę — a pieniądze wzięte od niego posiadam, bom je zachował w słomie.

To mówiąc, wygrzebałem ze słomy chustkę z pieniądzmi; około biednego żyda wolniej się zrobiło.

— No, ale inne pieniądze? — zapyta przewodniczący.

— Innych nie miałem.

— Owoż co to jest zacność duchownej osoby... ale wszelako mieliście szkodę i co za nią żądacie?

— Szkoda wprawdzie niewielka, Bóg ją dopuścił i niczego od niewinnego żądać nie mogę...

ale prosiłbym tylko, aby mi sprzedał jaką taką sukmankę, ażebym w niej dostał się do konwentu, w braku zakonnej odzieży i taka starczyć musi...

— Oho jeszcze czego, sprzedał... zapewne... ja na to nie pozwolę — zawyrokował przewodniczący.

— Nie, nie!.. powinien dać bez żadnej pretensyi i to najpiękniejsze suknie, albo niech idzie do starosty — zawtórowali inni.

— Już jak waćpanowie chcecie, tylkoż puśćcie mnie i nie prowadźcie do pana starosty, bo on na naszych żydków bardzo niełaskawy — błagał biedny żyd na pół martwy ze strachu.

— Dobrze, ale niech ojciec dobrodziej powiedzą, że się zgadzają na wybór nasz, bo inaczej do starosty!..

— Puśćcie go tylko waćpanowie, jakoś się skombinujemy — rzeknę z kompasyą nad biednym żydem, którego turbacyi stałem się głównym powodem, co już mi wyrzucało sumienie.

— No kiedy ojciec dobrodziej tak zrezolwowali, to dobrze, ale zawsze miejcie na oku żyda, póki nas nie zaprowadzi do swojej złodziejskiej komory! — komenderował pierwszy.

Chociaż nie szarpali już biednego żydka, ale zawsze go wzięli pomiędzy siebie i w ten sposób prowadzili do komory; droga do niej przechodziła przez szynkowną izbę; żyd coś już przedtem szepnął swojej Surze i ta się w ogólnem zamie-

szaniu wymknęła, a kiedy przechodziliśmy przez szynkownię, stała już tam przy stole zastawionym rozmaitym napojem i jadłem, a ujrzawszy nas odezwała się:

— Proszę pokornie waszmościów na poczęstunek.

— Oho! stare sztuki, chce nam zalać ślepie, żeby ojca duchownego oszukać — odburknął promotor.

— Zostajcie zdrów panie Macieju, u was taka tęga głowa, żeby ją całem morzem nie zalał, albo to my się nie znamy i nie od dziś, a nim mąż otworzy drzwi, to czarkę wychylicie i tak już dawno jesteście naczczo — przymilała się żydówka.

— Ono to prawda, że mnie kroplą na ziemię nie zwalisz, zawsze mam swój rozum... No żydzie, co ty tam tak długo majstrujesz przy tych drzwiach, uwijaj się!.. a tymczasem panie Jakóbie w wasze ręce.

I promotor nalawszy czarkę, wychylił do kolegów. Żyd tymczasem drżącą ręką otwierał kilka zamków przy drzwiach kutych i czegoś mu brakowało, to klucz był nie ten, to zawiasy zardzewiały; jego zaś dotychczasowi prześladowcy zajęli się kuflem gęsto pomiędzy nimi krążącym, niektóry czasem mruknął:

— A no tam żydzie otwieraj, bo ci łeb otworzę!

Żyd nakoniec otworzył komorę, której teraz lepiej się przyjrzałem; w istocie bogactwa tam

były niezliczone, a taki skład przy lichej karczemce mimowoli napędzał do głowy suspicyę, że jakieś szalbierstwo pod tem wszystkiem się kryło: miałeś tam najdroższe szaty, złotogłowia, stroje białogłowskie, manele z pereł, halszbanty z prawdziwych koronek, drogie pasy, karabele, obok najróżnorodniejszej mizeryi charłackiej, siermięg, łapciów, opończy etc.

Chociaż żyd mnie po cichutku wprowadził do komory, jednak nie uszło to baczenia pijanic, zaraz się tam wsunęli, a ochrypłym głosem wołali.

— Ano niechże ojciec dobrodziej wybiera, ale bez skromności zakonnej, proszę Judasza nie szczędzić, trzeba go nauczyć, co to duchownych okradać!

Pragnąc co rychlej wywinąć się z tego rwetesu, chwyciłem wiszącą z brzega jakąś opończę i chcę biedz precz, mówiąc:

— Dziękuję waszmościom, już mam wszystko, co mi potrzeba.

— Za pozwoleniem ojcze dobrodzieju, a przecie my mieliśmy wybrać wam odzienie, tak się rzekło i ja od tego nie odstępuję...

Rzecze promotor zachodząc mi drogę.

— Poczekajcie, ja wam powiem, co dla was będzie najlepszem i najgodniejszem duchownej osoby, oho! ja się na tem znam...

To mówiąc, ściągnął z kołka żupan biały lamowany, na kilka srebrnych guzików u góry

spięty, kontusz karmazynowy aksamitny, z potrzebami złotemi, czapkę takąż z czaplim piórem — aż żyd pobladł na widok tego rabunku, a podając mi, mówił:

— Owóż ojcze dobrodzieju, jest rzecz godna duchownej osoby i raczcie się w to odziać.

— Oszaleliście waćpanowie — zawołam z gniewem — i grzeszną poczynacie zabawkę... cóżto chcecie, ażebym się przebrał za arlekina, kiedy powiadam, że w braku ubogiej sukni zakonnej, jedna mi prosta siermięga przystoi — a nadto chcecie niewinnie ukrzywdzić człowieka i nie on was okrada, ale wy jego i jeszcze mnie do niecnej spółki wciągacie... chodźcie lepiej do starosty, ja pójdę z wami i powiem, jakich tu ekscesów i znęcania nad niewinnym dopuszczacie się, a niewiadomo kto będzie ukarany?

A tak ostro im wypaliłem one *verba veritatis*, iż zmiękli, a uszy opuścili, aż biedny żyd spojrzał na mnie z wdzięcznością.

— A ma racyę ojciec dobrodziej, Macieju, czego nadto, to niezdrowo; poczekajcie, ja was pogodzę.

Wmięszał się inny, a choć widocznie pijany, wszakże z waszecia, snadź szlachcic, a całując mię w rękę, dalej prawił:

— Ojczusiu mój dobrodzieju, jak to wy dokumentnie wyłuszczyliście morał, jak z ambony,

znać zaraz mądrość i stateczność duchownej persony... zdajcież się na mnie, ja was pogodzę...

— Ano niech pan Jakób mówi, on mosanie stary palestrant... gadajcie Jakóbie, już będzie, jak powiecie!... — zawołali chórem opijusy.

— A kiedy wola, to ja tak mówię, że taka duchowna osoba nim się wokacyi poddała, musiała być wprzódy *urodzoną*[1]), bo mieszczuchów, a tem bardziej chłopów do zakonu u nas nie puszczają, a niema nic do tego, że zakonna suknia uboga, ale i karmazyn dla chwały Bożej wdziać się jej nie sroma; atoli kiedy szlachcic ma się przybrać po świecku, to już koniecznie w strój jemu właściwy, zatem bądźcie łaskawi ojcze dobrodzieju wybrać coś z tego wedle skromnej waszej chęci, ale by to było szlacheckiem, bo inaczej was nie puścimy... bo zresztą z miny wam patrzy, żeście szlachcic.

— A niechże cię panie Jakóbie wściornaści.

— Gadasz, jakbyś na sejmie marszałkował!

— Znać zaraz mosanie *jurisprudenta*, ino parę z gęby wypuści.

— Zgoda! Zgoda!

— Niech tak będzie, jak pan Jakób powiedział, niedarmo on w księgach czyta... Vivat! niech żyje pan Jakób!

---

[1]) „Urodzonym“ zwano dawniej szlachcica, tak jak mieszczanina *sławetnym* a chłopa *pracowitym*.

(Przypisek kopisty).

Wrzasnęli jeden po drugim i dalejże wiwatować i ściskać autora. Podczas tego gwaru biedny żydek wylękniony szepnął mi modląc się prawie:

— Zmiłujcie się jegomość, weźcie co chcecie, tylko rychło, bo przeklęte pijanice moją ruderę rozwalą i Bóg wie czego gotowi się dopuścić!

Nie namyślając się długo, sięgnąłem ręką do kołka i zdjąłem jakąś wytartą kontusinę ponsową, przy nich pestrowe hajdawery, buty czerwone, pas tkany z klamrą prostą szmelcowaną i czapkę zieloną z siwym barankiem — snadź był to cały garnitur, wszystko nie bardzo cenne i podszarzane; aż się żydowi rozjaśniło oblicze, żem skromny był w wymaganiach. Chciałem mu wsunąć jego talary wczorajsze, lecz dostrzegłszy tego promotor, wdał się:

— Wara żydzie od pieniędzy, bo cię uduszę! — zawołał.

— Ano czy też jegomość dobrodziej zakonnik potrafisz wdziać suknie świeckie? — rozpoczął pan Jakób na nowo i zaczął mię ubierać, czemu się poddałem dobrowolnie, bo co z pijanym począć.

— A niechże was *Deus* sekunduje! a toż wy bardziej pochodzicie na szlachcica niż mnicha; szkoda was będzie napowrót w kaptur wsadzać, a niechno jeszcze przez jaki tydzień wąs odrośnie — zanuci p. Jakób strofkę znanej piosenki:

„Wąs zawadyacki, a fantazya łebska —
Wybaczaj bracie, że fantazya kiepska!“

— A wasza prawda Jakóbie — ozwie się promotor — że siarczysty z naszego ojca kawaler a biedak ma tylko pięć marnych talarów żydowskich, może jeszcze oberżniętych... a no poduście żyda, niech jeszcze da takich z 50! przecie to biedny zakonnik, stracił klasztorny dobytek, a niech tam konwentowi coś przyniesie.

— Ano chłopcy na żyda! — zawoła pijana zgraja.

Zydzisko nieborak rad, że od burdy tak tanio się wykupił, na nowo pobladł, wargi mu zadrżały i wyjęczał:

— Gdzie u mnie biednego żydka 50 talarów!...

— Co ty poganinie Judaszu, nie masz... no to poczekajcie, za każdego talara wyrwiemy mu po dziesięć włosów z rudych pejsów...

— Ano zgoda! — zawtórowała hałastra i już rzucała się na przyszłego pacyenta.

— Aj waj! — wrzasnął żyd jak oparzony i nogi się pod nim ugięły.

Zakipiałem cały na takową barbarzyńską intencyę tych pijanych łotrów, w mgnieniu oka myśl mi powstała w głowie, a wykonałem ją z szybkością błyskawicy: chwyciwszy ze ściany jakąś szablinę, wiszącą tam pomiędzy inną bronią, obnażyłem i jak puszczę młyńca pomiędzy tę hołotę, przypominając sobie chorągiew i namiestnika, wszyscy jak żaki przed rózgą profe-

sorską w kąt się pochowali; pierwszy pan Jakób wcale niezatrwożony wystąpił:

— A niechże cię uściskam drogi mój jegomość, za tego młyńca; zanieś go na trybunał do Lublina, a dalipan zarobisz fortunę!

A do swoich się zwracając, rozkazywał:

— Won chamy hołota, widzicie, że to ze szlachcicem sprawa, precz!...

A biegł do mnie z rozwartemi ramiony, ja jednak oparty o ścianę, wyprostowałem rękę z szablą, nie dając mu dostępu, z obawy zdrady:

— Nie obawiaj się waść, na parol szlachecki, że tu niema podejścia, a tylko muszę cię panie bracie uściskać, a już ja cię teraz nie dam *ut sum Sodalis,* własną piersią zasłonię.

Na „parol szlachecki“ opuściłem szablę, a imci pan Jakób zawisł mi na szyi, szubrawcy stali w kącie pokorni jak owieczki; kiedy już mnie do woli naściskał, rzecze z przekąsem do nich:

— Wy łyki *sławetni*, ale to *z urodzonym* sprawa, a nie na pięście, ino na szable, to już nie wasza rzecz; nie macie co tu dłużej popasać, bo tu *my* szlachta, won do szynkowni, a zalejcie sobie ślepie, kiedy macie czem, nas tu zostawcie samych.

Wyniosło się tałatajstwo jak niepyszne i zasiadło sobie przy dzbanie. Skoro sami z Jakóbem pozostaliśmy, szepnął mi:

— Ej panie bracie, chociaż to ja stary już,

ale instygatorem nigdy nie byłem, więc nie obawiaj się, coć powiem, że w tobie siedzi jakiś diabełek, wszakże cale niezakonny i luboś młody jest, ale machałeś czem innem w życiu niż kropidłem... idźże sobie z Bogiem, dokąd zdążałeś, a niech On cię błogosławi, bo widzę w tobie poczciwość szlachecką, żeś z biedy bliźniego, acz żyda, korzystać nie chciał...

A do żyda zwracając się:

— Słuchajno Moszku, rujnować cię nie chcę, ale po wszelkiej sprawiedliwości, ta szabla, którą cię tak dzielnie przed zapalczywością tych pijanic osłonił, powinna do tego kawalera należeć...

— Dla takiego szlachetne osoby niczego nie odmówię, a nawet proszę, żeby jegomość wybrał sobie inny droższy pałasz, ja nie będę żałował....

Powiadał żyd całując mię w rękę, której wyrwać nie miałem czasu.

— Może ty sobie i klugier rabin mój Moszku, ale co do broni toś kiep, bo dla szlachcica nie to drogie, co bogato kameryzowane, ale co w ręku warczy; ano jegomość jeszcze młyńca, a może umiesz *łuckiego**), na waletę i pożegnanie, bo choć to góra tylko z górą się nie schodzi, ale i ze starym zejść się nie łatwo.

---

*) „Łuckiemi młyńcami“ zwano szczególniejszy sposób fechtunku, który był wynalazkiem szlachty łuckiej, skorej do wybitki na sejmikach.

Usunąłem się na środek i dla satysfakcyi imć pana Jakóba, który mi się wydał serdecznym szlachcicem, puściłem młynka, a musiało to mi się nie źle powieść, bo sam czułem, że mi serce biło do broni, której dawno nie miałem w ręku. Znów mię Jakób wyściskał bez końca, aż łzy się staremu puściły, a oglądając broń, powiedział z miną konesera:

— A *ut sum Sodalis*, broń warta ręki, dobrze ci się trafiło, bo ci powiadam, to jest pałasz *Augustówka!* Dobrześ się Moszku wywdzięczył za ocalenie, ale teraz jeszcze jednobyś nam uczynił, choć to my się we dwóch nie ulękniemy tej hołoty, jednak zawsze w razie czego, szkoda i pięści, więc czy nie masz tam innego tajemniczego wnijścia, byś nas z jegomością tędy wypuścił, a coś mi się widzi, że do takiego bogatego składu tajemny przesmyk nie wadzi, nie chcemy się ocierać o tych pijaków...

Żyd się zmięszał i bełkotał:

— Niech ichmościowie idą, oni się tam popili, nie dojrzą... gdzie zaś tu drugie wyjście...

— Ej! żydzie kręcisz, a życie ci wybawiono... daję ci parol szlachecki Jakóba... rozumiesz, za siebie i jegomościa, że tajemnicy dochowamy, a zresztą nie wiem, ażali jego drogi kiedy tu przywiodą...

Żyd się zakręcił, poskrobał w głowę:

— Czego to ja dla jegomości nie zrobię, a za wasz parol to w ogień wskoczę, bo wy uczciwy człek.

Po tych słowach zaryglował pierwsze drzwi, potem odsunął sprzęt jakiś, pozdejmował zawieszone suknie i ukazały się drzwiczki maleńkie, równie mocno kute, prowadzące do jakiegoś kurnika z przeciwnej strony karczmy, żyd pożegnawszy nas czule drzwi napowrót zamknął, mnie zaś pan Jakób co prędzej wprowadził w gęstwinę przyległego lasu. A skoro karczmę z oczu straciliśmy, obejrzawszy się dokoła, zatrzymał:

— Teraz nie mamy się czego obawiać, a zawsze lepiej zdaleka od tych pijanic, bo to łyczaki, chamy, a mściwe gdy zaleją pałę... Pozwólże mi teraz cny kawalerze, *discretim* zapytać ciebie, dokąd dążysz?...

Widząc zaś moją konsternacyę na to pytanie, do którego wcale nie byłem przygotowany, dodał spiesznie:

— Nie miejcie mi za złe, bo to się pytam, chowaj Boże, nie z nagannej ciekawości, bo choć to jestem prawnikiem, ale jako powiadałem, instygatorskiej funkcyi nie pełniłem, atoli wyznam, że z paru słów waszeci wyrozumiałem, iż ci niewiadoma okolica, w której się znajdujesz i coś ci tam cięży na predestynacyi... *salva curiositate*, nie pytam wcale, jedno wiem, żeś człek poczciw,

boś tym łotrom nie podał ręki na obrabowanie żyda, i żeś szlachcic jest, miałem dostateczną konwikcyą w onym młyńcu, a powiedziano jest: „ręka rękę myje, szlachcic szlachcica podpiera, bo jeśli się nie wesprą, kij dyabeł ich podeprze“; *ergo* bez rankoru panie bracie, za ono niewczesne: „dokąd dążysz?“

— Któżby to chował rankor za tyle serdeczności, ile mi waszmość okazujesz, a dowód tego najlepszy, że na waści pytanie odpowiem: „jestem nieszczęśliwy i sam nie wiem dokąd dążę“.

— Wiedziałem ja to bez onych słów waszmości, luboć nie byłem instygatorem, jak się wyżej rzekło, ale z kondycyi prawnej w jakie dziesiątki tysięcy par oczów spojrzałem i umiem w nich czytać, jak astrologowie w gwiazdach... Nie spowiadam waćpana i niczego więcej dowiedzieć się nie pragnę, ale jako bliźni, a szlachcic, chciałbym ci przyjść w pomoc i jeżeli rada starego na co się przyda, toć powiem, idź do Lublina, tam z podobnym młyńcem jak twój, o ile zaś znam się na ludziach, i z głową waszmości, dodrapiesz się do czegoś...

Widząc zaś moje zdziwienie nad tą radą, stary pokiwał głową i dalej prawił:

— Ale prawda, wiem co waść myślisz, „pięć talarów w kieszeni, nieznane wielkie miasto, co tam poczną?“ i słusznie, ale pozwól, że ci od-

dam braterską przysługę, owóż odszukasz tam gospodę, tak zwaną Joyny, żyd to poczciw, a wielki prawnik, może mędrszy od wielu mecenasów, mieszka na prawo w uliczce za Dominikami, pierwsza gospoda, okiennice zielono malowane, na jednej z nich wyobrażony jakiś biedak jedzący z pełnej misy, u dołu napis „gospoda pod chudopachołkiem“, ale nie zważaj na to, bo i magnaci się do Joyny wsuwają... zresztą sam waść obaczysz...

— Stokrotnie wdzięczen jegomości — przerwałem szlachcicowi.

— Gorąco waść kąpany, młode piwko jeszcze się nie wyburzyło, trzeba się mitygować... powiadasz „żeś mi wdzięczen“, a za co? bo jak przejesz „pod chudopachołkiem“ mizerne pięć talarów, a Joynowa liczy za siebie i męża podwójną kredką, to cię wypędzą z gospody... Ale *patientia in mala hora*, otóż powiesz waść Joynie, tylko jemu samemu na ucho te słowa, zapamiętaj dobrze: „Missuna, pisarz ziemski sieradzki, kłania się pięknie i przypomina sprawę gardłową anno 1777“, po jednem wypowiedzeniu tych słów zechcesz je na wieki zapomnieć, na co biorę od ciebie parol kawalerski, a ja ci powiadam, że na tych słowach możesz wiele budować, jeśliś jest statek...

Dostrzegłszy zapewne zwątpienie na mej twa-

rzy, które w istocie mnie opanowało, dodał kiwając głową:

— Tak, tak mosanie, widzę jako się dziwujesz, a wątpisz, zmawiając w duchu — „jakto, ten obdartus trzymający z pijaną kompanią, z łykami i chamami, miałżeby to być pisarz sieradzki, pierwszy.kandydat na pisarza trybunalskiego?“ tak, tak, byłem nim przez kilka reasumpcyj, trząsłem trybunałem... spytaj Joyny, powie ci, a dlaczego tak nizko upadłem? gorzała bratku! gorzała!... strzeż się przeklętej gorzały bardziej niż sideł szatańskich, bo od tych święcona woda, a od...

Machnął ręką, łzy starowina miał w oczach.

— Niema o czem mówić — Joynie możesz się zwierzyć jak na spowiedzi, powodować mu się we wszystkiem, on cię nie zdradzi... a pamiętaj one moje słowa, to między nami jakby hasło wojskowe, już doświadczyłem tego na jednem w ciężkiej potrzebie... oto masz duży gościniec do Lublina, nie zbłądzisz, przechodniów wymijaj, a będzie ich siła, bo to się właśnie sam smak trybunału teraz agituje... najlepiej wejdź do miasta o wschodzie słońca, bo wieczorem można trafić na guza od pijanej palestry; wiem to ja znając grę waćpana, że burdy nie masz się obawiać, wszelako ostrzegam, lepiej ich unikać, bo za takowe, wszczęte pod bokiem trybunału, czasem i gardło dać można — ba! i burda

dobra pod czas, ale to gdy już człek stoi na twardym gruncie, ale dla poczynającego dyabła warta... Nic po temu w biały dzień przybywać, będą ci w oczy zaglądać i inkomodować, najlepiej rankiem...

Po tych słowach odwrócił się nagle po wojskowemu, jakby na komendę, „na lewo w tył“ i pobiegł w przeciwną stronę, wołając:

— Niech cię Bóg prowadzi młodzieńcze! a pamiętaj, zdaleka od gorzały, bo to początek wszystkiego złego!...

Nim się zoryentowałem, dziwny ten szlachcic znikł w gęstwinie.

Nie wiedziałem doprawdy, jak trzymać o tym cudaku pisarzu sieradzkim, wszakże postanowiłem powodować mu się we wszystkiem; nie wielki wprawdzie miałem w tem *merit*, albowiem wiele alternat do wyboru przedemną nie było. Więc stosownie do instrukcyi imć pana pisarza tak pokierowałem podróżą, aby stanąć w Lublinie o świcie i ledwie szarzało na dzień, kiedym bramy miasta przekraczał. Wszystko mi się nowem i olbrzymiem wydawało, jeszczem tak wielkiego miasta nie widział. Do dnia było daleko, a ludziska już się snuli sięd i tędy, jechały wozy na targ, szli przekupnie z prowizyą, dążył lud roboczy do pracy, a niekiedy zabrzęczało szablisko na ulicy i wężowatym marszem zataczając się, a nucąc sprośne śpiewki, lub mrucząc brzyd-

kie słowa i łajania, zataczali się pijanice, wracając z całonocnych bachanalij.

— Ocho! panowie palestra bawią się ochoczo! Szeptali na ten widok ludziska, usuwając się na bok, ja w ich ślady poszedłem ostrzeżony przez mojego szlachcica, żeby na burdę nie natrafić; zagapiwszy się na jednego, nie prędko zeszedłem mu z drogi, ten się zatoczył przedemną i ochrypłym głosem zaczepił:

— A co to mości pinsowy szlagonie (była to alluzya do barwy mojej kapoty), czy masz u boku szablę lub kopystkę do mięszania żuru?

Pomny na admonicyę imć pana Jakóba zemknąłem w boczną uliczkę, a pijanica zamną nawoływał:

— Zmykaj synku, zmykaj! bo ci mama kopystką biodra wysmaruje... Hajże go zając! hajże! ha!

— Dałbym ja ci kopystkę i zająca! — myślę sobie — gdybym stał na pewniejszych nogach, a nie miał przy sobie onych wotów Kętrzyńskiego, z któremi na wstępie postanowiłem zakończyć

Kiedy tak spłoszony przez onego zawadyakę, zapuściłem się w głąb miasta, aż tu słyszę wita mię stary znajomy!... *Dzwon reformacki!...* Tyle dzwonów rozmaitych na świecie, jedne od drugich różne, ale przez jakiś traf niepojęty, dzwon ten był na jedną podobniuteńką nutę do mojego niegdyś klasztornego w Dederkałach... Zapo-

mniałem, co się ze mną dzieje, gdzie jestem, a zdało mi się, że ów dzwon mię woła i pospieszałem na jego wezwanie; nie pytając pobożnych, dążących w tę samą stronę, o drogę, byłem pewny, że idę do kościoła OO. reformatów, a gdym się ocknął mimowoli, a przypomniałem moją obecną sytuacyę, taka mi myśl powstała:

— Z reformatami tak smutnie i boleśnie zakończyłem dawną karyerę, więc jeżeli jaka inna jest przedemną, rozpocznę ją przez modlitwę w ich kościele, a nakoniec dobra sposobność złożenia ze siebie ciężaru wotów cześnikowych, a że te były mi dane jako niby reformatowi, więc najlepiej, że pójdę wedle dystynacyi.

Trudno opisać, z jakiemi uczuciami, bo i rzewnem, radosnem i bojaźliwem, przestąpiłem próg świątyni, a przestępywałem raz pierwszy oddawna, nie potrzebując się taić, okłamywać ludzi, będąc samym sobą. Nie pomyliłem się co do kościoła, chociaż ich tam wiele w Lublinie, bowiem w chwili kiedy wszedłem, braciszek reformat zakrystyan, także staruszek jak mój poczciwy Daniel, przygotowywał ołtarz do mszy; skoro skończywszy wracał, udałem się za nim do zakrystyi i one wota cześnikowe złożyłem. Serce mi biło, zbliżając się do tych zakonników, a razem trwogę uczułem, żeby jakim wypadkiem który z Dederkał tu się nie znalazł, lub może jest prowincyał, a z nim przebrzydły szołdra Fryderyk, co mię

tak katował; zatem ofertę rychło złożyłem i chciałem wychodzić, lecz braciszek olśniony hojnym darem, z ciekawością klasztorną spytał:

— Niechże nam wolno wiedzieć, jakiemu dobrodziejowi zawdzięczamy tę łaskę, abyśmy się za niego pomodlili.

— To nie odemnie, a intencye są tam napisane na każdym świstku — odparłem i co prędzej wycofując się, wróciłem do kościoła, a zasunięty w ciemny kącik, gorąco się modliłem; wyszła niebawem *Prymarya*, a według zakonnego porządku, mnisi zasiedli w chórze i odmawiali *ad matutinam;* wyzierałem z ukrycia, żadnego znajomego nie było. Z podniesioną skruchą i pobożnością odmawiałem za nimi znane mi pacierze, lecz z kolei gdy doszło do psalmu „*Miserere*", tak mi się markotno zrobiło i ozwały się dolegliwości, żem wyszedł z kościoła.

Notabene dziwna, że dziś już stary, a owo rozdrażnienie grzesznego ciała dawno się zabliżniło, wszakże od onej katastrofy, ani słyszeć onego psalmu obojętnie, a tembardziej odmówić go nie mogę, ja co tak lubię tę wzniosłą modlitwę *septem psalmi poenitentiales*, musiałem na sześciu poprzestać, bowiem to nad moje siły odmówić „*Miserere*", które tak mi się dało we znaki.

Wyszedłszy z kościoła, obejrzę się po mieście, a owo taki ogrom, że w nim zginąćby można

snadnie. Wyznaję, że coś o tym Joynie imć pana pisarza sieradzkiego zwątpiłem, a myślę sobie: szlachcic jakiś frant, zalał ślepie i na dudka mnie wystrychnął; chętka mnie brała zapytać przechodniów: „kędy to ta Joynowa gospoda pod chudopachołkiem“, ale obawiałem się, że jeszcze zadrwią ze mnie. Wałęsałem się po mieście, rozmyślając nad tym problematem, ażali ów Joyna jest urojeniem pijanej głowy imć pana pisarza, albo zalicza się do lubelskich śmiertelników?

Gdy wtem dolatują mych uszu dźwięki kościelnej muzyki na organach, spojrzę przed się, piękna świątynia, a na niej obrazy reprezentujące sceny z życia ś. Dominika; już nie wątpiłem co to był za kościół, obok jest mała uliczka, na prawo to już dobrze wkroczyłem w nią już na poły skonfudowany, jakbym patrzył w oczy panu Jakóbowi, wyrzucając sobie, żem wprawdzie *per cuntumatiam*, fałsz mu zadał, bo zaledwie zapuściłem się w uliczkę, zaraz mi się według jego deskrypcyi rzuciły w oczy zielone okiennice, a na jednej z nich malowanie, wyobrażające jakiegoś charłaka z dużą łyżką przy dymiącej misie, a pod spodem napis: „Gospoda pod chudopachołkiem“.

Domek sam był długi, ale niepozorny, stareńki, pogarbiony, wklęsły w ziemię, wszakże na świeżo wybielony, przedstawiał miły widok zgrzybiałej staruszki czysto i ochędożnie odzianej. Jedne tylko podwójne szerokie drzwi wychodziły

na ulicę. Submitując się w duchu przed panem pisarzem, ująłem za sznurek prostej zasuwy i drzwi otworzyłem do małej sionki ciemnej; i tu nie miałem trudności w oryentowaniu się, gdyż znów jedne drzwi były przedemną, a przebywszy je, znalazłem się w izbie długiej a wązkiej, bardzo słabo oświetlonej krągłemi okiennicami u góry; tam dziwny uderzył mnie widok: wzdłuż izby była dość wysoko nasłana słoma, poprzykrywana różnorodnemi kilinkami i kobierczykami, widocznie, że tu spali dopiero pokotem, bo słoma świeżo pomięta, wszakże pomimo rannej pory, nikt na niej nie spoczywał; było w izbie kilku mężczyzn, jedni kończyli ubranie, któryś tam się umywał przy dużym lavabo w kącie, które z wiszącemi przy niem ręcznikami i kołkami na suknie, oprócz słomy jedyny sprzęt izby stanowiły, kilku klęcząc przy posłaniach półgłosem odmawiało pacierze. Widząc, żem wszedł niewłaściwie, już chciałem się cofać, submitując się tym ichmościom:

— Raczycie ichmościowie wybaczyć za przyczynioną subiekcyę....

— Prosimy, prosimy bez ceremonii, jegomość pewnie nietutejszy, pierwszy raz w mieście, przybywasz w sprawie na trybunał i chcesz odszukać „pana“ Joynę, — to tu właśnie....

Ozwał się jeden ze szlachty, wskazując na drugie drzwi.

Oddawszy tym ichmościom piękny pokłon, udałem się dalej, według wskazania.

Odrazu tedy dowiedziałem się, że ów Joyna nie wylągł się w imaginacyi imćpana pisarza, ale egzystuje; tytuł zaś „pan“, dodany przez szlachcica, już go podniósł w mojem mniemaniu i odebrał mi fantazyę, z jakąbym stanął przed onym Joyną, poczytując go za prostego żyda.

Druga ta izba, do której wchodziłem, dziwnie mi się prezentowała: była w rodzaju refektarza klasztornego, dość długa i szeroka, bo w obu podłużnych ścianach posiadała okna już prawie do samej ziemi, z racyi pochylenia całego budynku, sześć słupów drewnianych, podpierając ją wzdłuż, chroniły od zapadnięcia, pomiędzy słupami wisiały ciężkie mosiężne świeczniki o wielu ramionach, w każdym z nich paliło się po jednej świeczce łojowej, bo chociaż i słońce weszło, jednak do onych okien nizko położonych jeszcze nie całkiem wejrzało. Sprzęt izby składał się z dużych stołów pod ścianami, przykrytych grubemi, ale czystemi obrusami. Jeden kąt sali, może czwarta jej część, był oddzielony drewnianem okratowaniem i jakby inną izbę stanowił; tam przy kominie żywo płonącym, uwijała się już podeszła, atoli rzeźwa jeszcze niewiasta, mając przy sobie parę młodych dziewek do posługi; przy ogniu smażyło się coś w rądlach, a obok

na stołach leżały prowizye: mięso, ryba rozpłatana itd.

Wszędzie wzorowa czystość panowała, tak, iż nie wiedząc dokąd wchodzisz, nie powiedziałbyś, żeś jest u żyda, nic brudów, ani odrażającego fetoru, tych nieodstępnych cech żydowskich.

Pomimo wczesnej pory, przy stole siedziało już kilkanaście osób; lubo że z miny i stroju łatwo w nich było poznać szlachtę, każdy prawie posilał się jakiemś skromnem jadłem, to rybą, to jajkami, to piwem grzanem; tego wszystkiego na lśniących naczyniach cynowych dostarczały one dziewczęta.

Chociaż ludno było w tej izbie, jednak cisza taka panowała, jakby ta kompania składała się z samych głuchoniemych; każdy bowiem był tam po swojemu zafrasowany, to się zadumywał głęboko i jadł półgębkiem, lub zabaczywszy obok stojącej misy, wertował jakieś fascykuły, albo księgi prawne; inni znowu coś pomiędzy sobą z cicha szeptali, wcale nie było tego huczku i fantazyi, towarzyszących zwykle zgromadzeniu szlachty; aż mi się dziwno zrobiło, bo konwent pod czas bywał weselszy i ruchliwszy.

Po izbie przechadzał się poważnym krokiem mąż wielkiej postawy, już podeszły, atoli rzeźwy jeszcze, powierzchowność miał dość imponującą: siwa, gęsta broda, pomięszana z lekką rudzizną,

sięgała mu do pasa, twarz miał świeżą, rumianą, oczy nadzwyczaj duże, bystre a ruchliwe, pokryte okularami w ciężkiej mosiężnej oprawie; odziany był w śmiertelną koszulę, a miał na sobie wszystkie przybory, jakich żydzi używają do modlitwy; chodząc wzdłuż izby, mruczał sobie pacierze, czasami przystanął w kącie i kiwnął się kilkakrotnie, i znów chodził i mruczał. Lubo zajęty modlitwą, każdego wchodzącego powitał kiwnięciem głowy, wcale jednak nie uniżonem, ale prędzej protekcyonalnem, a wskazawszy ręką na stoły, jakby prosił o zajęcie miejsca, dalej chodził i mruczał; wszyscy zaś przytomni, wodząc za nim oczyma, zdawali się czekać, rychło-li modlitwy zakończy.

O ile z początku wejście i installacya moja w miejscu zaludnionem nieznanemi figurami, zdawała mi się być trudną i konfundującą, o tyle prędko się obyłem z nową sytuacyą, gdyż tu każdy zafrasowany, a zakłopotany swoją biedą, nie dawał baczenia na sąsiadów; zresztą i trudnemby to było, gdy ruch ciągły panował w izbie: odchodzili jedni, napływali drudzy.

Ja siadłszy na uboczu, chociaż bardziej pobudzany ciekawością poznania gospodarza, niż głodem, jednak, ażeby przy misie pustej nie siedzieć, poprosiłem o piwo grzane.

Z postawy i swobodnego przechodzenia po izbie, oraz pokłonów odbieranych i oddawanych

przybywającym, nie trudno mi było odgadnąć, że ów modlący się był gospodarz, on Joyna, którego mi tak pilno było poznać; ale i tego dostrzegłem po niecierpliwości przytomnych, że inni niemniej pilno wyczekiwali na ukończenie tych pacierzy. Nakoniec modlący się wyszedł do przyległej izby, a po chwili wrócił ztamtąd przybrany w strój zwyczajny: ten składał się z długiego mezelanowego kaftana, lamowanego atłasem, jedwabnego czarnego pasa, mycki aksamitnej czarnej z złotym kutasem — całość odznaczała się wzorową czystością, tak końce cienkiej koszuli przeglądające z rękawów, jak i pończochy i cała wogóle odzież, lubo niewyszukana, ale staranna i nadzwyczaj ochędożna. Skoro się ukazał nanowo w dużej izbie, cisza się przerwała, wszyscy z za stołów poruszyli się i hurmem otoczyli żyda, a jeden przez drugiego pytał jednocześnie, co taki gwar sprawiło, że trudno było czegoś dosłyszeć. Żyd wszakże z powagą i spokojem a lakonicznie odpowiadał na różnorodne pytania, petlowane jak we młynie, a mniej więcej temi urwanemi okresami:

— Jutro pozwy będą wydane.

— Mówiłem z patronem X., udaj się jegomość do niego.

— Pojutrze sprawa idzie na stół, bądź jegomość spokojny.

— Mówiłem jegomości, że podobnych spraw

nie podejmuję się; tylu zaś jest patronów w Lublinie, udajcie się do nich...

Przy podobnem tylko rekuzowaniu, głos przybierał nieco ostrzejszy, a wszystkie inne wypowiadał z niezmiernym spokojem i słodyczą; do kilku innych powiedział:

— Trzeba się nam obszerniej rozmówić: służę jegomości do mojej izby.

Audyencya Joyny, bo inaczej nazwać jej nie można, była tak liczną, jakby u ministra, lub jakiego wielkiego dygnitarza; trudnoby naliczyć, co się od rana przewinęło ludzi rozmaitego kalibru, już to po większej części szaraków i chodaczkowych, trafiło się i kilku karmazynów i tytułowych, ale w traktowaniu ich przez żyda żadna dyferencya nie zachodziła, jednych i drugich zbywał krótko i lakonicznie, grzecznie, wszakże bez uniżoności.

Skoro się zaczęło suplikantów przerzedzać, chciałem skorzystać kilka razy z momentu, by się zbliżyć do żyda, lecz to komuś starszemu ustąpiłem kroku, lub jacyś nowi napływali, tak iż ledwie ku wieczorowi, kiedy już nikogo prawie nie było, gospodarz postrzegając mię, a może pamiętny, iż kilka razy kusiłem się o dostąpienie do niego, pierwszy spytał:

— Czy jegomość ma mi coś także do powiedzenia? Czem mogę służyć?

Przystąpiłem do niego, ale odrazu skonfundo-

wany jego bystrym wzrokiem, bijącym z ogromnych oczu, z pod brwi nastrzępionych, języka w gębie zapomniałem. Żyd starał się mnie ośmielić:

— Zdaje się pierwszy raz mam honor oglądać waćpana, czy także macie sprawę w trybunale?

— Sprawy żadnej nie mam, ino osobiste zlecenie do waćpana od imć pana pisarza sieradzkiego.

Odpowiem zniżając głos, aby nie być od innych słyszanym; na tę moją mowę jakby czarodziejską, rozchmurzyła się posępna twarz starca i rzekł żywo i serdecznie:

— Od czcigodnego Missuny... znasz go jegomość, zdrów jest?... ale proszę ze mną do przyległej izby, tam swobodniej pomówimy.

Już zmrok zapadł, tak to się długo przeciągała audyencya Joyny, rozkazał on tedy dziewczynie podać światło do swojego... że tak nazwę „gabinetu“, bo chociaż to była izdebka pochyła jak cały ten dom, jednak bacząc na ważne sprawy, które się w niej pertraktowały, zasługiwała na to poważne miano. Izba była czysta jak wszystko w tym domu, ściany dokoła miała obstawione aż do pułapu prostemi półkami, a na nich książki i rozmaite fascykuły, a wszystko jurydyczne, o czem świadczyły nadpisy na grzbietach; w kąciku stała tylko niewielka półeczka założona księgami w złoconej ozdobnej oprawie,

te już były religijne hebrajskie, oprócz tej małej excepcyi nic tam żydem nie trąciło; przy oknie stał stół, przy nim jedno krzesło okrągłe oporęczone, skórą obite, a obok taboret z dymowym sienniczkiem i oto sprzęt. Za naszem wejściem sługa postawiła na stoliku dwie świece jarzące żółte, w ciężkich mosiężnych świecznikach; gospodarz usiadłszy w krześle, wskazał mi obok taboret, a gdyśmy byli naprzeciw siebie, tak iż światło na mnie padało, oblał mnie (bo inaczej wyrazić trudno) promieniem swego bystrego wzroku, a takiego na wskróś, od kiedym żyw nie widział, zdawało mi się, że ten przelatywał mi kolejno z mózgu do serca i świdrował do dna samego; po chwili Joyna odezwał się:

— Więc jegomość znasz imć pana pisarza Missunę, zacny to i wielkiej duszy człek, gdybyż to jeszcze statek... mówże mi waćpan, co wiesz o nim!

— Nasza znajomość jest bardzo krótka i w dziwnych okolicznościach zawarta, więc na pytania waćpana odpowiedzieć nie mogę; jedno co mi polecił powiedzieć waćpanu, a co teraz powiadam dosłownie: „Missuna, pisarz ziemski sieradzki kłania pięknie i przypomina sprawę gardłową anno 1777“.

Zmówiwszy te słowa, ażem się przeląkł i bardzo, Joyna bowiem to zbladł, to czerwieniał, żyły na czole krwią mu nabiegły tak, że w obawie

smutnej konsekwencyi, już chciałem wołać o pomoc; lecz nagle się uspokoił i patrząc mi jeszcze bystrzej w oczy, jakby chciał z nich prawdy dobyć, zapytał z pewnym niepokojem:

— Czy jmć pan pisarz mówił waćpanu co o tej sprawie?

— Nic więcej, bo przy krótkiej okazyi naszej znajomości, czasuby na to nie stało i rzekł mi tylko one słowa, dopiero przezemnie powtórzone, a które według danego parolu, już teraz zapomniałem i również zastrzegam parolem kawalerskim, że ich nigdy nie przypomnę.

Wszystko wypowiedziałem z niejaką solennością, poświadczającą moje stałe przedsięwzięcie, co się widocznie Joynie podobało i uspokojony rzekł:

— Jeżeliś jegomość ciekawy jest onej sprawy, mógłbym ją opowiedzieć...

— Sam waćpan widzisz, — odpowiem — że związany parolem, już o tem więcej mówić i słuchać nie mogę...

— Więc jedno nadmienię, że w tej sprawie, gdzie były w•grze spokój i cześć niewinnego a prześladowanego człeka, zacny i poczciwy pan Jakób okazał wiele odwagi, rozumu, znajomości rzeczy i bezinteresownego działania.

Powiedział żyd uroczyście, z pochyloną głową, jakby wyższej istocie cześć oddawał; po chwili namysłu znów się do mnie zwrócił:

— Owoż te słowa wymówione i łaskawie zapewnione przez waćpana, są pomiędzy mną a imćpanem pisarzem jakby hasłem, na które wszystko gotów jestem sakryfikować i niczego nie mam do odmówienia, a to tembardziej, że czcigodny pan Jakób nie nadużył tego słusznie nabytego prawa do mojej wdzięczności... jestem więc na wasze rozkazy!...

Co powiedziawszy uchylił głowę, jakby w rzeczy samej pod moją się dyspozycyę oddawał; ja zakłopotany, milczałem, bom sobie dotąd nie skombinował, czego mam żądać. Znów Joyna przerwał milczenie:

— Więc mi jegomość powiadałeś, że nie masz sprawy w trybunale, w tem to ja najłatwiej mógłbym usłużyć, posiadając zachowanie i łaskę nad zasługi u palestry... więc może kto z krewnych lub przyjaciół żądałby mojej pomocy, którą na interpelacyę czcigodnego imć pana pisarza, a mojego dobrodzieja, ofiaruję z możliwą gorliwością i bezinteresownie, to się rozumie.

Byłem wielce skonsternowany i nie wiedziałem, co powiedzieć;. w samej rzeczy nie roztrząsnąłem tych okoliczności i dopiero teraz w myśli zadawałem sobie pytania, a także krwi ambicyi szlacheckiej, które silnie we mnie zagrały:

— Cóż u kata! czyli będę żyda prosić o datek lub jałmużnę.

Więc nagle powstałem ze stołka, a skłoniwszy mu się uprzejmie, rzeknę łagodnie, ale nie bez pewnej buty szlacheckiej:

— Oto i wszystko, chciałem się waćpanu pokłonić od imć pana pisarza, spełniłem jego zlecenie i nic mi nie pozostało, jak pożegnać go.

Już miałem się ku wyjściu, kiedy żyd zmierzywszy mnie jakimś słodkim, przyjaźnym wzrokiem, ujął mnie z lekka za rękę i usadowił, mówiąc z kompassyą:

— Posłuchaj mnie młodzieńcze, starego! przeniknąłem ja twoję frasobliwość i odgadłem, że coś ci ciąży na sercu, a kiedy imć pan Missuna przysłał waćpana do mnie, już nie możesz odejść niepocieszonym, na tyle przynajmniej, ile możność moja dozwala.

Widząc zapewne moje poruszenie niecierpliwe, ujął mię za rękę i prawił:

— Nie oburzaj się waćpan zawcześnie, bo nie mam na myśli żadnego proceduru, ani dobrodziejstwa, któreby godność waszą poniżyło, ale widzę w tobie narzędzie zesłane przez Opatrzność, abym choć w części zrzucił ze siebie ciężar długu wdzięczności, jaki zaciągnąłem u imć pana Missuny.

— Nasza znajomość z imć panem pisarzem sieradzkim tak krótka, że waćpana do niczego nie zobowiązuje.

Bąknąłem pomięszany, aby coś powiedzieć i coprędzej wyrwać się z tej dwuznacznej pozycyi... żyd wszakże nie dawał za wygraną:

— Ja tedy stanę się suplikantem i ponieważ wszystko dotyczące imć pana pisarza jest mi cale nieobojętnem, więc racz mi waćpan powiedzieć, w jakiej okazyi zabrałeś z nim tę acz krótką znajomość?

— Chętniebym zadość uczynił temu żądaniu, lecz abym stał się zrozumiałym, musiałbym waćpanu wiele, a wiele napowiadać.

— Ile waćpan osądzisz możliwem, wysłucham chętnie, a jednak upraszam, nie odmów mi tej uprzejmości; a że to jest późna godzina, ja zaś dotąd się nie posilałem, więc racz łaskawie jegomość podzielić ze mną skromną wieczerzę.

Nie czekając odpowiedzi, uchylił drzwi i po żydowsku wydał rozkaz dziewczynie, która nakrywszy stół, zastawiła skromną, ale smaczną wieczerzę. Już nie potrafię powiedzieć, jak mię stary Joyna zażył z mańki, lecz stało się, że przy końcu wieczerzy, aby mu wyjaśnić naszą dziwną znajomość z imć panem pisarzem, począłem opowiadać moje niefortunne *curriculum vitae* i anim się obejrzał, jak doszedłem do onego nieszczęsnego *miserere*, a nie chcąc go na jaw dobywać, począłem się plątać i wybrnąć z tego nie mogłem.

Zyd widząc moją konfuzyę, uśmiechnięty łagodnie, powiedział:

— Idźcie śmiało dalej i wierzcie mojemu zapewnieniu, bo nie będąc szlachcicem, parolu dać nie mogę, że jak wy słów imć pana Missuny, tak ja zapomnę o tem, co mi powiecie; jeżeli zaś wszystko was dotyczące chcę wiedzieć, to nie dla niewczesnej ciekawości, lecz bądź co bądź z duszy pragnę stanąć wam w przygodzie, chociażby przez pamięć wyświadczonych mi łask przez imć pana Missunę.

Nie umiem powiedzieć, jak to się stało, czyli stary żyd obudził we mnie zaufanie, lub może sam przed sobą chciałem rekapitulować cały ten mój żywot, acz krótki, już taki mizerny, że począwszy od wczesnej pamięci dzieciństwa, następnie kollegium jezuickiego *), aż do spotkania z imć panem pisarzem, wszystko jak na spowiedzi wypowiedziałem; wyznaję, iż sam po raz pierwszy spojrzałem poza siebie i zdumiałem się niepomału nad onemi dziwnemi kazusami, które mnie w młodości, a tak niedługim czasie potkały. Notuję tu sobie, że ta narracya Joynie dała początek niniejszemu *raptularzykowi*, bo wszystko tu wypowiedziane spisać sobie postanowiłem.

---

*) Już nadmieniłem wyżej, że tych kart w rękopisie brakuje. *(Przyp. kopisty).*

Żyd słuchał cierpliwie z zajęciem, a nawet pewną kompasyą, gdzie tego wymagała przykra sytuacya; kiedy skończyłem na dziwnej znajomości z imć panem pisarzem, mój audytor taką mi dał konkluzyą:

— Tak jak jegomość słów p. Missuny, tak ja tego, co waszmość powiedziałeś, pamiętać nie będę; wszakże nie mówiąc o sympatyi, jaką we mnie wzbudzasz swoją osobą, chciałbym, ażeby spotkanie ze czcigodnym pisarzem szczęście waćpanu przyniosło i żebym stając mu się miłym i pożytecznym, mógł jeszcze przez to dorzucić szczyptę wdzięczności nigdy niewypłacalnej dla imć pana pisarza, mojego dobroczyńcy... Czas nam teraz spocząć i pozwólcie, że życzyć wam będę spokojnej nocy.

To powiedziawszy, otworzył drzwi do małego alkierzyka; był on może mniejszy jeszcze od owego karczemnego, gdzie myśl okradzenia się powziąłem; lecz jakaż różnica, bo schludny, wygodny, z czystą pościelą, do której zaledwie się przyłożyłem, nie miałem czasu rozmyślać nad osobliwszemi zdarzeniami dnia tego, ale znużony podróżą, zapadłem w sen kamienny.

Nazajutrz, skoro zeszliśmy się na nowo, a ja snem dobrze pokrzepiony, tak mię Joyna stary opanował, iż nie myślałem już o dalszej bezce-

lowej podróży, a żyd powitawszy mię zrana, tak w uprzejmy sposób rozpoczął.

— Przy krótkiej naszej znajomości, którą już przez samą pamięć czcigodnego mojego dobrodzieja imć pana pisarza, radbym przedłużyć, jeżeli waćpan pozwolisz otwarcie ze sobą począć, to przystąpię do rekapitulacyi wniosków poczynionych z naszej wczorajszej rozmowy.

Skłoniłem głowę na znak zezwolenia, żyd dalej prawił:

— Owoż moje wnioski: *pro primo*, żeś waćpan *laureatus* wyszedł z kollegium, co znać zresztą z jego płynnej mowy, to dobry fundament; *secundo*, jeżeli taki gracz jak imć pan Missuna, który w czasie pisarzowania w tutejszym trybunale całą prawie palestrę przez rękę przepuścił, a najzawołańszych rębaczy poznaczył, młyńcem waćpana się delektował — to drugi fundament, a jeżeli nie lepszy od tamtego, to mu dorówna; *tertio*, że waćpan siła odpokutował za małe przewinienia, w tem może znajdziesz szczęście, iż zahartuje się charakter, a nabierzesz statku i wytrwałości, dwa to są wielkie przewodniki życia; nakoniec iżeś waćpan odrazu pozyskał względy imć pana pisarza, który jest wielkim koneserem ludzi, a każdego najskrytsze tajniki od jednego tylko wejrzenia spenetruje, to wyznaję, najwięcej mię ku niemu przyciąga; owóż

przez pamięć dla tego dobrego człeka, pragnąłbym stać się panu użytecznym...

Znów mi w butnej myśli szlacheckiej stanął jakiś poniżający datek...

— Wdzięczen nieskończenie za waćpana dobre chęci, które poczytuje jakby uczynek, a spełniwszy misyę imć pana pisarza sieradzkiego, czas mi w dalszą drogę.

Wypowiedziałem z uprzejmym pokłonem, a naprawdę pomyślałem:

— Czyliż mi na to przyszło, aby mię miał dobrodziejstwować?

Joyna spojrzawszy mi bystro, ale łagodnie w oczy, odpowiedział, wprawdzie nie na słowa zmówione, lecz na myśl utajoną:

— Szlachetna to hardość nie chcieć nic zawdzięczać żydowi, my do tego przyzwyczajeni, więc to bardzo naturalne w ustach szlachcica; lecz aby waćpana przedtem prezerwować, powiadam z góry, że owe maluczko, co dla niego uczynić mógłbym, jeżeli tylko się moim dobrym chęciom powiedzie, wszystko będziesz zawdzięczał waćpan Missunie, także szlachcicowi, a mnie wyświadczysz prawdziwe dobrodziejstwo, że pozwolisz przez to dług dlań niewypłacalny, choć w części zaspokoić; ja tedy się staję waćpana suplikantem i oczekuję łaskawej rezolucyi.

Zakończył żyd zgięty przedemną w pokłonie,

jakby istotnie suplikując; nie wiedziałem skonfundowany, jakiej się jąć drogi i zamilczałem.

— Pozwól mi waść zapuścić się dalej w moją otwartość — prawił na nowo żyd nieśmiało — dokądże się waćpan udasz bez żadnej rekomendacyi? co poczniesz bez doświadczenia i bez znajomości ludzi?...

Tak mię jakoś chwycił za serce ten człek otwarty, żem też szczerze mu odpowiedział:

— Ha! pójdę do pana ojca, co będzie, to będzie — ukarze mię, jego to wola i prawo rodzicielskie, a w końcu się taki ulituje mojej niedoli; ażaliż mam jak jaki włóczęga wałęsać się do skończenia świata?

Żyd pokiwawszy głową, rozpoczął przyjaźnie:

— Zmuszasz mię tedy waćpan do wypowiedzenia tego, co z umysłu ukryłem, ażeby cię nie konfundować; a ponieważ zwierzyłeś mi całą przeszłość, co świętą jest dla mnie tajemnicą, toć wyjawię, że znam doskonale ojca waszmości, imćpana Burgrabiego łukowskiego, a na dowód tego, że fałszu nie popełniono, powiem waćpanu, że kiedy jeszcze nie byłeś na świecie, poprowadziłem szczęśliwie w trybunale sprawę imćpana Burgrabiego i wieś mu piękną wygrałem, co zapewne waszmości jest wiadomem...

Tu mi odpowiedział szczegółowo cały znany mi proces ojca z niegodziwymi opiekunami,

ażem osłupiał z podziwu; co widząc żyd, prawił uśmiechnięty:

— Nie siedziało się przez długie życie za piecem i widywało się ludzi; ale jeżelim waćpanu o tem powiedział, to dlatego, że znam nieugięty charakter i twardą wolę, a słowność imćpana Burgrabiego, i jeżeli wyrzekł swoim zwyczajem „z gęby cholewy nie zrobię“, to i na łożu śmiertelnem od swego nie odstąpi...

— Niestety! tak to ono jest — pomyślałem sobie.

— A więc — ciągnął dalej żyd przyjaźnie — chciej waćpan zostać ze mną, może tymczasem coś sobie obmyślisz...

— To ja tak u waćpana będę sobie siedział w alkierzu, wylegiwał się na miękkich betach, jadł i pił i nic nie robił?

— Obaczymy... nie daremnie Bóg mię żydem stworzył, a kto wie, może się tak stać, iż praca będzie ciężka a chleb mizerny...

Widząc zaś, że wahałem się, przemówił żyd z poczciwym sentymentem potrząsając moją ręką:

— Mam presentyment, a trzeba wiedzieć, iż żydowskie presentymenta rzadko zawodzą — a imćpan Missuna, człek dobrego serca, dla drugich miał rękę szczęśliwą, więc może Bóg go inspirował, aby waćpana ku mnie skierować... a zresztą pogość jegomość u mnie czas jakiś, wypocznij sobie po tylu turbacyach, a jeślić się

nie spodobam, ruszysz w świat dalej — wolna droga.

Tak mię żydzisko molestował, żem nakoniec dał się skłonić i rzeknę:

— Pozostanę tu czas jakiś z łaski waszej, ale chciałbym przynajmniej przydać się na co i darmo chleba nie jeść; widzę, że waćpan masz tu dużo fascykułów i akt, możebyś potrzebował kopisty, tem mógłbym służyć, bo w kollegium słynąłem jako pierwszy kaligraf, a nawet OO. Jezuitom przepisywałem jakby sztychem rozmaite patenta, czy to szkolne, czy dla sodalisów i innych bractw, których tam mieli siła; prawda, żem to pióra dawno nie trzymał w ręku, ale przy pomocy Bożej, może jakoś...

— A toż jegomość będziesz mi prawdziwym dobrodziejem — przerwał żyd z ukontentowaniem — a zawsze mi łaska od poczciwego pana pisarza płynęła; właśnie mam pilną illacyę do trybunału na jutrzejszą sesyę, a biedziłem się, kto ją przepisze pięknym szryftem, bo to trzeba wiedzieć słabość naszego imćpana marszałka teraźniejszego, że im co staranniej napisane, tem gładziej mu wpływa do affektu, a wiesz pan, że przy marszałkowstwie imćpana kasztelana, piękne pismo, to majątek. A zatem, jeśli wola a łaska, to prosiłbym o tę parę arkuszy illacyi; masz jegomość tu pióra, papier ryga-

łowy*), a ja tymczasem pójdę się pomodlić, bo już i panowie schodzić się zaczynają.

Usiadłem tedy do stolika... z początku szło mi jakoś oporem, bom dawno pióra nie miał w ręku, nawet przyznam ze wstydem, żem zepsuł dwa arkusze pięknego papieru, za co w kollegium zdobyłbym dwie *malam notam*, boleśnie zaznaczanych co sobota; ale jakoś mi się udało, a przy tytule „Do JW. Marszałka trybunału“ etc., wysztyftowałem kilka ślicznych wykrętasów i orła i lewka i liść dębowy, a przeróżne essy floresy, które OO. Jezuici polecali do użycia w pisaniu suplik do osób dystyngowanych.

Podczas gdym pisał, Joyna jak wczoraj modlił się, potem dawał audyencyę, a skoro wrócił i spojrzał na illacyę, która już gotowa leżała na stole, dostrzegłem nieudanego wyrazu zadowolenia na jego twarzy; gdy się zaś lepiej wpatrzył, chwycił się za głowę z admiracyi i mówił:

— A co? mój zacny pan pisarz, jak się zna na ludziach, nigdy się nie omyli. Powtarzam waćpanu, com powiedział, że takie pismo, to majątek, podobnie pięknego jeszczem nie widział, bo

---

*) „Rygałowy papier“ ztąd wziął swoją nazwę, że miał na wodnych znakach regalia królewskie; był to najlepszy papier. Pochodził z fabryki w Dreznie, a wszedł do nas w użycie za panowania Sasów.

(Przyp. kopisty)

to jest i koncept i symetrya i szryft. No, a ten flores, a orzełek, a lew, to już allegorya do bystrości i powagi imćpana marszałka. Czekaj-no jegomość, niechno przyjdą imieniny jw. marszałka imć. ks. prezydenta, lub którego z deputatów, wyskrybujesz waść jakich ze sto gratulacyj, najmniej po parę czerwonych złotych każda; a wiesz jegomość, żeś przez przepisanie illacyi wygrał krociową sprawę, bo każdy znający słabość dzisiejszego marszałka do kaligrafii, nie powie inaczej; waćpanu więc dobra gratyfikacya należy. Pod wieczór przyjdzie pan podkomorzy po illacyą, a właśnie biedziliśmy się, kto ją przepisze, najmniej musi dać waćpanu dziesięć czerwonych złotych.

— Proszę waćpana przyjąć to mizerne pisanie jako wdzięczność za jego dla mnie względy — odparłem nieco cierpko, urażony, iż mię żyd bierze za jurgieltnika.

— A co? widzisz jegomość! — prawił żyd uśmiechnięty — jak to szlachcic rożki wysunął! Wiem, co myślicie: kopista u żyda, ja, burgrabicz łukowski?... Powiem wam, że żadna praca nie krzywdzi... dowiecie się z czasem, że imćpan mecenas Ścisłowski, taki dobry szlachcic jak waćpan, a który tu całym trybunałem trzęsie, paraduje kolasami i z samym jw. marszałkiem za pan brat, tu u mnie przy tym samym stoliku, przez cztery lata pozwy kopiował...

— Zatem przysługa za przysługę — przerwę mu — dopóki u waćpana zabawię, dacie mi wyżywienie, a ja wam tą bagatelką odwdzięczę...

— Najprzód masz waćpan wiedzieć, iż takie pismo to nie bagatela, ale kunszt niepośledni i byłby za grubą zapłatą za mój wikt żydowski; nareszcie przysłowie mówi: „kochajmy się jak bracia, a liczmy się jak żydzi“, a więc sprawa z żydem co do wiktu, to rzecz mojej Lei, ona waćpanu nie przepuści i obedrze porządnie; a na sumienie powiadam, że w tem nic niema nagannego dla szlachcica, boć pióro to nie łokieć, ani miarka, żeby szlachectwu despet przynosić.

Długośmy jeszcze dysputowali, a skończyło się na tem, że podkomorzy odebrawszy illacyę wsunął mi w łapę 15 obrączkowych dukatów, a co dziwniejsza, że z łaski moich *essów floresów* wygrał sprawę już przegraną z kretesem.

Trzeba wiedzieć, co znaczyła owa „illacya?“ Pod tym wyrazem rozumiano objaśnienie sądu przy jakiejkolwiek sprawie, a szczególniej do punktu, który opuszczony został; każdy nawet obcy miał prawo czynić illacyę, jeżeli przysłuchując się sprawie, uznał, że pominięto jakiś czyn ważny z krzywdą jednej strony. Wszakże przy samem czytaniu wyroku nie wolno było czynić illacyi, ale od przeczytania miał każdy trzy dni czasu dla jej złożenia. Illacya uczyniona bezza-

sadnie, tylko dla obejścia prawa, pociągała karę czterech niedziel wieży i tysiąca grzywien.

Skoro tedy podkomorzy po przegraniu sprawy powziął zamiar wystąpienia z oną illacyą, którą kopiowałem, odradzali mu przyjaciele, bo trybunał wszelkich illacyj nie lubił, te mu bowiem czas zabierały i psuły porządek wokandy a zresztą krzywili się sędziowie, że ich łapano na negligencyi, jeżeli illacya była słuszną; zatem każdego wnoszącego ją już komendantowi milicyi dawano na oko i jeżeli się nie wywiódł porządnie z założenia, natychmiast z sali sądodowej chwytano go do ciupy, a swoją drogą instygator poczynał kroki o egzekucyę grzywien. Bywały wszakże wypadki nieczęste wprawdzie, że na mocy illacyi, sąd zmieniał wyrok; lecz tu nie było do przewidzenia, bo sprawa z Lubomirskim, dość potężnym naówczas. Bliżej tedy illatora, tak się zwał w terminologii prawnej podający illacyę, drżeli o jego skórę, przeciwna strona tryumfowała, że oprócz przerwanej sprawy odsiedzi wieżę i grzywny zapłaci.

Tymczasem stało się inaczej, bo sprawa była przesądzona i na korzyść illatora wyrok zapadł, a Lubomirscy jeszcze znaczne koszta zapłacili; jak mi powiadano, wszystko to narobiły moje wykrętasy, bo skoro spojrzał na illacyę marszałek, zaraz poszła z rąk do rąk, a wszyscy się jej odchwalić nie mogli, że tak była wyskrybo-

wana, a i to dodać należy, że rzecz w dobrem, sprawiedliwem świetle stawiła i poprzedni błąd prostowała; pismo zatem przyczyniło się tylko do zwrócenia uwagi, bo czystość sprawy mówiła za sobą. Podkomorzy zaś uradowany, prosto z sesyi przybiegł, uściskał mnie i wsunął do rąk jeszcze 30 czerw. zł., a tak molestował i prosił razem z Joyną, że wymówić się nie mogłem.

Postawiwszy pierwszy krok na onym szerokim trakcie jurysteryi, sprawę wygraną jakoby *in gratiam* mojej kaligrafii, życie moje płynęło cicho przy stoliku, ale płynęły i dukaty za pisanie; opędzić się nie mogłem; nie wiem, czy to taka była zabobonność klientów trybunalskich, czy łaska pana Joyny? Dość, że gdy nadszedł *2 septembris*, uroczystość św. Szczepana króla, a dzień imienin JW. prezydenta, którym był podówczas imć ksiądz Stefan Łubieński kanonik gnieźnieński, na tydzień miałem roboty w przepisywaniu, nawet samem koncypowaniu rozmaitych gratulacyj, nie spałem kilka nocy, a co natworzyłem przeróżnych essów floresów, infuł, pastorałów, tiar papiezkich, których to wszysoy życzyli czcigodnemu solenizantowi — ale mi się to wcale nieźle rekompensowało.

Za toż nosa nie wytknąłem za zagrodę Joynową i żyłem w klauzurze surowszej niżli w konwencie, jednej sobie ekscepcyi dozwalałem, to wysłuchiwać ukryty w ciemnym kąciku Primarii

u OO. reformatów, bo chociaż mnie tak srodze straktowali, jednak coś mię ku nim pociągało.

Lecz razu pewnego, gdym wszedł do mojego kącika w kościele, aż cały zadrgałem, patrzę w chórze na pierwszem miejscu O. prowincyał, to nic jeszcze, ale między braciszkami klęczy ten niegodziwy Frydryk, co mię tak srodze skatował; na ten widok krew mi spłynęła do mózgu, zawrzałem cały i omal żem się na szołdrę nie rzucił, już, Boże odpuść, szablę wyciągnąłem do połowy; szczęściem, że tego nikt nie spostrzegł, w porę mi jakoś przyszło opamiętanie, iżem się powstrzymał od tego zgorszenia i obrazy Bożej, a wyleciałem z kościoła jak szalony, nie oddawszy nawet adoracyi Przenajświętszemu Sakramentowi. Odtąd już i tej uciechy nabożeństwa sobie odmówiłem, bo coś mi się majaczyło po głowie, że reformaci chcą mię pojmać, ów obrzydły Frydrycisko za mną goni i bałem się nosa na miasto pokazać, a tylko „ze strachu wielkie oczy“ jak powiadają, bo cóż w rzeczy mogli mi zrobić?

Razu pewnego zagadnął mię Joyna, a swoim zwyczajem skoro do mnie mówił, łagodny i uśmiechnięty:

— Jegomość tak się zasiadujesz, że jak one kaczki dzikie zapomnisz chodzić; a przecie to jest u was przysłowie: „być w Rzymie, a papieża nie widzieć“, również nie godzi się być

w Lublinie podczas reasumpcyi, a trybunału nie widzieć, bo co prawda, drugiego takiego w świecie nie masz! Spojrzyj więc waćpan na niego choć na waletę, za tydzień na ś. Franciszek *4 octobris*, przypada z prawa konkluzya, więc na nią pójdziemy, a prawdziwie warto się przypatrzeć... Ale jegomości wpłynęło coś dukatów, trzebaby się oporządzić, bo jeżeli gdzie, to w mieście trybunalskiem „jak cię widzą, tak cię piszą". Mam tu wnuka krawca, który wszystkich deputatów obszywa, a nawet JW. marszałkowi zrobił kontusz elegancki, niech waćpana oszwabi.

Ubrał mnie Nusina, wnuk Joyny, jak jakiego wojewodę; nabyłem u niego kontusz granatowy bez wyłogów symplicznym krojem z weneckiego morderu, gdyż to szło pod zimę, żupan amarantowy z grodeturu, nieco podnoszony, ale za to tańszy, buty czerwone z podkówkami posrebrzanemi, takież szarawary kamlotowe, czapka czworograniasta amarantowa z czarnym pierwiastkiem, na szwach miała srebrny sznureczek, rapcie safianowe czerwone, tak zwane lwowskie; częstował mnie Nusina karabelką zręczną i niedrogą, alem postanowił sobie zachować szablę, która mnie wybawiła z tarapaty, a tymbardziej, że klinga była giętka i zamaszysta; i do tego pasik turecki nienowy wprawdzie, ale dokładnie odświeżony, a dobrze odbijał od całego stroju, bo granatowy przerabiany amarantem, a końce

z frędzli srebrnej. Od kiedym żyw, tak moderantnie nie wyglądałem, bo pan ojciec trzymał mię w cwelichach, a na zimę w pakłaku i kuczbai; prawda, mundur chorągwi był piękny, ale dla oszczędzenia prawie nigdy się go nie wkładało; o reformackim habicie niema co powiadać; za wszystko zapłaciłem pół siedemnasta dukata, a więc jak przepowiadał pan Joyna, wnuk mię jego oszwabił. Widząc tedy siebie tak gładkim kawalerem, niecierpliwie oczekiwałem dnia limity trybunału.

Aż tedy na parę dni przed owym terminem, pan Joyna rzecze:

— A wiesz jegomość, że w nowym stroju wyglądasz tak siarczyście, jakbyś na trybunale wygrał sprawę przynajmniej o pół miliona... ale jeszcze o czemś ważnem nie pomyśleliśmy, bo gdybyś w dawnym kubraczku pozostał, to można było przesunąć się incognito, ale teraz koniecznie nam jeszcze trzeba nazwiska...

— Alboż go nie mam! — przerwę draśnięty do żywego.

— Znów szlachcic rożek pokazał — prawił żyd uśmiechnięty — a któż wam własnej godności szlacheckiej zaprzeczą, lecz czyliż w obecnych okolicznościach nosić ją możecie? Wszakże nie bez tego, aby przy takiem zbiegowisku ludzi nie znaleźliście tu paranteli, koligacyi, a nawet może bliższych krewnych i dobrze znajomych waszego

ojca, a posypią się pytania wcale dla was w tej dobie niepotrzebne... Otóż to jest, że w Polsce łatwo okraść skarb, możecie zręcznie przywłaszczyć sobie miliony, ale nie szlachectwo, bo tak jeden drugiego zna, z pochodzenia, konneksyi itd., że jednej chwili można się załapać...

— Wybaczcie panie Joyno, alem na wieki zapomniał o smutnych alternatach, w jakich się znajduję — rzeknę skonfundowany.

— Czekajno waszeć, już znalazłem!... możesz pozostać pod swem imieniem zakonnem Humilisa.

— A przecie to imię chrzestne — zaobserwowałem.

— Niekoniecznie, bo przecie Wiktor także imię chrzestne, a znam szlachtę tego nazwiska... Oto lepiej wam powiem, że dla waszego imienia doskonale się składa, bo przed 30-tu laty był tu w trybunale suscypientem niejaki Humilis, na wasze szczęście bezdzietnym zmarł i znając go dobrze, nie słyszałem, aby miał jakich krewnych; jako urzędnik trybunalski, nie mógł nie być szlachcicem, a o ile sobie przypominam, pochodził z Witebskiego, zatem i wy możecie się podawać za Białorusina, oni tu nie zaglądają, a jeżeli kto o co zapyta, to najwięcej, czy nie jesteście krewnym owego suscypienta i łatwo się będzie opędzić.

Już tedy miałem i imię, i suknie przystojne, mogłem śmiało wyjrzeć na świat, nie dając się ludziom na pośmiewisko, ale tak mi ten trybunał wbił się w głowę, że tego dnia tylko oczekiwałem niecierpliwie, kiedy go ujrzę.

Nadszedł ów dzień pożądany, wszystko zdawało się przybierać aspekt świąteczny, pensyonarze Joyny pogolili się gładko, każdy tam przydział co miał porządniejszego, wypucował szablisko i jak umiał nadał sobie pozór solenności. Sama ceremonia limity była naznaczona na godzinę 8-mą z rana, a przedtem deputaci z marszałkiem mieli słuchać Prymaryi u OO. Kapucynów, jako to był dzień uroczysty św. Franciszka Serafickiego, patryarchy i założyciela ich zakonu. Już po siódmej godzinie pociągnęliśmy z panem Joyną na trybunał, który zasiadał w gmachu ratuszowym. Mój Joyna wyglądał jakby jaki patryarcha z biblii starego testamentu: miał na sobie chałat grodeturowy wiszniowej barwy z wyłogami czarnego aksamitu, spięty na guzy srebrne, pończochy czarne jedwabne, trzewiki z klamrami srebrnemi, a na głowie kołpak soboli wielkiej ceny.

Pomimo wczesnej pory, ulice były natłoczone ludem, a wszystko odświętnie przybrane. Prim trzymała szlachta, z nich majętniejsi dosłownie kapali złotem i klejnotami, co kto mógł wyciągał na wierzch najbogatszego; wszędzie porządek

wiał sam ze siebie, a nikt go nie potrzebował przestrzegać, jedni drugim ustępowali kroku z pośpiechem i rewerencyą. Aż mi się dumno stało, iż stanowię cząstkę takiego narodu, który umie szanować najwyższę magistraturę w kraju.

Mieszczanie niemniej może zaparadowali strojem, nosili się oni modą szlachecką, z tą różnicą, iż nie opasywali się po wierzchu kontusza, a pod nim na żupanie i nie nosili szabli, będącej czysto atrybutem szlacheckim, a natomiast laski trzcinowe zakończone gałką, u uboższych kościaną, bogatsi zaś wysadzali się na gałki złote, kameryzowane drogiemi kamieniami, co do reszty stroju, guzików kosztownych, kołpaków, przy których jednak piór i kit pozwalać sobie nie mogli, nosili się bogato, a ich strój nie ustępował także szlacheckiemu.

Prostota i biedacy także ochotnie się przystroili; wszystkie kramy były zamknięte, przekupki w straganach nie siedziały. Okna wszystkie od ulicy były umajone zielonością i kwiatami; każdy się na to wysadził wedle staniku, a bogatsi całe domy w sztucznie imitowane girlandy i festyny poprzybierali. Co dziwniejsza, że tak jak porządku, nikt im tego nie nakazał a płynęło to z serca, estymacyi i wdzięczności dla mężów poświęcających się *pro bono publico*.

Panie co przedniejsze, wystrojone jak na galę, powyjeżdżały w kolasach, u bogatszych były

pyszne cugi, kapiące złotem, u koni na czubach bogate pióropusze. Gdzieś tylko spojrzał okiem, już odgadłeś, iż to jest uroczystość narodowa. Pomimo tłumu, iż zda się szpilki nie było gdzie wetknąć, bez trudności przedostaliśmy się pod sam trybunał.

Na placu przed samym trybunałem jeszcze większy panował porządek, lubo naprawdę większego nie trzeba jak w samem mieście; tu pozostawiono drogę dla przejścia Najjaśniejszego Sądu, po której obu stronach jakby szpalery z drzew stała milicya trybunalska, inaczej zwana *brachium militare* trybunału. Drogę samo miasto własnym sumptem wysłało suknem i kobiercami, a niewiasty posypały zielem i kwiatami, jakie w tej już jesiennej porze zdobyć się dały. Po za wojskiem była ciżba wielka, lecz tę już składali przedniejsi panowie, nie tyle klienci trybunału, ile z umysłu na akt limity przybyli, im jako niby gościom kroku inni ustępowali. Dziwowałem się przytem, że mój Joyna wchodził śmiało w ten komput przedniejszych ludzi, bom to obserwował, że żydzi trzymali się zdala na uboczu, a co w blizkości onej ścieżki żaden się nie posunął. Wszakże Joyna poczynał sobie dowcipnym konceptem, najprzód trzymając się opodal, następnie gdy mu pan jaki kiwnął głową i dał znak zbliżenia, on przystępował i bawił się dyskursem; dalej znów inny go powołał i tak od jednego do

drugiego niby nieznacznie znalazł się razem ze mną w samem centrum. Dopiero nabrałem konwikcyi, jakie to on miał zachowanie u całej szlachty i panów.

Mimowoli podsłuchałem, a nie bez konfuzyi, jak niejeden półgłosem go pytał, ukazując nieznacznie na mnie:

— A zkądżeś, panie Joyno (wszyscy z wyjątkiem starszych kilku „pan“ mu mówili), wyrwał sobie tak gładkiego kompana, a co zacz?

— To jest imć pan Humilis, szlachcic witebski.

— Hm! Humilis herbu *Świnka.*

Aż mi się dusza na tę mowę rozradowała, zdobyłem bowiem nietylko nobilitacyę nową, ale i klejnot.

— A czy nie krewny onego Humilisa, co to pamiętasz, był tu u nas trybunalskim suscypientem?

— Tak to jest, ale znać się nie mogli, bo ten zaledwie na świat się stawił, kiedy tamten już schodził.

Jakoś mi się upiekł ów indygienat, bo nikt w głębsze kwestye się nie zapuszczał, a czasem któryś tam mruknął pod nosem:

— Humilis, to raczej zakonne imię, ale kto tam wszystkie godności szlacheckie ogarnie, jest ich tyle u nas co piasku w morzu, na tem to i siła mosanie.

O godzinie ósmej ukazał się od strony OO. Kapucynów liczny orszak, który gdy dojrzeli, wszelki gwar ustał i cicho się zrobiło jak w kościele, a w tej chwili Instygator *securitatis*, otoczony woźnymi i wojskowym konwojem, wniósł na czerwonej poduszce laskę marszałkowską, przed którą milicya broń skwerowała; za tym inny woźny w podobnem otoczeniu niósł srebrny krzyż prezydenta, któremu również oddawano honory. Wszyscy sobie z cicha szepnęli: JW. marszałka prowadzą; rozumie się, wytężyłem wzrok w stronę, zkąd kalwakata przybywała, a gdy już była blizko, oto co dojrzałem:

Przodem jechał oddział z dwudziestu kilku husarzy, nie byli pocztowi, ale sami towarzysze, alias „noszący ten tytuł panowie, którzy dla asystowania temu solennemu aktowi ściągnęli; dość było okiem rzucić na konie, z których każdy na setki czerwonych złotych wyglądał, a cóż dopiero na rynsztunek i umundurowanie samych towarzyszy, już pióropusze, kity, lamparcie skóry, a na nich łapy, niejedna para świeciła czystemi dyamentami. Ja, co znałem musztrę, spenetrowałem od razu, że owi towarzysze, acz dzielnie prowadzili konie, bo to już we krwi polskiej wrodzone i równo dość jechali, jednak widocznie exercerunku wojskowego nie wiele zażyli.

Za owem wojskiem postępowali w pieszym ordynku najprzód młoda szlachta w mundurach

wojewódzkich, a tak się dobrali, że z każdego województwa i ziemi było po parze, nawet co do wzrostu symetryę zachowali. Za młodymi także w ordynku szli poważni już starzy mężowie, snać senatorowie, wielu było orderowych. Wszyscy tak starzy jako i młodzi z odkrytemi głowami, mając czapki polskim obyczajem zawieszone na karabelach.

Za nimi szedł JW. marszałek prowadzony pod ramię z prawej strony przez imć pana wojewodę lubelskiego, jako gospodarza *loci*, a z lewej przez brata rodzonego imci pana podczaszego płockiego; marszałek tylko w całym orszaku miał nakrytą głowę; był to malutki staruszek, bez fantazyi i buty, ale pełen powagi i stateczności, z czołem pomarszczonem, a z każdej zmarszczki zdawał się tryskać rozum; nic tego animuszu lub forfanteryi, którą szlachta nasza pod czas przybierać lubiała; był to cichy, nabożny człowiek, ale przytem silnej woli, a stanowczy i surowy, gdzie potrzeba bano go się i szanowano powszechnie; odziany był w mundur województwa płockiego, kontusz jasno szafirowy, wyłogi ponsowe, guziki i szlify srebrne, żupan słomianego koloru, wszakże to wszystko nadzwyczaj skromne, bez najmniejszego klejnociku, ani świecidła, a w odzieniu nie było znać onej fantazyi kontuszowej, raczej wszystko wyglądało jakby miał na sobie księżą rewerendę. Mimo wszakże tej pokornej i sympłaczkowatej

postawy, wiał z niego, że tak powiem, olbrzym powagi i godności.

Skoro orszak zbliżył się do onej drogi usłanej kobiercami i umajonej kwieciem, chorągiew uszykowała się z jednej strony po za drogą, a piesi z drugiej, przy marszałku pozostali tylko dwaj asystenci i ci mu towarzyszyli, a gdy się zrównał z milicyą trybunalską, uderzyli werbel i broń skwerowali, a w tejże chwili posypały się wystrzały z ręcznej broni i moździerzów mianych w pogotowiu, ale to nie milicya strzelała, bo tej było nie wolno, ale lud chcący uczcić najwyższego sędziego. A z tysiąca piersi jakby z jednej, wzniosły się pod obłoki wołania:

— Wiwat! niech żyje nasz JW. Marszałek i Najjaśniejszy Trybunał!

A tak to hucznie i jednogłośnie, iż zdawało mi się, że nie samo miasto wiwatuje, ale kraj cały albo i świat i że te radośne okrzyki ludzie sobie z ust do ust podają, z jednego końca ziemi na drugi.

Za marszałkiem do wnętrza nikt nie myślał się cisnąć, jakby miarkował to, iż nie dla niego jest droga, po której chodzi najwyższy dostojnik. Wszyscy w największym porządku wchodzili bocznemi drzwiami, a lubo każdemu do tego przybytku sprawiedliwości zawsze wstęp wolny bywał, ale tym razem wyjątkowo, wpuszczano tylko dostojniejsze osoby, gdyż inaczej ciżba byłaby

niepomierna. Już mi się nijako zrobiło z tej obawy, że dalszych ceremonij widzieć nie będę: bo gdzież to, pomyślę sobie, żyda a z nim mnie pomiędzy owe godne persony wpuszczą, gdy wtem Joyna dotknąwszy mnie zlekka, wyrwał z tej zadumy.

— A no, chodźmyż i my...

— Do domu? — rzeknę smutno.

— Na limitę, koniec najciekawszy.

Skręcił w boczną bramę na dziedziniec ratuszowy, a tam znaleźliśmy jednego z woźnych, który nas począł prowadzić przez jakieś zakómórki i boczne impasy. Joyna widząc moje zdziwienie, gdyż w rzeczy nie rozumiałem, dokąd idziemy, rzecze mi ze zwykłym przekąsem:

— Już waćpan chciałeś do domu, a widziałżeś żyda, żeby swojego nie dotarł? gdzie nie można przeskoczyć, tam przelezie.

Jakoż przebywszy rozmaite zygzaki, dostaliśmy się do sali sądowej, w której zaledwie kilka osób się znajdowało, bo wstępu do niej woźni bronili. Trybunał jeszcze nie zasiadł, bowiem według zwyczaju w trybunalskiej kaplicy jmć ks. prezydent miał mszę, a jeden z duchownych deputatów kazanie; bo chociaż marszałek słuchał już mszy u OO. Kapucynów, ale tylko z pobożności, tu zaś było obowiązkowem wedle zwyczaju czy przepisu, już tego nie wiem.

Sam widok izby sądowej, jej powaga po-

wierzchowna, wionęła na mnie jakąś czcią religijną jakby dla domu bożego; była to sala jasna i długa na sto przeszło kroków, szeroka w proporcyę, podzielona na trzy kompartymenta, trzema łukami sklepionemi, ale w ten sposób, iż mogłeś dojrzeć z jednego końca na drugi. Ostatni kompartyment był jeszcze nadto podzielony kratą kamienną blizko na parę łokci wysoką, a po jej środku wznosił się krzyż duży kamienny z wizerunkiem Zbawiciela, który widziany z drugiego końca sali, sprawiał impressyę jakby wielkiego ołtarza i nadawał izbie charakter poważny świątyni. Pod tym krzyżem była nizka ławeczka, na której zwykle wnoszący sprawę przyklękał, wzywając pomocy Ducha św.; lecz tylko patronom przysługiwało to prawo, co się zwało *mówić od krzyża;* każdy zaś inny sam broniący sprawy lub przez prywatnego prokuratora, stawać miał na uboczu.

Za kratą pośrodku najdował się stół, purpurowym kobiercem przykryty, a gronostajami miasto frędzli lamowany; dokoła stołu takież krzesła dla sędziów, marszałkowskie siedzenie było nieco wyższe, a przed nim składano laskę na stole i po prawej ręce marszałka siedział jmć ks. prezydent, przed nim stawiano krzyż srebrny prezydencki, który w postumencie wydrążony, służył razem za dzwonek i kiedy marszałek uderzał laską w stół dla przywołania porządku, lub wywołania na

ustęp, prezydent jednocześnie poruszał dzwonek. Pod ścianami za tąż kratą stały ławy dla gości, których marszałek tylko miał prawo zapraszać — z przywileju tego mogli korzystać ci tylko, którzy kiedykolwiek zasiadali w trybunałach, wyżsi duchowni lub senatarowie świeccy; wszakże mający sprawy w trybunale lub będący pod kondemnatą, żadną miarą inwitowanymi na te miejsca być nie mogli.

Nieco po dziewiątej godzinie w przyległych komnatach zrobił się rumor, pp. sędziowie wracali z kaplicy trybunalskiej — cisza się wielka zrobiła, a gdy się już zbliżali, instygator oznajmował każdego z porządku półgłosem, a za nim woźni na cały głos wołali:

— Uciszcie się, jw. marszałek idzie, albo „jw. prezydent“, albo „jw. podlaski, podolski, wołyński“ i t. d. co oznaczało „deputat“ takiego to województwa, lecz tego wyrazu nie dodawano; wszyscy z respektem pochyliwszy głowy, rum przechodzącym dawali.

Skoro sędziowie zasiedli miejsca, a wnet się wszystko należycie uciszyło, marszałek odczytał krótki protokół limity trybunału z zacytowaniem odpowiedniego artykułu prawa, poczem powstawszy z miejsca, żegnał trybunał i publiczność: piękna to była przemowa pełna głębokiej mądrości i szczerego sentymentu, a przedewszystkiem odznaczała się skromnością; submitował się mówca

w wyrazach pełnych skruchy, prosząc o przebaczenie, jeżeli komu zawinił nie przez złą wolę, ale słabość i nieudolność ludzką, a zdawał się być jako penitent przed spowiednikiem, tak serdecznie przewinień żałował, których w rzeczy nie popełnił, bo był to człek najsprawiedliwszy w narodzie, a pełen dobroci, rozumu i nauki prawnej.

Mowa ta wszystkich do łez poruszyła na widok tej poważnej siwej głowy okraszonej aureolą prawości nieposzlakowanej i charakterem najwyższej sądowniczej władzy w narodzie, nurzającej się w prochu iście chrześciańskiej pokory; zakończył słowami św. Pawła: „Iż nie masz nikogo sprawiedliwego“. Chociaż starzec nie miał silnej piersi, ale przyzwyczajony do publicznego mówienia, posiadał kunszt ten w najwyższym stopniu, a tak głosem słabym umiejętnie kierował, iż nietylko żadnego wyrazu, ale ani jednej sylaby nie zatracił, któreby na drugiem końcu sali nie były wyraźnie dosłyszane.

Po marszałku zabrał głos Imć ksiądz prezydent; wziąwszy za temat słowa wypisane złotemi literami dokoła wielkiego krucyfiksu „*Justitias vestras judicabo*“, miał piękną, krótką mowę teologicznej treści po łacinie. Z kolei przemawiali rozmaici to patronowie, to obywatele po polsku i po łacinie; a każda rzecz była dobrze wypowiedziana i głęboko obmyślana; niektórzy w krótkiej treści potrafili dotknąć ważniejszych kwestyj

jurydycznych; o ile natenczas rozumiałem, pod allegoryą ukrywały się przytyki niektórym deputatom.

Gdym tego wszystkiego słuchał z admiracyą, pierwszy raz w życiu opanowało mnie uczucie zazdrości i pomyślałem mimowoli: „wiele to bym na to sakryfikował, abym choć raz w życiu mógł się tak mądrze odezwać“. Pomimo, że było kilka przemówień, wszakże wszyscy miarkowali się, aby Impp. sędziów długo nie mitrężyć i treść w zwięzłych zawarli słowach. Nakoniec zaś jako prawdziwy „*finis coronat opus*“, dependent imćp. mecenasa Ścisłowskiego, młody Pieniążek, a nawet młodziutki, bo jeszcze dobrze nie zarastał, wypowiedział wiersz pożegnalny do Trybunału po łacinie; tak to wiersz był piękny, że kiedy skończył, to pomimo głębokiego poważania dla najwyższej w kraju magistratury, szmer admiracyi przebiegł po sali; a staruszek marszałek powstawszy z miejsca uściskał młodego poetę-oratora i prosił, aby wiersz powtórzył.

Nie umiem wyrazić, jak dziwną na mnie impresyę wywarł ten Trybunał poważny, nie siejący dokoła siebie surowości i przestrachu, a owszem pomiędzy nim a publicznością panowało jakieś uczucie braterskie lub jeszcze inaczej miłującej dziatwy dla sprawiedliwego ojca.

Bóg wie, co tam po nas będzie, bo świat nie stoi, a postępuje naprzód, może i prawdopodo-

bnie jest, iż przyszłe po nas pokolenia coś nowego wynajdą, udoskonalą, zmienią i t. p.; lecz jeżeli tego, com sam w tych mężach widział z powagi, mądrości i zamiłowania dobra publicznego, młodym pokoleniom ujrzeć nie będzie dano — to żal mi ich setnie!

Po ukończeniu ceremonii pożegnalnej, Trybunał z miejsca swojego prezydyalnego ustąpił, a na niem in gremio zasiadł sąd ziemski, prezydent zaś, marszałek i wszyscy deputaci, tak duchowni jako i świeccy, stanęli po tej stronie kratek jak zwykli postulanci, a przy dużym krucyfiksie, a rozłożonej księdze św. Ewangelii stanął inny ksiądz w aparatach kościelnych.

Nie mogłem na razie skombinować, coby to miało znaczyć, iż niższa magistratura miejsce wyższe zasiadała; owóż rozpoczynał się obrzęd przysięgi przepisanej konstytucyą 1726 roku, który nakazuje: „aby przy skończeniu funkcyi prezydent, marszałek i wszyscy tak duchowni jako i świeccy deputaci „*nemine excepto*, *aperta stuba*“ (nikogo nie wyłączając, przy drzwiach otwartych), przy determinacyi funkcyi w tymże sądzie Trybunalskim, przy prezencyi Sądu Ziemskiego lub w braku tego grodzkiego“...

Każdy wykonał przysięgę, której rota jest następnej treści: jako podług prawa i sprawiedliwości sądził, nie uwodząc się ani przyjaźnią, ani nienawiścią, ani żadnemi względami; jako ża-

dnych podarunków nie wziął, ani obiecanych w czasie funkcyi, po dopełnieniu jej nie przyjmie; jako spraw nie praktykował (nie przekręcał), ale we wszystkiem sprawił się na powinności sędziowskiej podług praw Rzeczypospolitej trybunały opisujących i wedle sumienia. Ktoby zaś z sędziów odjeżdżający z Trybunału takiej przysięgi nie wykonał, poczytany ma być jako gwałciciel praw, *de corruptione et mala fide suspectus* (o przekupstwo i złą wiarę podejrzany), a jako taki surowo karany być ma i na zawsze od sprawowania wszelkich urzędów odsądzony. Taż konstytucya chce mieć, aby rota tej przysięgi zawsze była na tablicy przy krzyżu na stole sądowym, czego Sąd Ziemski doglądać będzie.

Owóż się właśnie rozpoczynał ten obrzęd straszliwy, który nietylko na przysięgających, ale nawet na obojętne publicum wywarł wielkie wrażenie, cisza zapanowała wielka, jakby każdy liczył się z sumieniem za przysięgających. Najprzód przystępował prezydent jako duchowna osoba; po nim z kolei marszałek; ten staruszek słynny z poczciwości i bogobojności na kraj cały, przystępował nieśmiało jak żaczek i drżącym od emocyi głosem powtarzał przysięgę, za sędzią ziemskim, który tym dwom pierwszym dla respektu, sam odczytywał rotę, bo to była funkcya pisarza, który też jej względem reszty deputatów dopełnił.

Ja ciekawy byłem, jako się tam wywiąże z tego palącego ognia przysięgi: co prawda, jedni się krztusili przy niektórych wyrazach, młodzi głośno i śmiało, a może bez należytego poszanowania, z pewnem lekceważeniem tego aktu dopełniali, atoli wszyscy przeszli przez ten ogień probierczy, a każdy gdy już aktu tego dokonał, odchodził na stronę z pewnym wyrazem satysfakcyi na obliczu, jakby wielkiego pozbył się ciężaru.

Już tedy wszyscy przeprawili się przez ten Styx sumienia, iż tak się wyrazę, kiedy obserwując wszystko dokładnie, nie uszło to mej uwagi, że jeden z deputatów, scherlany staruszek, chował się po za plecy innych, jakby chciał oddalić od siebie ów moment stanowczy, a lubo dla wieku przed młodszymi, jednak jakoś się ociągał, ciągle spoglądając na jakiegoś szlachcica, który niepozornie ubrany, bo jak dziś pamiętam, w lastykowy werdedragowy kontusz wytarty, z szabelką na rapciach surowcowych, pasem rzemiennym podpasany, ciągle zażywał tabakę z bogatej tabakiery szyldkretowej, złotem i kamieniami kameryzowanej, a oczu nie spuszczał z onego deputata, ciągle tędy i sielędy zachodząc, aby być przez niego dojrzanym, a ile razy to mu się udawało, on staruszek deputat mienił się na twarzy i spuszczał oczy, jakby winowajca.

Kiedy wszyscy po dokonaniu przysięgi odeszli za kratę i siedli na bocznych już siedzeniach dla gości destynowanych, bo sąd ziemski prezydował, pośrodku już pozostał on deputat, a naprzeciw niego szlachcic uparty z tabakierą, a tak nią manewrował, aby zawsze była na oczach deputatowi, który nakoniec *volens nolens*, musiał iść do krzyża dla wykonania przysięgi; tu już nietylko moją, ale wszystkich zwrócił uwagę, postępował bowiem chwiejnym krokiem, jakby idący przeciw wielkiemu wiatrowi, który go z nóg obala. Cisza jeszcze większa zapanowała, zdaje się, iżbyś tentna wszystkich serc policzył, a jakaś dziwna trwoga i obawa rozsiała się między przytomnych; nakoniec chociaż owym chwiejnym krokiem staruszek już się zbliżał do krzyża, gdy w tem ów szlachcic stanąwszy mu prawie na drodze oko w oko, stuknął tak silnie w ową tabakierę, że przy ogólnej ciszy odgłos, odbity o sklepienia, rozległ się po całej izbie.

Na ten odgłos jakby ostrzeżenie z nieba, on staruszek blady i drżący nagle odwrócił się od krzyża, którego był już blizkim i pędem wyleciał z sali, wołając na szlachcica:

— Jam był przedajny, ale ty nie masz Boga w sercu, bo przecie mam synów, którym shańbione imię zostawuję!...

Nikt deputatowi drogi nie tamował i snadno się przedarłszy przez ciżbę, znikł za drzwiami.

W tejże chwili głośne łkanie napełniło izbę, każdy bolał nad tak sromotnym upadkiem — i jam co prawda się rozpłakał nie wiedząc czego, ale mi się markotno zrobiło, że włos siwy się sponiewierał i niejako całemu narodowi stała się konfuzya, nie mówię już, co cierpieć musieli inni koledzy onego przeniewiercy.

Dopiero mi się za wyjściem z sali rzecz wyjaśniła, boć nie było tajemnicą dla całego miasta; opowiedział mi to wszystko mój mentor Joyna.

Owóż to był jeden jeszcze zwyczaj naganny wedle starego przysłowia: „gdzie djabeł nie może tam babę śle“, że niewiasty snuły się przy trybunale dla różnych tam praktyk i korumpowania sędziów; słynęły z nich niektóre, że wdziękami na opinię sędziów wpływały i to bywało ich rzemiosłem. Konstytucya wyż przywiedziona z r. 1726, ponowiła w tej mierze zakaz z r. 1368 Kazimierza W., ażeby kobiety żadnych spraw niemające, na sądach się nie znajdowały. Pomimo tak wyraźnego zakazu, nie masz wątpliwości, że kobiety do trybunałów się mięszały, a lubo od r. 1726 nie prowadziły wyraźnych frymarków, jednak jeżeli się kiedy zdarzyło przekupstwo (bardzo u nas nieczęste), rzadko sędziemu śmiał co ofiarować mężczyzna, ale powszechnie jego żona, krewna, lub nakoniec uproszona, a po prostu najęta na ten cel podwika, a bywały z tego pro-

ceder czyniące; zawinęła w chustę dukaty, albo włożyła w bogatą tabakierkę i na odwiedzinach u deputata, którego o protekcyę prosiła, niby zapomniała. Jeżeli dar jej został zwrócony, to przeprosinami wszystko kończyła.

Tak też i tu się stało, jedna z owych jejmościanek protegując sprawę przyjaciela, *zapomniała* u tego deputata ową bogatą tabakierę pełną złota. Deputat skorzystawszy z tego zapomnienia, dopuścił się jakiejś fabuły w najczystszej sprawie, którą przegrał mający słuszność po sobie ów szlachcic z tabakierą; jak zaś wyszperał zapomnienie tej tabakiery, już mi nie wiadomo, ale przekupił sługę deputackiego, aby mu jej pożyczył, a dalej już się opisało, jako sobie począł.

Wypadek ten nieznany dotąd w dziejach sądownictwa polskiego i który Bóg da więcej się nie powtórzy, zwarzył nietylko sędziów, ale i całe miasto. Wszyscy z rozpoczętej tak solennie radosnej uroczystości, rozeszli się ze spuszczonemi głowami, jakby postępowali za pogrzebem. Wszystkie uczty, festyny i honorowania publiczne spełzły na niczem, a miasto zwykle z okazałością żegnające trybunał illuminacyą, fajerwerkami, salwami i t. p., jakby się pokryło żałobą. Biedny staruszek marszałek zaniemógł w sali, tak, iż na pół żywego prawie go z niej wyniesiono. Deputaci jak najrychlej rozjechali się cichaczem.

Słyszałem później niektórych mędrkujących

quasi jurystów, iż taka przysięga jest nonsensem prawnym, że ten który dał się przekupić, nie zawaha się przysiądz; niechże się przekonają, jako sumienie gra ważną rolę w człowieku i że nie tak to łatwo cmoknąć krzyżyk i słowa święte Ewangelii, jak się komu widzi.

Lubo mnie jak i całemu światu znanem było nazwisko onego przeniewiercy, ale tu właśnie *nomina sunt odiosa*, osobliwie przez wzgląd na synów zacnych ludzi. Wszakże oto zapisuję dla ciekawości, co się dalej stało z owym malwersatorem: skoro przeminęła pierwsza konsternacya po tak niespodzianej katastrofie, sędzia ziemski z urzędu swojego nakazał instygatorowi imać go i więzić, jednak widocznie rozkaz ów był *pro forma* tylko wydany, albowiem sam już dość się skarał publicznym wstydem i nie bardzo się za nim upędzano, że nie wiadomo, gdzie się podział. Wszelako tego nowego Judasza taki sam los spotkał jak niegdy jego ohydnego patrona, bo znaleziono go nad ranem na przedmieściu powieszonego w ogrodzie pewnego mieszczanina.

Jego zaś dwaj synowie, stateczni i uczciwi ludzie, którzy już dzierżyli po zmarłej matce niewielką fortunkę, nie tknęli ojcowskiego spadku i to dość znacznego, mieniąc go być *maleparta;* użyli zaś całej sukcesyi na zagodzenie onego skrzypiącego tabakierą szlachcica i innych stawiących się z rozmaitemi pretensyami; cios to

dla obydwóch był fatalny, jakoż usunęli się od świata: starszy brat wstąpił do zakonu OO. Kapucynów, a młodszy, którego z czasem poznałem, wyniósł się wojować aż na kresy. („Teraz zginął mężnie pod Krupczycami“, — dopisek na marginesie, nieco odmiennem pismem).

Jak widzicie „koniec wcale nie pochwalił dzieła“, a dla wszystkich był niemiłym, bo stała się dotąd niepraktykowana konfuzya w sądownictwie naszem, a dla mnie podwójnie, gdyż spełzły na niczem festyny i uroczystości dnia tego, których tyle byłem świadkiem; wszystkie przygotowane fajerwerki, illuminacye i t. p. festyny, spoczęły w tej ogólnej turbacyi, a nawet zdawało się, iż miasto wcześniej niż zwykle światło zgasiło.

Rzuciwszy ten mój Memoryalik rozpoczęty przed pięciu prawie laty i doprowadzony do tego miejsca, nie spodziewałem się, abym już kiedy w życiu znalazł chwilę swobodną powrócenia do niego. Tyle przeszło dziwnych zmian fortuny i kolej losu, o tylu przeróżnych człek się otarł ludzi, iż gdyby zaprawdę podobną historyę reprezentowano na jakiem theatrum, sam nie dałbym wiary, a dziwowałbym się chyba fikcyi inwencyi autorskiej — i ja jeżeli piszę, to nie gwoli ambicyi albo dla czyjej bądź ciekawości, ale niech synaczkowie moi mili czytają, jako przez łaskę Najwyższego i affekt poczciwych lu-

dzi nad wszelkie moje weryta pokierowałem się w życiu tem i sobie zaradził, a bliźnim nieraz mogłem stanąć w przygodzie.

Otóż jakby dziś stoi mi w pamięci silna impresya wyniesiona z oglądania tej najwyższej w kraju magistratury; admiracyi mojej dla niej wcale nie osłabił ów *casus fatalis* z owym przedajnym deputatem, który na domiar bezwstydu, już był o mały krok od piekielnej procedury krzywoprzysięztwa i stałby się, gdyby go owy szlachcic stukaniem w tabakierę nie zreflektował.

Wracaliśmy z Joyną do domu w milczeniu, on mię zapewne obserwował z pod oka, jako cały byłem zaprzątnięty admiracyą dla tego, com oglądał; pozostawiwszy mi czas na ono rozmyślanie, gdy zbliżaliśmy się do domu, spytał jakby od niechcenia:

— Cóż waćpan powiadasz o naszym trybunale?

— Pytacie mnie takiego symplaszka, który nadto nic wspanialszego w życiu nie widział.

— Nietylko jegomość to powiadasz, ale taką jest opinia ludzi, którzy wiele świata oglądali.

Na tem, o ile przypominam, urwał się nasz dyskurs, a żyd choć mownym był, jednak widocznie nie chciał przeszkadzać moim kontemplacyom. Prawda, że mi się ten trybunał kręcił po głowie, a szczególniej one mowy polskie i łacińskie, a w nich tyle mądrości i nauki, osobli-

wszą mię napełniały zazdrością. Zaraz tedy czyniłem sobie komparacyą innych dwóch stanów, których traktowanie już rozpocząłem: wojskowego i duchownego z prawniczym; prawda, że gdyby nie one dziwne fata, które mię od dwóch pierwszych zwróciły, byłbym w którymkolwiek dotrwał do końca, atoli prędzej z predestynacyi i musu, niżli z zamiłowania; tymczasem po krótkiej obserwacyi tego, com oglądał z rzeczy prawnych, uczułem w sobie jakąś niepojętą i nieprzemożoną wokacyę do jurisprudencyi, a może przez to samo, iż widziałem przed sobą niezwalczone przeszkody do zdobycia tej scyencyi.

Za powrotem do domu, zasiadłszy w mojej osamotnionej izdebce, począłem wertować księgi prawne Joyny, wszystkie dawne statuta, nowsze konstytucye, słowem co tam było, a było tego dosyć, łykałem jak żarłok przysmaki; w głowie mi się mąciło, lękałem się awargowania, boć to istne morze ta nauka, im dalej się w nią zapuszczasz, tem bez dobrego sternika żegluga trudniejsza. Straciłem apetyt, zamizerowałem się, a nie trafiłem na drogę, przez którą mógłbym dotrzeć do celu. Już nawet nie chadzałem wedle zwyczaju do OO. Kapucynów na prymaryą, a nawet w święta opuszczałem nabożeństwo. Jedno co mię odrywało od nauki, było to kopiowanie akt, którego mi Joyna zawsze dostarczał i temu oddawałem się chętnie, jako wcale donośnemu

zarobkowi, bo już i oporządziłem się przystojnie, a Joynowi opłacając honeste moje utrzymanie, miałem tę satysfakcyę dla ambicyi szlacheckiej, że w komornem u żyda nie siedzę, co *salvo* affektu i respektu, jakie żywiłem dla tego iście mądrego człeka, zawsze mię cieszyło, chociaż dłużnym mu byłem serdecznie, jednak przynajmniej nie liczebnie; stosunkowo zaś już jakiś zapasik wałęsał mi się w mieszku.

Po kilku miesiącach, kiedy już przewertowałem wszystką mądrość ksiąg Joynowych, a w istocie sporo ich było; żyd mi w tem nie przeszkadzał, ale widocznie obserwował mię co czynię; aż razu pewnego niby od niechcenia, zagaił:

— Jegomość czyta i czyta, a czy dużo się jegomość z tego dowiedział?

Jakoby mnie zakneblował, nie znalazłem na to odpowiedzi, on zaś prawi z przekąsem:

— Uczciwszy honor pański, powiem nie od siebie, ale tylko powtórzę, co mądry imci pan Missuna mawiał: „iż uczyć się prawa z ksiąg, to jedno, co rzeszotem wodę czerpać, gdyż prawo jest nie w księgach, ale w rozumie i sumieniu każdego człeka, księga zaś jest jako but dla nogi, która bez niego chodzić może, lecz on bez niej się nie ruszy“. Otóż waćpanu wiernie oddaję słowa imć pana pisarza, który jakim jest jurystą, wie to świat cały.

— A jakże ludzie do tej mądrości dochodzą?— spytałem zdziwiony.

— I na to imci pan Missuna miał gotową odpowiedź — „dochodzą prostym chłopskim rozumem“.

Dostrzegałem tego, iż stary żyd szydził z mojego zdziwienia, ale zawsze łaskawie i z pewną sympatyczną względnością, a potem biorąc z półki jakiś fascykuł, przemówił:

— Owoż jegomości powiem, jak sobie poczynał imci pan Missuna w dysputach z młodymi jurystami; nie wiem, czy potrafię go zimitować

Począł żyd analizować zemną sprawy, już nie pamiętam jakie, ale przytoczę tak w przykładach:

— Oto jest sprawa N. z M. — o cóż tu tedy chodzi? — grobla przyparta do cudzego brzegu, a przy niej młyn, czyja tedy jest grobla i młyn?

— A to jak wiadomo, że właściciela brzegu — odpowiem.

— A dla czego tak?

Na to zapytanie stanąłem z rozwartemi ustami a po namyśle wybąknąłem:

— Ano zwyczaj i prawo...

— Imci pan Missuna odpowiedziałby, „to dopiero noga, ale bosa, a gdzież but?“

Namyśliwszy się, rzeknę:

— Przecie konstytucya z roku...

— Otóż widzisz jegomość, nie przeszkadzałem

ci czytać, boś to sobie uszył „buty“, ale teraz trzeba zacząć chodzić, bo i dziecko skoro nie postawi pierwszego kroku, nigdy się chodzić nie nauczy.

Podaję tu jeden mały przykład, ale odtąd z pomocą Joyny i sam wertowałem tylko sprawy, a z jego również porady odczytawszy wszystkie akta, pozwy, relacye, illacye, wnioski i t. p., składałem sam sentencyę i zawsze prawie trafiłem na sens jej pożądany, lub jeżeli była złą, spenetrowałem jej wadę lub wybieg sędziego. Namordowałem się tak jakie pół roku nad tą nową praktyką i skonwinkowałem się, iż ta była pożyteczniejszą i mniej uciążliwą niż owe ślęczenie nad księgami.

Przeminął drugi trybunał, odbywał się pod laską imp. Onufrego Kickiego, starosty wendeńskiego, był to pan wielki co się zowie, lecz już nie miał tej powagi, ani tej nauki i doświadczenia, co poprzedni marszałek; ale za to prezydent imć ksiądz Szydłowski, opat płocki, wszystko prowadził surowo i w karbach trzymał. Ja nie opuściłem ani jednej sprawy w trybunale, abym przy niej nie asystował i pilnie się nie przysłuchiwał; a już mnie nie tyle zajęła limita trybunału, która tym razem odbyła się z wielką wystawą, bo imp. Kicki lubił przedewszystkiem spezę i pan był całą gębą. A tu już się napatrzyłem i zabaw i wiwatowań, fajerwerków, ilu-

minacyj, a gdy się *rozlimitowali*, to końca nie było; mnie atoli nadewszystko sprawy absorbowały i już wszelakich innych rzeczy mniej byłem ciekawy.

Kiedy nastąpiła limita trybunału, a w ziemstwie i grodzie agitowały się kadencye, ja im niemniej pilnie przysłuchiwałem się, osobliwie żadnej ważniejszej sprawy nie przepuściłem, a o każdej wprzódy wiedziałem opłacając woźnych, ażeby mię zawiadamiali o wokandzie. Sam też pracowałem usilnie bez przestanku, nietylko wertowałem prawo i cudze sprawy, jakie mi pod rękę wpadły, ale nadto sam sobie koncypowałem jakieś niebywałe, broniłem lub replikowałem na rozmaite sposoby, to przegrywałem, to wygrywałem stosownie do fantazyi, co mię bardzo zajmowało, a nieraz myślałem sobie, gdyby ktoś stateczny spojrzał na to, pomyślałby, iż to żaczek jakiś bawi się w jurystę; począłem się ukrywać z tem przed Joyną, lecz to mi trudno przychodziło, a kiedy w mojej izdebce, którą przedzielając stołkami na połowę, juryzdykcyą sobie z niej sądową robiłem, a stając przed kratkami, to wprowadzałem, to broniłem spraw, sam sobie czyniąc repliki, sam je zbijałem — nic nie wiedziałem, że Joyna zawsze prawie słuchał mię podedrzwiami, a kiedy w wielki ferwor wpadłem, uchylał je, wsuwał się po cichu, a przyczajony w kącie stanowił publiczność; skoro mi się coś

udało i żyd przez cmoknięcie lub jakie inne wyrażenie admirując, zdradzał swą przytomność, dopiero następowała konfuzya, a ja jak żaczek schwytany na uczynku, chętniebym się w mysią dziurę schował, atoli żyd mnie zawsze zachęcał, mawiając:

— Baw się zdrów waszeć w ten sposób, a ja wam powiem na pociechę, że gdyby pan Missuna was ujrzał, tożby was setnie uścisnął!

A nieraz dodawał przyjaźnie:

— Ale to za mało dla waćpana tych kratek, trzebaby nam o innych prawdziwych pomyśleć, ale cierpliwości, tylkoż nie ochłonij waćpan w tem zamiłowaniu.

Tak rzeczy stały już rok drugi, ja jak widzicie broniłem spraw przed Joynowemi stołkami, a krom tego gdy się nadarzyła robota, kopijowałem, za co zawsze niezgorsza płynęła percepta; doszedłem już do jakich takich porządeczków i był grosik w zapasie. Z czasem tak się złożyło, zapewne z łaski poczciwego Joyny, który się mną zawsze opiekował gorliwie, wyszedłem z kopisty na koncepistę, układałem rozmaite pozwy, relacye, illacye i t. p. Zrazu nie wiedziałem, jak się wziąć do tego i wysnuć coś z głowy, ale pierwsze moje zakłopotanie znów usunął Joyna swojem rozumowaniem i np. kiedy się pociłem nad pismem, on tym prostym precederem przyszedł mi w pomoc.

— Powiedz-że mi jegomość, co przez ten pozew chcesz wyrazić?

— Ano samo przez się — odpowiem — ażeby strona zadość uczyniła prawu, lub w przeciwnym razie stawiła się przed sądem pod rygorem prawa kondemnaty i...

— Wyśmienicie — przerwał żyd — skoro waćpan wiesz, o co idzie, to jakby powiedział imćpan Missuna, odszukałeś nogę i masz na czem stanąć, buta tylko brakuje, ten się łatwo znajdzie, weźmij jegomość pierwszy lepszy fascykuł, tam znajdziesz formę pozwu i rzecz skończona.

Tak samo wyeksplikował mi żyd poczciwy układanie wszelkich innych dokumentów, a już w krótkim czasie opędzić się nie mogłem, tak klienci nabiegali, a percepta rosła jak na drożdżach; roboty wprawdzie było dużo, lecz ta mnie nie nużyła, bom pracował z zamiłowaniem.

Razu pewnego zjawił się jakiś dziwny klient, a był to szlachcic cudackiej postawy, nie wielutki, trochę przygarbiony, z ogromnym nosem, kły miał sterczące jakby u zwierza, a choć czupryna z polska podgolona, ale wąsów nie miał, tak już bowiem zaczęli się nosić wówczas prawnicy; kontusz na nim ciemny bez wylotów, pas także bez odmiany czarny, a przy boku mała szabelka w pochwie jaszczurowej z furdymentem szmelcowanym; wbrew przyjętemu zwyczajowi, nic złotego, ani z drogich kamieni, słowem

żadnej błyskotki nie miał na sobie, bo nawet herbowny sygnet z ciemnego metalu; lat już mieć musiał pod 60, ale jeszcze rzeźwo się trzymał; godność jego była imć pan Sułdykowski, tytułował się regentem. Żądał odemnie napisania zwyczajnego pozwu do ziemstwa, wyłuszczył mi sprawę wprawdzie kategorycznie, ale dość rozwlekle, a mówiąc pod pozorem zasięgania rady jakby mnie chciał egzaminować i brać na konfessatę, nietrudno w nim było poznać jurystę i to biegłego; spociłem się jak w łaźni przy tej konferencyi, a zabierając się do tego nieszczęsnego pozwu ze strachem, rozmyślałem przytem, iż taki prawnik mógłby lepiej sam sobie napisać, lecz że jak powiedziano, „kiedyś grzybem, leź do kosza“, więc pozew jak umiałem, najlepiej skomponowałem, a skoro na umówiony czas przyszedł imć pan regent, znów dysputa nad pozwem, ale jakoś utrzymałem na swojem, co go widocznie cieszyło i łaskawie na mnie spoglądał; zaraz tedy złożył mi na stół honoraryum, ale żem go uznał być za sutem, odsuwając co mi się zdawało zbytecznem, rzeknę:

— Dziękuję waszmość panu, ale ja tak dużo za prosty pozew nie biorę.

Spojrzał mi w oczy, uśmiechnął się szyderczo i prawi:

— *Innocens* jesteś mój młody jegomościuniu przy całym rozumie, należy ażebyś waćpan znał

one maksymy, iż *beatus qui tenet* „głupi daje, mądry bierze“, pozew wart dwa razy tyle, albo i więcej, bo *lege artis* skoncypowany, a żeś waćpan uczynił mnie staremu ten despekt skromnym datkiem moim pogardzając, jako restytucyę masz zemną wypić miodu palestranckiego pana Joyny, a musisz coś wiedzieć o jego sławie, kiedy przy nim siedzisz.

Po tych słowach wziął mnie za rękę do onej traktyerni Joynowej, którą opisałem powyżej, zawsze tam się roiła siła ludzi pod owym *chudopachołkiem*, była to modna palestrancka garkuchnia, ale ja do niej rzadko kiedy zaglądałem, chyba kiedym wiedział, że nikogo nie było. Skorośmy weszli, niepomału się zdziwiłem, że kilku palestrantów siedzących przy miodku, za wejściem imć pana regenta, powstawszy z respektem, pokłon mu oddali, a potem pokręciwszy się proforma, wynieśli się cichaczem; my zasiadłszy na uboczu, do późna w noc cykając powoli miodek, dysputowaliśmy o prawnych kwestyach; pomału zacząłem się oswajać ze szlachcicem i gustowałem w jego kompanii, bo niemal z każdego słowa wiała wielka nauka. Co zacz ten mój szlachcic? byłem setnie ciekawy, alem pytać nie śmiał: klient dobrze płacił, jeszcze miodem częstował, cóż mi w rzeczy wiedzieć było więcej trzeba.

Nazajutrz rano ledwiem zasiadł do zwykłej pracy, znów imć pan rejent z fascykułami, znów

jakaś robota, z niej dysputa, a potem miodek, który on lubił pijać, wszakże umiarkowanie cedził sobie po kropelce i dysputował, czemu rad byłem, bo widocznie człek mądry, w jurysprudencyi *peritus*, zawsze mi coś tam do głowy kapnęło. Konfundował mnie tylko onem hojnem płaceniem, ale już odmawiać nie śmiałem. Tak trwało z parę tygodni, że od rana do wieczora byłem z imć panem rejentem zajęty i innych klientów do mnie nie dopuszczał; miał zaś tyle spraw, iż dziesięć reasumpcyj trybunału osądzićby ich nie zdążyło. W głowę zachodziłem, co to za licho ten mój rejent i czego odemnie chce, ale jurysta jakby Justinianus a płaci jak Krezus?

Wszakże po niejakim czasie zmienił się na humorze, ciągle w dysputach był imponujący, stawał się cierpkim, widocznie szukał zaczepki, której przez wzgląd na jego wiek i mądrość unikałem i często przymówki puszczałem mimo uszu, co go również niecierpliwiło i nieraz burknął sobie pod nosem:

— Co to za rybia krew u dzisiejszych młodzików!

Ta cierpka dyspozycya imć pana rejenta od kilku dni trwająca i mnie dokuczyła, a przemyśliwałem jakby go się zręcznie pozbyć, wymawiając się jakąś pilną robotą. Lecz wypadek chciał, że pewnego rana, kiedy siedzieliśmy przy miodku, nie w ogólnej izbie, a w bibliotece Joy-

ny, który nam jej chętnie ustępował, dysputując z moim klientem, gest jakiś niezręczny zrobiłem tak, że całą lampką miodu oblałem kontusz imć pana rejenta; natychmiast przyskoczyłem do niego ekskuzując się z pokorą, a zmoczoną serwetą w wodzie począłem wycierać plamę, mówiąc:

— Niech mi jegomość raczy wybaczyć oną niezręczność... na razie zaś wytrzeć mokrem, a potem suknem, to śladu na sukni nie będzie.

Odburknął mi rejent wcale niecywilnie:

— Co mię tam aść pluszczesz jak rybę, jeszcze ciebie nie wykąpano, kiedy ja takie młode głowy umywałem.

Krew we mnie na to grubiańskie *dictum* zawrzała, ale miałem tyle mocy nad sobą, żem zamilczał przez wzgląd na wiek i że ja byłem powodem, acz mimowolnym, tej urazy. Wszakże rejent nie poprzestał na tem, a mierząc mnie gniewnym wzrokiem, prawił:

— Widzę teraz, iż waść *de re et nomine* należysz do swojego klejnotu.

— Nie rozumiem waszmości — odparłem ostro.

— Pokazuje się, iż Humilisowie nietylko niezgrabni, ale mają twarde łby, w które wszelkie allegorye łopatą chyba kłaść trzeba, wszak waćpan jesteś herbu *Świnka*.

W istocie w tej chwili zapomniałem o mojej przybranej godności razem z tym klejnotem, który posłużył rejentowi za narzędzie ciężkiej obrazy.

Już się tedy więcej nie hamowałem i rzeknę *ex abrupto:*

— Świnki spożywają różne nieczyste gady, nawet takie jak waćpan.

— Czy spożyją i czy im będzie na zdrowie, to obaczymy... i jeżeli waszeć jako adolescens, umiesz czem innem wywijać niż piórem, to służę.

To mówiąc, szlachcic sierdziście stuknął po szablinie.

Jam się rozprawy z nikim nie bał, bo jeszcze w chorągwi byłem pierwszym rębaczem, tej zaś sztuki, jak się wyżej rzekło, nie zaniedbałem, bo i teraz ugodziwszy sobie tego knechta niemieckiego, codzień rąbałem się z nim po parę godzin, a że był gracz, to wiele od niego przyjąwszy, rękę sobie bardziej wprawiłem. Z tego powodu żal mi się starca zrobiło, a wolałem przełknąć tę urazę, niż go pokiereszować, więc jeszcze rzeknę z submisyą:

— Cofam wszystkie moje słowa w hazardzie wyrzeczone i ponawiam ekskuzę, bo zanadto mam respektu dla wieku i czcigodnej persony waszmości, abym...

— Abym nie czmychnął do chlewa, gdzie mój klejnot ciągnie — przerwał szlachcic z impetem.

— A dość tego, mości panie!.. teraz ja nie spuszczę, aż waćpana na bigos posiekam, skoroś pomimo wieku taki jest niewyrozumiały i impe-

tyczny... Proszę o czas i miejsce — nie dam na siebie czekać.

Ta moja rezolucya widocznie się szlachcicowi podobała, bo odparł już spokojnie, a prawie uśmiechnięty:

— A czas na czasie nie stoi, a miejsca za górami szukać nie będziemy — a jeżeli wola, pójdziemy do wozowni *eo instante*, bo jak na toż i klucz pod ręką.

Co powiedziawszy, zdjął klucz ze ściany, wiszący na kołku, przez co jeszcze zadał mi nową zagadkę, iż świadom jest zwyczajów tego domu; wiedzieć bowiem trzeba, że do wziętości gospody pod *chudopachołkiem* i to się niemało przyczyniło, że Joyna miał próżną, starą wozownię, w której to ja się zwykle fechtowałem z moim knechtem. Gospodarz udzielał jej chcącym się rozprawiać na rękę, ale tylko kiedy tego wymagała poważna konieczność, ale nie swawola i zawadyactwo, przez co niemałą oddawał przysługę, bowiem wszelkie pojedynki i burdy wszczęte pod bokiem trybunału, prawo surowo karało, a jeżeli trafiły na ostrego marszałka, to można było i gardło za to położyć; wszakże oględny Joyna tego faworu skąpo udzielał i dlatego zawsze klucz ten przy sobie nosił, a ile razy brałem go do fechtunku, natychmiast się o zwrot dopominał.

Wziąwszy tedy moją augustówkę, zdobytą na

Nuzimie, szedłem za szlachcicem, który ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, całkiem pozbył się gniewu i animozyi, szedł spokojnie, jakby na przechadzkę.

Skoro stanęliśmy w wozowni, rzekł do mnie już naturalnym głosem:

— Zdaje się, iż bez sekundantów obejść się możemy, uczciwości naszej rozprawy dość że szlachectwo przyświadczy.

— Z mojej strony nie ulega to wątpieniu — odrzekłem kłaniając się z atencyą.

— A więc jeżeli wola waszmości, rozpoczynajmy w imię boskie i szlacheckiego honoru!

To mówiąc, zdjął ze siebie kontusz, a że nie miał żupana pod spodem, pozostał w jednej koszuli.

Aż mi się serce ścisnęło na widok tego kościstego staruszka i mimowoli pomyślałem sobie:

— I nad czemże się tu pastwić?

Wszakże cofać się już nie była pora, więc takżem się rozebrał i złożyliśmy się.

Po pierwszych cięciach i repostach, poznałem, iż z nielada graczem miałem do czynienia, a choć za mną przeważała pewność młodszej ręki i wprawa, za to on miał zimną krew na swój preferat.

I tłukliśmy się już przez kilka pacierzy, a patrząc sobie wzajemnie w oczy, każde cięcie odbijaliśmy w porę jeden po drugim, — wpraw-

dzie że żaden z nas na przeciwnika silniej nie natarł.

— A weź-no się jegomość w kupę — ozwie się rejent — gdyż *ipso modo*, jak dwie panienki nie skończymy do sądnego dnia, bo jeżeli mnie waćpan oszczędzasz jako słabszego, to uszanowawszy honor jego, powiem, iż się grubo mylisz.

— To niech jegomość naciera, wszelki początek od wieku i powagi — odpowiem.

— Ano to pilnuj-że się kawalerze! — zawoła rejent prawie wesoło.

A wnet jak się wziął w kupę, musiałem całej siły wytężyć, żeby się obronić i już nie wątpiłem, że dotąd w mojej, acz krótkiej praktyce szermierskiej, jeszczem takiego gracza nie miał przed sobą. Boże odpuść grzechu, ale pierwsza miłość od siebie! — i już wypatrywałem, gdzieby płatnąć zlekka staruszka i oraz jako tako zakończyć — gdy w tem skrzypnęły drzwi wozowni, a w nich ukazał się Joyna przestraszony.

— A dla Boga! co tu waszmościowie czynicie? Jam dopiero się opatrzył za kluczem...

— Niechże ci Bóg stokrotnie płaci mospanie Joyno, iżeś się zjawił jakby cudem, bo ten sierdzisty kawaler obiecał mię *zasiec na bigos!...* — zawołał staruszek z wesołym uśmiechem.

Stanąłem ogłupiony i nie wiedziałem co począć, gniew mnie opanował i rzeknę:

— Cóż to za niewczesne krotofile mości re-

jencie, przyszliśmy dla honorowej rozprawy, ale nie żartów i będziemy prosili pana Joynę, aby nas samych zostawił, a z kogo będzie bigos, Bóg raczy wiedzieć.

— A kiedy ja się boję taki mały Dawidek przeciwko takiemu Goliatowi i dlatego submituję się waszmości, a ekskuzuję, jak ci się tylko żywnie podoba i jeden tylko szwank coć zadać mogę, to udusić cię kawalerze w tym uścisku, boś walny chłop i znasz prawo i bijesz się jak lew mosanie i wiek umiesz uszanować.

To powiedziawszy, ten dziwny starzec przyciskał mię do piersi i całował, a kiedy się uspokoił, rzekł na nowo:

— Wybacz chłopaku podstępowi starego, ale cały ten kram dlategom wykoncypował, ażebym sprawdził, czy w rzeczy samej tak się dzielnie bijesz, jak mi to powiadano, a w istocie przeszło to moje spodziewanie... No, a więc teraz ręka zgody!

I dziwny ten starzec wyciągnął do mnie prawicę, którą, pobudzony nieopisanym dlań sentymentem, do ust przycisnąłem, on mię znów wyściskał, a potem rzekł:

— Ale rzeknijże mi sumiennie, czy nie chowasz ku mnie rankoru za ten cały dyalog?

— Nic oprócz powinnego respektu, a jeżeli pozwolicie i synowskiego sentymentu...

— Zezwalam z dodatkiem przyjaźni, w imię

której jeżeli o co prosić będę, to mi nie odmówisz, ja zaś z mej strony zapewniam szlacheckim parolem, że twej powolności nie nadużyję, czy zgoda?

Dałem żądany parol i tak się zakończył ów drugi pojedynek z tym nieodgadnionym dla mnie szlachcicem, o którym także powiem śmiało, że równie dobrze się bił, jak znał prawo, ale zawsze i po onej dziwacznej rozprawie jeszcze sfinksem dla mnie pozostał.

Parę dni nie przychodził szlachcic, a mnie markotno było po nim, bom powziął szczególny afekt dla tego dziwnego człowieka. Nie mogło mi się w głowie pomieścić, czego to on chciał od tej rozprawy, bo jak wprzódy sierdził się i miotał, tak rozstał się ze mną z dziwnym sentymentem, po ojcowsku. Udawałem się do pana Joyny, aby mi tę zagadkę wyjaśnił i pytałem, żali znał dawno onego szlachcica, on mi odpowiadał od niechcenia:

— Znamci go dawno, że ma wiele spraw, a fantastyk jest jak każdy szlachcic, któremu się dobrze dzieje i szpary mu odejdą... czy to jeden taki.

Na trzeci dzień dopiero stawił się szlachcic ku wielkiej mojej radości, ale nie miał wedle zwyczaju fascykułów z aktami pod pachą; był dla mnie bardzo kordyalnym, powitał mnie po

przyjacielsku, a żartobliwie, bo już to miał humor wesoły:

— Nie przychodziłem przez parę dni, takeś mnie waćpan swoją sztuką krzyżową przestraszył, a niechże cię gęś kopnie jaki z ciebie gracz, a w istocie nie wiem w czemżeś doskonalszy — czy rębacz czy jurysta.

Kazał dać starszego miodu i wypiliśmy po parę lampeczek, poczem zatykając flaszę prawił:

— Dość tego, żeby nie zaczmerało we łbie, a nabrałeś dość fantazyi, której dziś waćpanu potrzeba, bo właśnie mam cię przedstawić mojemu pryncypałowi...

— Komu?

— Ano, pryncypałowi — czyliż to waść myślałeś, żem sam jest takim potentatem, ażebym miał one milionowe sprawy, w których to waćpana z wielkim sukcesem konsultowałem, „jakiego mię widzisz takiego mię pisz“, jam jest *re et nomine* chudzina, którego nawet na bigos nie posiekałeś, choćby to było z takich kosteczek — służę i praktykuję u mojego pryncypała, który pragnie mieć zaszczyt poznania waszeci, a więc ogarnij się i pójdziemy, a upewniam, iż rad będziesz ze znajomości, bo nie dlatego, iż mój, ale dobry pan jest.

Nie na rękę mi była ta nieoczekiwana propozycya — raz że z obawy, abym nie był poznany przez Reformatów, prócz kościoła OO. Kapu-

cynów i sądów, dokąd starałem się przemknąć niepostrzeżony, literalnie nigdzie nie wychodziłem i żadnych znajomości nie zabierałem, jeżeli bowiem ktoś przychodził dla interesu, dokonawszy co mi kazano, brałem co łaska i coprędzej do pracy powracałem. Submitowałem się tedy imćpanu regentowi, że jakkolwiek jego znajomością się chlubię, aby mnie raczył uwolnić od tej wizyty, co zaś jego pryncypał ma do rozkazania, chętnie na zlecenie pana regenta spełnię.

— A *verbum nobile* jegomość — zagaił regent.

— Czyliż wmość panu tyle na tem zależy? — zapytam pragnąc zawsze tych odwiedzin uniknąć.

Tymczasem Joyna temu przytomny, głos zabrał:

— Uszanowawszy godność waszą pozwolę sobie zrobić tę remonstracyę, że waćpan zanadto się zadomowiłeś i stajesz się odludkiem, a przecie nie tyle świata co w komorze żydowskiej i czemużbyś waćpan nie miał uczynić zadość prośbie imćpana regenta, który jest tyle łaskaw na niego.

Skonwinkowali mnie nakoniec obaj, a ogarnąwszy się jak mogłem najlepiej, poszedłem z p. regentem. Próżne były moje pytania w drodze, dokąd mię prowadzi, bo na wszystkie miał jednę odpowiedź.

— Zapewniłem przecie szlacheckim parolem, iż powolności waćpana nie nadużyję, spodziewam

się więc, że możesz iść za mną z zawiązanemi oczyma, lub w przeciwnym razie posiekać mnie na bigos, jako to już waszmość zamierzałeś.

Kończył żartobliwie pan regent, rad widocznie, że mnie prowadził, to znów podżartowywał:

— Widzisz waszmość co znaczy nieoględnie zobowiązywać się parolem, teraz pojmałem cię i w pewną zasadzkę wprowadzę i pomszczę się za ową chęć uczynienia ze mnie bigosu.

Przeszedłszy część znaczną miasta, za kościołem katedralnym, co to niegdy był OO. Jezuitów, zatrzymał się mój przewodnik przed pewną większą zagrodą i rzekł:

— Przecie dotarliśmy do celu podróży, tu właśnie jest ona zasadzka i tu mieszka mój pryncypał, a prawda że paradnie?

W istocie staliśmy przed pięknym wirydarzem otoczonym niewysokim murem z dachówki czerwonej, a tak to misternie ułożoną była, iż formowała jakby siatkę; w pewnych symetrycznych odstępach były słupy, a na każdym z nich wazon kształtnie wyrobiony, zawierał jakąś plantę szczególną, lub kwiat, niektóre zaś z nich były kwitnące; we środku ogrodzenia znajdowała się brama żelazna misternie kowana; naprzeciwko niej w odległej nieco perspektywie wznosił się piękny fronton domu, z rodzajem ganku o sześciu ciosowych kolumnach; droga prowadząca do niego dość szeroka, była wyłożona cegłą, ale tak

równą i tak czysto utrzymaną, jakby w izbie mieszkalnej, a przechodziła pomiędzy dwa piękne szpalery rozmaitych drzew i krzewów; od bramy w prawo i w lewo szły inne dwie drogi dla powozów, które musiały okrążać cały dziedziniec, w najpiękniejszy ogród zasadzony. W istocie nie mogłem utaić mojego podziwu na widok tej pięknej zagrody, czego dostrzegając mój przewodnik, ozwał się tajemniczo:

— A co mieszkanie?.. cóż dopiero powiesz waść, gdy poznasz jego właściciela?

Po onej drodze ceglanej doszliśmy do ganku, który mi zaimponował swoją okazałością: był wysoko podniesiony na sześciu słupach kamiennych, a na trójkącie frontowym, który dach formował, było wyobrażenie Temidy w płaskorzeźbie, ale tak misternie wykonane i takie wyraźne, że figura zdawała się jakby żywa, a wszystkie akcesorya i ornamenta, tak naturalnie wyglądały, iż zda się mógłbyś je zdjąć z wizerunku; lubo dom był bez piętra, ale raczej na pałac wyglądał, ale nie dworek, jakie pospolicie znajdują się w Lublinie.

Coraz bardziej onieśmielony tym przepychem zewnętrznym, mimowoli cofnąłem się i rzeknę do mojego przewodnika.

— Wybacz mi jegomość, ale ten, do którego mnie wiedziesz, musi być znakomitą personą, a jabym się nie potrafił znaleźć, bom z takimi

w życiu nie przestawał, więc *in vim* mojej dotąd powolności, racz mnie waćpan spuścić z parolu...

Po tych słowach, już chciałem się zawrócić, lecz rejent zastępując mi drogę, rzecze:

— O ho, ho! a *verbum nobile*, nic z tego, chyba na tym ganku zrobisz zemnie bigos przyobiecany.

— Przynajmniej tego nie odmów mi jegomość, ażebym wiedział, przed kim mam się stawić i stosownie do tego regulował mój dyskurs w razie potrzeby.

— W istocie musisz waćpan być wielkim domatorem i rzadko wychylasz się za miasto, kiedy ci nie wiadomo, czyj to jest najpiękniejszy dom w mieście; suponując jednak, iż jako prawnikowi musi ci być znane choć z rozgłośnej famy sławne imię gospodarza, którym jest imć pan Ścisłowski wojski Podlaski, a patron trybunału,— powiadał mój przewodnik, widocznie zadowolony moją konfuzyą.

— A któżby nie znał imci pana mecenasa! — zawołam — nieraz gdym miał szczęście słyszeć głos jego od krzyża, chciałem się modlić jak przed świętym, taka mnie admiracya dla jego mądrego słowa porywała.

— A widzisz waćpan, słusznie powiadają, „iż nie święci garnki lepią", boć on chociaż w jurysprudencyi peritus, zawsze taki grzeszny jak i my...

A gdzieżbym to ja śmiał stawić się przed taką estymowaną personą? — rzeknę coraz bardziej onieśmielony.

— Widzieć waćpana żąda imć pan mecenas — odparł mój przewodnik.

— Co zaś mógłby mieć do mnie mizernego? — spytałem.

Lecz to pytanie zostało bez odpowiedzi, bo p. rejent duże drzwi kute od sieni uchyliwszy, złekka popchnął mię przed siebie; znalazłem się w dużej antykamerze, całej strojnej w rogi jeleni, łosi, głowy dzika i t. p. trofea myśliwskie; na nasze spotkanie wyszedł pajuk, jakich to teraz niektórzy panowie zaczęli używać, ubrany z węgierska w sajetową barwę granatową, ze srebrnymi galonami szamerunkiem, rosły był chłop i gładkiego oblicza, pokłonił się imćpanu rejentowi w pas, a ten go spyta:

— A co jegomość?

— *Trawi* w tej chwili, ale mówił, że skoro imćpan samowtór przybędą, aby go prosić do imćpana wojskiego po upływie pierwszej półgodziny.

— Dobrze, to tymczasem pójdziemy do mnie.

Pajuk się znów nisko pokłonił, a rejent prowadził mnie do dalszych komnat.

Mnie to słowo „*trawi*“ w szczególny podziw wprawiło; wpatrzyłem oczy na mojego przewo-

dnika, jakby w oczekiwaniu wyklarowania tej zagadki, czego dostrzegłszy, prawił:

— Waćpan pomimo nauki, jeszcześ jest młody i wiele nie widziałeś na świecie, więc się dziwujesz temu coś słyszał, iż „pan wojski trawi“. Każdy człek stateczny, nieustanną pracą zajęty, winien regulować swoje godziny jak w zegarze; otóż i imćpan wojski tak żyje i owóż po wiada: „że Stwórca udzielił wszystkiego człowiekowi pod miarą, którą jeżeli przebierze, stanie się utracyuszem“; więc z darami bożemi trzeba być oględnym, a iż i słowo jest darem bożym, więc i ono musi być ekspensowane z uwagą; a ponieważ on z obowiązku musi się wydać na sądach, więc poza tem bywa małomówny, a w poobiednej godzinie, kiedy, jak nazywa, „trawi“, całkiem milczy, a nawet stara się i nie myśleć, tylko luleczką się bawi: już to „trawienie“ imćpana mecenasa poszło w przysłowie i każdy z nim oswojony, a wiele osób dystyngowanych kusiło się, ażeby je zbadać lub przerwać; niejeden pan marszałek trybunalski i Imć X. prezydent przybywali tym końcem w onych godzinach; ale i oni, jak każdy charłak, musieli wrócić ode drzwi z kwitkiem, dowiedziawszy się, że imćp. wojski *trawi* — wyjątek w drugiej półgodzinie stanowią niekiedy jego blizcy i domowi, jak oto my dziś będziemy; ale uprzedzam waćpana, byś dużo nie mówił, a szczególniej nie kontradykto-

wał imćp. wojskiemu, bo on zwykle małomówny, a przy trawieniu jeszcze bardziej i słuchać nawet mniej lubi.

Opowiadając te dziwy, rejent przeprowadził mnie przez parę komnat bogato przybranych, wszędzie były sprzęty bogate, kobierce, kosztowne przedmioty lub obrazy, nie mogłem się dość wszystkiemu nadziwić. Weszliśmy nakoniec do obszernej sali, po środku której stał wielki stół okryty księgami i papierami, a przy nim kilku młodych ludzi pracowało; niektórzy z nich byli ci sami, co za przybyciem imćpana rejenta, wynieśli się cichaczem z gospody Joynowey, zaledwie może dwóch było piszących i wertujących księgi, inni pod stołem grali w karty lub warcaby; musiał to być owoc zakazany, bo za ukazaniem się rejenta, starannie wszystko pochowawszy, sami powstali z respektem.

— To niby ichmościowie akta przygotowujecie, tak ze *dwudziestu*, owoż przy tej okazyi, chciałem dawno zaobserwować waćpanu mości, Snarski, że jesteś roztargniony i panfila nie skupujesz w porę, a waćpanu mości Łepkowski, ja tom zauważył, że grając w warcaby, dałeś parę razy wziąć sobie *chuchem* damę, to jest źle, bo jeżeli już niechacie tego co należy, to przynajmniej ową nielegalną robotę odbywajcie z uwagą, boć i mądra maksyma głosi, *quid quid ages prudenter ages*... Przedstawiam waćpanom przy

tej sposobności imćpana Humilisa, znakomitego jurystę.

Zaobserwowałem, że niektórzy przytem zaczęli jakoś szczególnie szurować nogami, a jeden się spytał niby udając prostaczka:

— Humilis to musi być jegomość na chrzcie, a jakże godność szlachecka?

— Na chrzcie czy nie na chrzcie, ale radzę waszmościom trzymać się względem imćpana Humilisa przystojnie, żeby on was czasem nie ochrzcił i lepiej nie kiepkować, bo na honor wam powiadam, że bije się w pałasze daleko lepiej odemnie i każdego z was w róg kozi zapędzi.

Ten argument snać poskutkował, gdyż wszyscy minki niewinne przybrali, a przedtem już mi zaczęli po za plecami rejenta różne figle wyprawiać; niektórzy kiwali palcami przy brodzie, co oznaczało zapewne pod allegoryą, iż u żyda przemieszkiwałem.

Porozmawiał rejent z tą młodzieżą, kilku z nich zapytał o robotę, innym udzielił stosownych wskazówek; a tymczasem nadchodziła pora stawić się przed panem mecenasem, więc z drżącem sercem postępowałem za moim przewodnikiem, najbardziej zaś niepokoiła mię owa tajemniczość, iż nie wiedziałem po com tu przyprowadzony.

Przeszedłszy jeszcze kilka komnat, a wszystkie zarówno z wielkim smakiem i przepychem

przybrane, mój przewodnik uchylił ostrożnie drzwi, mówiąc mi w guście admonicyi:

— Stajemy przed imćpanem wojskim, pamiętaj waść słuchać, co powiedzą, odpowiadać krótko.

Weszliśmy do obszernej komnaty, mającej ściany okryte makatami perskiemi i tureckiemi; pod ścianami dokoła stały sofy adamaszkowe czerwone z frendzlą złotą i takież na nich poduszki; pośrodku sali stał ogromny gerydon, inaczej cybucharnią zwany, było w nim wetknięte z jakie sto przeszło cybuchów, a z taką symetryą, iż formowały jakby piramidę, którą najwyższy cybuch zakończał; przy wszystkich były bursztyny rzadkiej piękności i ceny, suponuję, iż najtańszy był wart jakie 10 czerw. złot.; przy cybucharni stał mały chłopak z huzarska ubrany, ze złotem szamerowaniem, jego było powinnością podawanie lulek.

W jednym kącie siedział mężczyzna dobrej korpulacyi, otoczony poduszkami i drzemał na pół, cmoktając dymek z sążnistego cybucha, a fajki drogiej piankowej, także opartej na poduszce; cisza była jakby w kościele, nawet pachołek stojący przy cybucharni, głośniej odetchnąć nie śmiał. Skoro weszliśmy, mężczyzna rozwarł nieco szerzej przymrużone oczy i pomruczał od niechcenia pod nosem:

— A Sułdykowski i imćpan Humilis, witam —

a dalej już tylko mruknął pod nosem — „prezencya niezgorsza“. Wszakże na mój głęboki pokłon głową nawet nie kiwnął.

— A dobrze się on bije? — spytał krótko.

— Doskonale — odparł Sułdykowski.

— A tej psiawiarze Ossowskiemu da radę?

— Pięciu takich zgryzie jednym zębem, na sumienie zapewniam.

— A wymacerowałeś go należycie w kwestyach jurystycznych?

— Co do tego, może jegomość mnie zaufać.

Poczem mecenas zwróciwszy się do mnie, prawił urywanemi frazesami, dość leniwo:

— Więc waść się zgadzasz być moim manualistą, na miejsce poczciwego Sułdykosia, który niegodziwiec opuszcza mię, ale nie wprzód, aż waćpana usposobi... Dobrze więc jest — idź z Bogiem, a przenoś się do mnie rychło, im prędzej tem lepiej... praca będzie, ale „bez pracy nie bywa kołaczy“, postaram się, żeby ci i kołacz na starość zapewnić. Żegnam, jeszcze muszę dotrawić.

I skinął głową, co zapewne znaczyło, że audyencya skończona, bo imćpan rejent wypchnął mnie przed sobą z komnaty.

Skorośmy się znaleźli sam na sam z moim przewodnikiem, nie mogłem ochłonąć z gniewu i podziwienia, a nie wiedziałem, jak mam teraz począć z panem rejentem, który ze mą kronto-

filę jakowąś wyprawił, za co gotówem go był teraz na seryo na bigos posiekać — gdy tak rozmyślam, jaki mojej złości dam kierunek, wtem rejent rzuciwszy mi się na szyję począł ściskać i całować, a prawił:

— Jakby mnie kto na sto koni wsadził, takim jest szczęśliw mój chłopaku, iżeś się imćpanu wojskiemu spodobał, bo ja, co go znam nie od dziś, zauważyłem to dokumentnie — co jest dowodem twej wartości, a powtóre już krescytywa jak w worku, możesz spać spokojnie; tak samo ze mną rozmawiał imćpan mecenas, kiedy przed dwudziestoma laty, mój poprzednik manualista, mnie na swoje miejsce prezentował; szczęśliw jestem, iż tobie się to dostanie, a nie innemu, boś przy rozumie, skromny, pracowity, znasz respekt dla wieku... a co się bijesz, to nie ma o czem powiadać.

Nie dając mu skończyć, wyrwałem się siłą z objęcia i zawołam:

— Jeżeli mam respekt dla wieku, nie idzie zatem, aby starsi despekt mi czynili, którego nie zniosę i płazem nie puszczę!

— Ano to chodźmy do wozowni Joynowej, będziesz mię siekał na bigos — odparł rejent żartobliwie, a potem dodał z powagą:

— Otóż to widzę waćpan gorączka, ano i to niezłe pod czas, bo jest i ambicya... ale poczekaj,

że tu na ten raz nie mamy co robić, więc wracajmy do Joyny, tam przy nim reszty domówimy.

Szliśmy znów napowrót tą samą drogą, ja zły i sapiący, a mój szlachcic uśmiechnięty i szczęśliwy, a uradowany tak biegł, jakby mu z nóg kto ze dwadzieścia lat zrzucił.

Kiedy zbliżaliśmy się do gospody pod *chudopachołkiem*, ujrzałem starego Joynę niespokojnie przechadzającego się koło domu, jakby kogoś oczekiwał, a dostrzegłszy nas idących zdala, przyspieszonym krokiem zdążał na nasze spotkanie i ledwie stanął na przestrzeni, aby być dosłyszanym, już wołał:

— A co tam powiodło się? powiadajcie ichmościowie.

Ja co prawda zawsze zły, ani krzty pytania nie zrozumiałem, więc dać odpowiedzi nie mogłem. Rejent zaś tryumfujący, a zawsze żartobliwy, odparł udając przerażonego:

— Co się miało udać! ot, nie tracąc czasu mosanie Joyno, dawaj klucz od wozowni, bo tu nie ma żartów a bigos będzie!

— Niech jegomość drwi zdrów jeszcze setne lata, ale niech ino powie, jak się tam udało, czy mam powinszować? bom kaducznie ciekaw.

— A wiesz ty panie Joyna, że „ciekawość pierwszy gradus do piekła", ale pono wy żydzi w piekło nie wierzycie, aż was sparzy... ale co tam długo gadać, dawaj klucza od wozowni,

bo nim co do czego przyjdzie, ten sierdzisty kawaler, mnie nawet nie posiekanego pożre tym ognistym wzrokiem!

I wskazał na mnie, co już do ostatniej posunęło mnie pasyi i zawołam uderzając po szabli.

— Dość tych niewczesnych przekomarzań, znosić ich więcej nie myślę!..

I już chciałem dobyć broni, ale Joyna wstrzymał mi rękę; a regent udając wielki impet, prawi:

— Proszę waści panie manualisto znać mores dla powagi urzędu, bom jako regent jest urzędnik ziemski, a waść dopiero manualista i jeszcze nawet jako palestrant nie zaregestrowany do trybunalskiego foryarza.

Stary Joyna zaledwo dosłyszał wyrazu „manualista“ już sobie wołał z zapałem, obok persony regenta:

— To waść już manualista imćpana mecenasa wojskiego, a niechybnie pierwszego jurysty na całym świecie; chociaż ja żyd, ale wybacz waćpan, że go uściskam na ten kontent.

I poczciwy Joyna rzucił mi się na szyję, a regent stojąc na uboczu, ciągle drwinkował.

— No proszę, to mi persona i manualista i ściska się z żydem, a chce żebym ja urzędnik ziemski stawał mu do rozprawy.

— A dajcież mi waszmościowie pokój! bo

gotówem owaryować z tych waszych dyalogów! — zawołam w pasyi tracąc do reszty cierpliwość.

— *Vir sapiens, semper patiens!* — wtrącił regent z sentencyą.

— Dajcież mi do stu katów!.. waszmościowie spokój z tą waszą krotofilą, która mnie o stratę zmysłów przyprawi i mówcie nareszcie, czego odemnie chcecie, albo pójdę w świat za oczy i znać was nie chcę.

Zmówiwszy to nie hamując irytacyi, już w istocie odchodziłem Bóg wie dokąd, gdy krotofilny regent biorąc mnie pod ramię, rzecze z pokorną minką.

— To weź-że mnie ze sobą drogi przyjacielu, a kiedy ci się zechce jeść w drodze, będziesz miał bigos gotowy... A co! otom jest przyjaciel! furda wszelkie starożytne przyjacielstwa Orestesów z Piladesami; bo pytam, czyli który z nich tak się sakryfikował jak ja, aby drugiemu służyć za bigos?

Gdym spojrzał na tę przedziwną, a mądrą figurkę rejenta, kiedy to powiadał, jakoś z gniewum się rozbroił i rzeknę powolnie:

— Już zadrwiliście ze mnie...

— „Jak z żydowskiej kozy“, tak kończy przysłowie, to nie ja mówię, teraz pan Joyna gotów się urazić i posiekamy go razem na bigos, a wiesz, że z niego będzie lepszy niż ze mnie, a do tego

koszerny; ano dawajże klucz od wozowni — wołał przedni rejent udając zagniewanego.

Tem ostatniem wystąpieniem całą mi pasyę zmitygował i sam się śmiać począłem. Aż nakoniec Joyna zakonkludował poważnie:

— Wiecie waszmościowie, taką mam satysfakcyę z naszego sukcesu, że ja na miód proszę...

— Aha! już wiem, na ten co to po dydku kwarta i owszem — przerwie rejent.

— Przynajmniej po dwa dydki, a zaręczam waszmości panie rejencie, że jeszcze jegomość nie byłeś manualistą u imćpana wojskiego, kiedy ten miód żył na świecie — odpowie Joyna bez rankoru.

— We wnętrznościach swej matki pszczoły — poderwie niezbity z tropu rejent.

Rano musiał wstać, ktoby się chciał z rejentem dogadać, był to bowiem *facetus* ostry na język i niepospolitego dowcipu, ale w gruncie człek słodki, choć do rany przykładaj.

— Coś to jednak być musi ten „manualista“ i musiałem nim zostać, kiedy się p. Joyna tak ucieszył z mojego powodzenia, że zasiadł z nami przy miodku, co mu się rzadko zdarzało?

Tak to sobie myślałem w cichości, alem zapytać nie śmiał z obawy, aby nowych sarkazmów rejenta nie wywołać. Ale gdy zasiedli przy miodeku, a wyczerpały się krotofile, p. Joyna rzeczmi z powagą:

— Już to jegomość śmiało możesz za nową swoją kondycyę pokłonić się do kolan imć panu rejentowi...

— Na ten raz nic z tego nie będzie, bo oba kolana zostawiłem w domu — przerwie krotofilny staruszek.

— Niech jegomość zdrów jeszcze sto lat żartuje...

— Gotów jestem, byle z ciebie p. Joyno i przy takim miodku, który co najwięcej pamięta zeszłoroczny trybunał...

Wszakże żyd niezrażony przerwami, swojego dobił i rzekł na moją pociechę:

— Powiem waćpanu, że wielu z tutejszych patronów i nieposlednich, mieniałoby się na twoją kondycyę; dość powiedzieć, iż bierzesz ją po imćpanu tu przytomnym rejencie, którego znów poprzednikiem był nasz zacny imćpan pisarz Missuna.

— Biedny Missuna, tożby on się z nami ululał, gdyby tu był — wtrącił rejent z westchnieniem — i już odtąd jakoś posmutniał, krotofile go się nie imały, odchodząc jednak rzekł mi:

— No, jutro po prymaryi czekam waćpana na pańszczyznę, a weźmij ze sobą ten nożyk, na wypadek gdy nam głód dokuczy, żebyś miał czem bigosu nasiekać.

Zakończył wskazując na moją „*augustónkę*“ i odszedł.

— Głowa pełna mądrości, serce pełne dobroci, a kroku bez krotofili nie stąpi.

Ozwał się żyd za odchodzącym rejentem.

Chociaż zawsze rad byłem z kompanii rejenta, bo ten zacny człeczyna do serca mi przypadł, jednak teraz cieszyłem się z jego odejścia, aby się raz przecie dowiedzieć od Joyny, co w rzeczy ze mną się stało i do czego mnie ten dziwny szlachcic onemi krętemi drogami doprowadził.

— Nakoniec panie Joyno, wy, co tyle na mnie nad moje *merita* łaskawi, przecie mi powiecie, co to wszystko ma znaczyć?...

— A to — przerwie mi żyd — że jegomość teraz będziesz rozumie się po imćpanu wojskim Ścisłowskim pierwszą figurą w Lublinie, niechno się tylko rozniesie, żeś został jego manualistą, a pewno dotychczas wie już o tem pół miasta, obaczysz jak cię będą wenerowali, czapkowali, a w pas się wszyscy pokłonią... waćpan już od tej chwili jesteś personatem, a nie zapominajże jegomość mizernego Joyny.

Zakończył żyd, pokłon mi nie na żarty oddając.

— Siebiebym raczej zapomniał, nie was mojego prawdziwego dobrodzieja — odrzekłem z rzetelnym sentymentem; atoli ciekawość mię dalej wiodła.

— Powiedzcież mi z łaski swej panie Joyno, kiedy już miało mnie potkać owo szczęście, jak

twierdzicie, kondycya manualisty imćpana wojskiego, dlaczegoż mnie do tego prosto nie zwerbowali, a takie cudactwa ten dziwny szlachcic ze mną wyrabiał, kazał mi pisać pozwy, relacye, kat nie wie co, nakoniec bił się ze mną i...

— Widzi jegomość, chodziło o to, aby go dokumentnie spenetrować, ażebyś się nie spodziewał, o co chodzi i ja wyznam, za co przyjmijcie pokorną ekskuzę, iżem do tej całej zmowy należał: chodziło o to, ażeby zbadać waszą znajomość i zdolność do jurysteryi, a nakoniec i grę w pałasze, bo w nowej pozycyi waćpana, nim sobie drogę utorujesz, będziesz musiał niejednę parę uszu nadkroić... Co dotyczy nowych obowiązków, które przynajmniej aż do nabrania wprawy, tak lekkie nie będą, z temi imćpan rejent bliżej waćpana zaznajomi, a pewny jestem, iż nie zawiedziesz zaufania... Mnie tylko pozostaje się cieszyć, że z mojego lichego domu tak dobrze na świat waćpan wychodzisz. A chwała Bogu i p. rejent, który waćpana na swoje miejsce promuje, ma parę wiosek i nie jest bez grosza.

Nastawał prawdziwie bolesny dla mnie moment pożegnania z moim gospodarzem, a prawdziwie psiąbym miał gębę, żebym nie powiedział i dobroczyńcą, bo cóżby ze mnie dotychczas było i jakbym się pokierował, a pewno nie tak dobrze, gdyby na mojej drodze Opatrzność nie postawiła tego człeka. Tak mi się trudno było z nim

rozstać, że opisać tego frasunku nie umiem; wyznaję, iż opuszczenie domu rodzicielskiego nie napełniło mię takim smutkiem, bo z tamtego co prawda wyniosłem ból fizyczny, a ztąd prawdziwe serdeczne rozrzewnienie i niezatartą pamięć doznanych dobrodziejstw i opieki. Równieśmy się obaj popłakali Skoro moja chudoba już była na wozie, którą syn Joyny miał konwojować na nową siedzibę, uściskawszy raz jeszcze mego poczciwego opiekuna, rzeknę mu:

— Panie Joyno, możebym zginął bez waszej poczciwej opieki i pomocy, a jak wiecie, nic ze sobą nie przyniosłszy, przeżyłem tu u was porządnie i serdecznie lat parę, jakby w domu rodzicielskim; przyszedłem nagi prawie, a teraz wychodzę przystojnie zaopatrzony i za przyczyną waszą dostaję kondycyą, z której i krescytywa patrzy; zrobiliście dla mnie włóczęgi, co tylko ojciec dla syna zdziałać może; niech wam Bóg płaci i dzieciom waszym wszelakiem dobrem... Lecz co zarobiłem za waszą protekcyą i poradą, bo sambym temu, jak wiecie, nie podołał, do was to wszystko najsłuszniej należy, wdzięczność zaś za wasz ku mnie niezasłużony affekt i łaskę dozgonnie w sercu zachowam i tylko Boga prosić będę, abym mógł kiedy zdobyć okazyę demonstrować wam ją czynem.

To mówiąc, spory mieszek, który tam sobie

przez czas pobytu uciułałem, złożyłem przed Joyną.

— Jam setnie zapłacony — prawił żyd — waszą wdzięcznością, bo i tej nie każde serce czuć umie; pieniądze zaś są wasze dobrze zapracowane, a sprawiedliwie mówiąc, mnie z nich więcej niż wam wpłynęło i nie chcę za lepszego uchodzić, niż jestem nim w istocie; wiecie przecie, żem ja faktor trybunalski, z tego żyję, to moje rzemiosło i panu wojskiemu was darmo nie oddałem, więc najsumienniej to do was należy, a jeżeli czemu zawdzięczacie obecny fawor losu, to waszemu statkowi i pracy, a także zacnemu imćpanu Missunie, któremu w waszej osobie cząsteczkę długu spłaciłem.

Nie opiszę już serdecznego rozstania z tym prawdziwym przyjacielem; nietylko poczciwy żyd, ale Joynowa i cała rodzina, żegnali mię jakby krewnego. Wszyscy popłakaliśmy się srodze. Mimowoli nasunęła mi się na myśl komparacya dotychczasowych moich trzech ważniejszych separacyj w życiu, iżem to z domu rodzicielskiego i konwentu wyszedł obatożony, a z chorągwi wyjechałem na kobylem ścierwie...

Ze, *Benedictus qui venit in Nomine Domini!...* co i O. Abdon mawiał, więc umyśliwszy w tem świętem imieniu rozpocząć nową a trudną i nie-

znaną mi kondycyę, prosiłem o mszę św. u OO. Kapucynów, podczas której przystępowałem do świętych Sakramentów, a tak umocniony na duchu, równo ze dniem, jak mi pan rejent rozkazał, stawiłem się na nowy posterunek.

Stanąwszy w onej pysznej sieni, która mnie już wczoraj olśniła, zapytałem goliata węgierskiego pajuka o imćpana rejenta Sułdykowskiego, a ten, nim na pytanie odpowiedział, zgiąwszy się w obręcz, wypalił mi coś *instar* gratulacyi, czy oracyi powitalnej.

Zdziwiła mnie ta pokora i nie mogłem pojąć od razu, czego to ten famulus tak się przedemną submituje, zawsze jednak dałem mu czerwony złoty, a wtedy dopiero zwinąwszy się w kłębek, moją hojność wynosił pod niebiosa, czemu aby tamę położyć, powtórzyłem moje pytanie o imćpana rejenta; tedy mi pajuk rzecze:

— Imćpan rejent jest w swoim wirydarzyku na modlitwie i nie jest go wolno w tym momencie inkomodować, jak również starszego jegomościa, kiedy trawi, ale dla...

— Więc poczekam, aż się pomodli — przerwałem famulusowi, widząc, że na przydłuższą rzecz się zanosi.

— A Boże uchowaj! jakżeby ichmość mógł na kogo czekać, oprócz na starszego jegomościa, którego, jak nam ogłoszono, został waszmość pan *alteregiem* na miejscu imćpana rejenta.

Wyrecytował służalec już prawie nosem ziemi tykając.

— Co, jak? — rzeknę zdziwiony — kim jestem powiadacie.

— Ano *alteregiem* naszego jegomościa imćpana wojskiego, to jest najstarszym po nim, jako był dotąd imćpan rejent...

Zdziwiony domyślałem się, iż nagle z komory żydowskiej wyskoczyłem na *alter ego* najpierwszego mecenasa trybunalskiego; jeszczem co prawda nie dowierzał, suponując, że to mój dukat przez usta sługusa przemawia.

— Nie spieszy mi się, mogę poczekać aż p. rejent ukończy pacierze.

— A chowaj Boże! — zawołał pajuk — tożby mnie dopiero sfukali, gdyby waćpan jako *alter ego*, na kogobądź czekał... a zresztą sam pan rejent polecił, aby jegomości do wirydarzyka poprosić...

W głowie mi się zakotłowało od tych hierarchicznych remonstracyj pajuka, lecz z jego respektownej względem mnie postawy, konkludowałem, iż muszę tu być jakąś personą, a nadąwszy się jak indyk (bo któż w rzeczy jest, któryby się ochronił przed onem odwiecznem *honores mutant mores?)* szedłem pompatycznie za raczkującym w pokłonach służalcem, który przeprowadziwszy mię wzdłuż rozkosznego ogrodu, jakiego mi się jeszcze widzieć nie zdarzało, na

końcu jego zatrzymał się przed wysokim parkanem, przez który niczego dojrzeć nie można było, a z głębokim pokłonem ukazując mi maleńką furtę, rzekł:

— Niech waszmość pan raczy sam trzykrotnie postukać, bo nikomu innemu nie wolno, rozumie się krom *starego jegomościa.*

Poczem pajuk nasypawszy mi nowych pokłonów, samego pozostawił przy furcie.

Lubo się mi jeszcze w głowie nie umieściła owa cała hierarchiczna gradacya, a na myśl mi przychodziło, że to ze mną jakąś krotofilę wyprawiają, jak niedawno z tą rozprawą w żydowskiej wozowni, wszakże wiedziony ciekawością, postukałem i natychmiast dał się słyszeć głos Sułdykowskiego:

— *Intres benevole!*

Pchnąłem furtkę i osłupiały stanąłem, widząc, że mój szlachcic uwijał się z szabelką, pocił się, jakby z kimś wojował, był w istocie śmiesznym, a tylko respekt wielki dla onego zacnego człeka powstrzymał mnie, żem nie wybuchnął śmiechem.

— Wiedziałem, że to waść, boś słowny jest, tego pewny byłem; owoż po pacierzach rozpocząłem sobie codzienne egzercycye, bo to ręku nie trzeba dać się zalegać i sztywnieć... Dobrze żeś przyszedł... jak to u kata, powiedz mi, robisz oną repostę z symulacyjnem cięciem od ucha,

a odkądem to widział u ciebie, dojść tego nie mogę... ani rusz! patrzno czy to tak?

I starowina wytężał się i pocił, rzekł:

— Ano pokaż z łaski swojej, jeżeli tego nie chcesz mieć własną tajemnicą, albo odkryj mi to *sub secreto*, ja cię nie zdradzę, nie mam zaś presentymentu, abyśmy kiedy przeciwko sobie *inimiciter* stanęli, bo bigosem być nie chcę...

Musiałem tedy dobywszy szabli fechtować się przez dobre pół godziny i odkrywać mu przeróżne szermierskie arkana.

Aż nakoniec, kiedy potężnie zziajany starowina ten mój kunszt posiadł, rzecze ukontentowany:

— Niechże ci Bóg płaci synku, żeś mi nie zataił tego figla, ale, *ut sum Sodalis*, sekret ci przyrzekam... ho! ho! gdybym ja to umiał przed jakiemi 20-tu laty, nie nosiłbym tego.

A odkrywszy nieco ramienia od szyi, ukazał mi wielką bliznę, a dalej ciągnął:

— Poczekaj, niechno się wdrożysz w nasze rzemiosło, co niechybnie nastąpi, bo masz do niego zamiłowanie, a wtedy przekonasz się, jak ważną jest znajomość sztuki szermierskiej... *ad hoc* kiedy się o tem zmówiło, nie od rzeczy będzie uprzedzić waćpana, abyś nie bardzo kaleczył *paniczów*, bo chociaż ich przez kord przepuścić musisz, inaczej nie zdobędziesz powagi i posłuchu, atoli panując nad sobą jako walny

gracz, nie zadawaj im wielkiego szwanku, boby *starszy jegomość* był nierad temu, że jego *ichmość* psuje mu wziętość, bo to wszystko magnackie pieszczochy...

Lecz spostrzegł się w czas rejent, że owi *„panicze* i *ichmość“*, były dla mnie problemata nierozstrzygnione, w czas dodał:

— *Paniczami* zwą się dependenci płatni z feryarza, co się waszmości wkrótce wyjaśni; *jegomość* w potocznej mowie domowników oznacza imcipana mecenasa wojskiego, *ichmościem* zaś, czyli jak czeladź zowie *alteregiem* jesteś waćpan na mojem miejscu i w razie niebytności, niedyspozycyi jego lub tym podobnych kazusów we wszystkiem zastępujesz, czy w sądach, czy w sprawach domowych...

— A jakżeż ja symplaczek, nieuk, podołam temu wszystkiemu, chyba imćpan rejent drwinkuje ze mnie — zawołam przerażony całym tym ogromem, który na mnie miał spadać, a zresztą jeszcze niepewny, ażali dotąd nie byłem igraszką tego krotofilnego szlachcica.

— Chwalić się skromność młodzieńcze, ale „nie święci garnki lepią“, tak i jam myślał przed dwudziestoma laty i jakoś z pomocą Bożą dotrwałem na kondycyi i nie bardzo pokpiłem sprawę...

— Ale o tem potem w swoim czasie... teraz widzę, iż waszmość pożerasz ciekawym wzro-

kiem ten mój ubożuchny wirydarzyk, który będzie poniekąd twoim, a więc go sobie zlustrujemy.

W istocie od pierwszego rzutu oka, ten miluchny zakątek wywarł na mnie wielką impresyę i obudził zachwycenie; pokazując rejentowi rozmaite cięcia, a potem słuchając jego ciekawych dla mnie opowiadań, nie mogłem wszakże pozbyć się dystrakcyi i ciekawości do obejrzenia tego miejsca.

Przestrzeń to wprawdzie była dość spora, lecz nie tak znów obszerna, aby się bystrym rzutem oka objąć nie dała; zawierała już to najprzód moc wielką przeróżnych plant, krzewów i kwiatów, a tak pięknych, jakich dotąd widzieć mi się nie zdarzyło, trudno zaś opisać dziwną symetryę ich ułożenia, wszędzie ścieżki starannie utrzymane, wysypane mięciuchnym piaskiem tak, iż chodziło się jak po perskim kobiercu.

Szczególna okoliczność zwróciła moją uwagę, że za zbliżeniem się mojem do któregokolwiek krzewu, ptaki zeń pierzchały przerażone, które rejent uspokajał:

— Głupie wy, głupie! — mówił do nich — ten także wasz przyjaciel i przyszły wasz pan, będzie o was pamiętał, a krzywdy wam nie zrobi.

To w inny sposób uspokajał tych swoich przyjaciół, temu zagwizdał, innemu zacmokał, któregoś znów pojmał w garść zlekka, do ust dzióbek

jego przyłożył, a tak mu przemawiał do rozumu, iż ptaszyna zdawał się go pojmować, coś w istocie było rzewnego i wzbudzającego admiracyę w tej rozmowie starca z niewinnemi ptaszkami, jakby z dziećmi i on wcale nie piękny szlachcic zdawał się przybierać jakowąś postać nadziemską.

Przeszliśmy znaczną część wirydarzyka a wszędzie taż sama historya się powtarzała, jedne ptaszki toczyły bój z drugiemi o fawor swojego pana, musiał krnąbrne uśmierzać i karcić, rozumie się łagodnie. Nakoniec młode, które sfałszowały w śpiewie, poprawiał jakby nauczyciel muzyki, wszystkie zaś głosy ptasie naśladował doskonale.

Przeszliśmy w inny kompartyment wirydarzyka, osłoniony gęstemi krzewami od reszty, tam znów w pięknych wielkich ulach roiła się pasieka; pszczoły na widok pana swego zabrzęczały radośnie, jakby hymn powitalny, on zbliżył się do każdego ula, zajrzał do wnętrza, coś tam rozmawiał z pszczołami, udając ich brzęczenie, a te go okryły całego, że twarzy prawie widno nie było, ażem się przeraził o niego, a on mi rzecze:

— Usuń się lepiej waćpan, bo gdy cię także zechcą powitać, możesz mimowoli którą spędzić i narobisz sobie biedy, bo to głupie bestye choć pracowite, nie dają się ucywilizować jak ptaszki i rybki.

Skoro już wszystko obejrzał i koło każdego ula coś pomajstrował, machnął chustką na obsiadujące go roje, wołając:

— Dość tego! a do domu! a nie pójdziesz!

Zabrzęczały głośniej pszczoły, myślałem, że go tam zajedzą biedaka, lecz rozleciały się nakoniec, a gdym się dowiadował, czyli jakiego szwanku nie przyczyniły staremu, odparł mi z uśmiechem:

— Mają one tyle słodkich kwiatów, czyliżby gryzły stare zgorzkniałe piołuny.

Następnie przeszliśmy w inną stronę wirydarza, do niewielkiej sadzawki, pięknie ocembrowanej ciosem; woda w niej czyściuchna a przejrzysta jak kryształ; za przybyciem rejenta wielka się rewolucya w wodzie zrobiła, rybki odpychając jedna drugą cisnęły się hurmem do brzegu, przy którym stanął, on uderzył zlekka ręką w wodę, wołając:

— Na miejsca!.. bo nic nie dostaniecie!

Biedne odpędzone jakby zrozumiały, odpłynęły spokojnie i jedna po drugiej zaczęły zwolna krążyć przy brzegu; staruszek tryumfował z tej karności swoich uczniów.

Poczynała się nowa scena, rejent pochylił się nad wodą, a złożywszy dwa palce jakby w nich coś trzymał, podawał rybom, te przypływając po kolei, skubały je, a widząc, że próżne, z pewną złością szarpały, a on do nich z uśmiechem:

— A prawda, że niesmaczne — a wskazując na mnie, dodał z uśmiechem:

— A jednak widzicie go, on to chciał spożyć w bigosie.

Miły, a przedziwny był staruszek.

Następowała nowa scena, a podobnej na teatrumbyś nie ujrzał, staruszek położył się nad brzegiem sadzawki i różnemi głosami począł zwoływać ptaszki, które też rychło ze wszech stron do apelu stawały; rejent nakruszywszy chleba w obie garście, jedną zanurzył w wodę, drugą trzymał na powietrzu. Ryby tedy i ptaki poczęły chciwie żywić się z tych hojnych dłoni.

Nie mogłem się dość napatrzeć i nacieszyć, jak skrzydlata trzódka krążyła koło wody, chcąc rybkom odebrać pożywę, a te zaś zdawały się silić, aby z wody ku nieprzyjaciołom poskoczyć. Rejent karcił, odpędzał, śmiał się, śpiewał jak ptak, a w oczach piękniał, iż do tego człeka miłość gorącą powziąłem, myśląc sobie, iż dobry to człek być musi, kiedy tak lgną doń niewinne Boże stworzenia; a prawdziwie żal mi było w tej dobie, iż nie posiadałem kunsztu malarskiego, aby tę scenę na obraz przenieść.

W zacisznym kącie wirydarza, otoczona najbujniejszemi krzewami i co piękniejszemi kwiatami, znajdowała się kapliczka, cała z ciosu, wewnątrz ozdobiona obrazami i rzeźbami, ale taka ciasna, że zaledwie we dwóch zmieścić się mo-

gliśmy; były tam rozmaite księgi świata, niektóre z nich rozwarte na pulpicie, zczerniałe od użycia, w kącie wisiała druciana dyscyplina, czyli jej podczas zażywał właściciel, pytać nie śmiałem, lecz snać nie *pro forma* tam wisiała, bo druty zardzewiałe. Drzwi kaplica miała podwójne, na lato żelazne z kraty, na zimę inne drewniane; staruszek bowiem nigdy tam modlitwy porannej nie opuszczał.

Zagłębiwszy się w wirydarz w przeciwnej stronie parkanu ujrzałem inną zamkniętą furtkę; suponując, iż za nią kryją się znów nowe cuda, spytałem, dokądby prowadziła? odpowiadał mi z odzyskanym uśmiechem:

— Ponieważ waćpan komparowałeś mój ten skromny wirydarzyk do raju (istotnie wyrwał mi się parę razy wykrzyknik: „ach to istny raj!“), więc jako taki, musi mieć swój „owoc zakazany“, który właśnie ukryty jest za tą furtą... Nie zbliżaj się tu waćpan, nie staraj się dowiedzieć, co tam jest, bo wyjdziesz z tego raju, jak ojciec Adam ze swojego i również osmagany rózgą... ale nie archanielską...

Poważnie zaś tak zakończył:

— Jest tu tajemnica jegomości — a jeżeli się mówi „tajemnica“, to nie idzie zatem pytanie: „jaka?“ gdyżby nią być przestała; jedno coć mogę powiedzieć, że ten człowiek zawarł tu najboleśniejsze przejścia swojego żywota. Powiem

waćpanu *pro memoria*, iż się zobowiązałem za ciebie parolem szlacheckim, iż nietylko sam nie będziesz się kusił o spenetrowanie tej tajemnicy, ale i przed ciekawością drugich pilnował... Byli tu tacy, którzy chcieli się o to pokusić, lecz ciężko ciekawość opłacili: *sapienti sat!* A waćpanu ufam.

Po tej mowie widocznie posmutniał rejent i dalej chodziliśmy po wirydarzyku w milczeniu, aż kiedy mieliśmy wychodzić, rzecze mi:

— Otóż waszmość masz używalność tego ogrodu tylko w rannych godzinach, albo w dnie piątkowe przez dzień cały, lub bezwarunkowo wtedy tylko, kiedy imćpan wojski wyjedzie z miasta; nikomu tu wchodzić nie wolno i klucz od wirydarza, kiedy mnie już tu nie będzie, noś zawsze przy sobie, ufam twojemu statkowi i słowu szlacheckiemu... każda zdrada jest haniebna, ale przeciw takiemu człowiekowi jak *jegomość*, to zbrodnia podwójna, wołająca o pomstę do nieba; bo on jest człek z gruntu dobry, może zapalczywy, ambitny jak każdy w jego zawodzie, ale dobrze czynić lubi i czyni chętnie, więc spodziewam się, że i twoją przychylność i wierność zyszcze.

Długo jeszcze opowiadał mi rejent o moich obowiązkach i wytykał mi drogę mądrej, a poczciwej konduity, tak zaś dalej mówił:

— Słuszna, abyś wiedział, z kim masz do

czynienia — imćpan wojski, jak każdy człek zepsuty sukcesem, jest może samowolny, lubi, ażeby się przed nim wszystko uginało, a jako należący do liczby psutych dzieci, czego nie zegnie, gotów złamać, ale granic honoru i prawości nie przestąpi. Ciężko z nim co prawda, drugich nie oszczędza i nie pobłaża im, ale przytem i sobie nie folguje... Skromny z natury otacza się spezą nie dla pasyi i zamiłowania, ale dla interesu poprostu... Niemoralność, burda, wszelkie wykroczenia przeciw przystojności, są dlań wstrętne... Dziś on może więcej wypoczywa, ale to niegdyś człek żelaznej pracy... Waćpan mu się nadasz i przypuszczam, że się prędko i dobrze zejdziecie... Że to waćpan jesteś tu z mojej poręki, to cię przez czas jakiś podmusztruję.

— Alboż imćpan rejent masz nas opuścić i dokądże? — zapytałem z nieudanem zajęciem.

— Ja tu mój synku, na to już czekam od dawna, bom sterał życie w pracy, a nie przebaraszkowałem — odpowiedział i wskazał na ziemię...

— Czas mi wielki do tego odpoczynku, zresztą zejdę, jakem przyszedł niepostrzeżony, bez wielkich zasług i wielkiej nagany, pokręciłem się na świecie, a nie ma mnie komu opłakiwać... jedno cobym chciał po sobie pozostawić dla wojskiego, z którym parę lat dziesiątków przeżyłem, to w waćpanu dobrego pomocnika, co tuszę so-

bie, iż mi się powiodło, boć statek i głowę nie dla ozdoby na karku Stwórca ci złożył.

Długośmy jeszcze rozmawiali — a o czem? wszystko, jeżeli Bóg pozwoli, znajdzie się we właściwem miejscu.

Nastąpić miała moja instalacya na *ichmościa* czyli *alter ego* imćpana wojskiego, mecenasa trybunalskiego; lecz nim ją opiszę, muszę tu rzucić bodaj małe słówko o tem, czem to była nasza palestra i jakie było jej znaczenie i powaga, które niestety, już za mojego czasu zacierać się poczęły, więc nim zmaleją i zdegradują się, a kto wie, z czasem może na zawsze znikną, niech przynajmniej dla późniejszych będą tu zapisane.

Palestra nasza, jak już mówiłem, miała z konstytucyi 1768 roku poważne znaczenie i *sui generis* była potęgą. Lecz z drugiej strony nie należy mieszać w ten komput respektowany całego tałałajstwa, jakie przez nadużycia i zbytnią pobłażliwość trybunałów i sądów przy nich wisiało, ujmę im często a zakałę przynosząc.

Pomówmy najprzód o pierwszej palestrze stanowiącej niezaprzeczenie chwałę i zasługę prawnej naszej korporacyi, którą wedle wspomnionej konstytucyi, stanowiło trzydziestu patronów, czyli tak zwanych mecenasów, którzy winni być szlachtą i przysięgli, trybunał zaś wprzód nim ich *ad magistratum* dopuszczał, czynił *scrutinium* ścisłe o ich przeszłości i konduicie, a nadto było,

lubo nie prawem przepisane, ale zwyczajem przyjęte, że pp. deputaci każdego kandydata na ten urząd pomiędzy sobą sekretnemu wotowaniu poddawali, a nie mających znacznej większości *affirmative* puszczali z kwitkiem.

Ponieważ wyżej się mówiło o przysiędze deputatów przy limitach jako *de bona fide* przez czas urzędowania poczynali, tak godzi się tu dla pamięci wypisać (z onejże konst. 1768) rotę przysięgi mecenasów, *ut sequit:*

„Ja N. przysięgam Pana Bogu etc., iż stronie, która mnie do sprawy swej wokować będzie, wiernie służyć mam, *salarium* zbytecznego czyli pensyi wyciągać nie będę, a one wziąwszy od sprawy nietylko nie odstąpię, ale y rady y papierów stronie przeciwnej, ani przez siebie, ani przez subordynowane osoby nie wydam y stronę przeciwną informować nie będę. Także rady na zwłokę sprawiedliwości przeciwko prawu, na wyniszczenie stron pozywających się, pryncypałom moim żadnym pretextem lub kolorem dawać nie będę. Dokumentów, które mi powierzone będą, na uniknienie lub przytłumienie sprawiedliwości taić nie mam, ale spraw przypaść mających *inlongo* wypisywane *merita* sądowi rzetelnie, bez uszczerbienia cudzej sławy, wcześnie wygotowawszy, podawać będę. Summaryusze *sedulo* (pilnie z uwagą) y wiernie spisywać y one własną podpisywać ręką zawsze będę. Za dependen-

tów moich w odpowiedzi być obowiązuje się. Tak mi Panie Boże dopomóż etc.".

„Takowe wypełnione juramenta (mówi konst.) w feryarzu zaraz zapisywane być mają. Roty juramentów, tak sędziów, deputatów, pisarzów y palestry, dla wszem łatwej wiadomości, na stole przy krzyżu zostawać będą".

Ba! gdyby nie ta smutna alternata, iż tych samych usta ludzi wymawiają święte słowa przysięgi, których potem czyny ją gwałcą i poniewierają. Ileż to się w życiu napatrzyłem, iż ludzie aspirujący do jakiegobądź powołania lub kondycyi, owczą skórą się przykryją, a skoro swoje osiągnie, sierść wilcza rychło na wierzch wylezie; tak też się działo i z patronami, były tam nadużycia i malwersacye, lecz tak subtelne i utajone, że ich prawo pochwycić nie mogło, ale sami na tem cierpieli, bo przekonana o prewarykacyi klientela ich opuszczała; lecz i to prawda, że u zręczniejszego, co umiał lisim się ogonem przykryć, nim spenetrowali fałsz, on tymczasem jedną drugą wioskę kupił, gardłował na sejmikach, bracię szlachtę poił i na sejmikach hałasował; znawałem takich.

Lecz większość mecenasów mojego czasu, byli to ludzie poważni, stateczni, dobrej famy, a tak przez ogół, jako i sędziów konsyderowani: zawsze tak rozumiana palestra ujmy sądownictwu nie

przynosiła, a można powiedzieć, iż, z pewną niewielką excepcyą, była jego zaszczytem.

Atoli z kolei przejdę do palestry, że tak powiem niewłaściwej, nie jak ją prawo, ale *publicum* pojmowało, nadając to miano poważne całemu szmatłajstwu, co się sądów czepiało nie wiedzieć w jakim charakterze; to był *abusus* prawa, a raczej zwyczaju w liczebności tak zwanych dependentów, którzy się szumnie a cale niewłaściwie palestrowali. Każdy patron mógł mieć dziesięciu dependentów wniesionych do feryarza, lecz przez protekcyę liczba ich dochodziła do piętnastu, dwudziestu albo i więcej; taki owaki szlachcic submitował się marszałkowi i deputatom, że nie ma co z synalem począć, który bąki na wsi zbija, a za dziewkami biega, niechby się sposobił do prawa, żeby wyszedł na ludzi i t. d., a uściskawszy jedno, drugie kolanko, swego dopiął — bo w rzeczy zdaje się, co tam szkodziło komu, że ktoś się z bliska przypatrzy krajowemu prawu i jego procedurze; a tu właśnie był w tem sęk, cisnęli się tacy i owacy, a psim węchem przy goliźnie żyjąc, dopuszczali się nadużyć i malwersacyj, pokątnie sprawy forytowali i biednych symplicyuszów narażali na straty.

Od nich, pomimo nadużyć dobrej wiary, jeszcze może nie tyle złego pochodziło, co od paniczów, magnackich synków: boć niech co chcą

mówią o wojowniczości naszego narodu, która w rzeczy za dawnych wieków słynęła i niezatartą literą sławy na kartach się kronikarskich wpisała, ale *mutantur tempora!* i mojego czasu już paniczykowie tylko o rangi wojskowe zabiegali, a skoro szlifę uczepił za to, że jadł kaszę u mamuni za piecem, a liczył się na rejestrach chorągwi, której znów jakiś wujaszek nigdy nie wąchający prochu, był rotmistrzem *in partibus infidelium*, to o więcej mu wojowniczości nie chodziło i już tylko zabiegali, aby synaczek nabrał swady oratorskiej, jakiej takiej wprawy w mówieniu *in publico*, przysłuchując się krasomowcom, których siła korporacya nasza prawnicza posiadała; dlatego to i przez samo wsłuchanie wiele można się było nauczyć. Lecz chərłak jeszcze do tego fałdów przysiedział, ale paniczowi co innego pachniało.

Pchali się tedy magnaccy synaczkowie do palestry, mamunie zaś za nimi z córeczkami, niby to dla atentowania jakichś spraw na trybunał przybywały i niejedna *ejusdem modo*, wyłowiła palestranta na zięcia, ztąd też ta palestra paniczykowska na wszelkich zabawach, redutach, assamblach rej wodziła, a ton wszystkiemu dawała; oni to stanowili mody, jako niby młodzież przodująca. Burdami już to, pomimo że prawo w trybunalskich miastach surowo karało wszelkie tumulty i nieporządki, odznaczali się: załapać ja-

kiego szlachetkę domatora, zadrwić, wyzwać, o-kiereszować, lub w razie stchórzenia zmusić go do opłacenia się sutym traktamentem, to już był ich chleb powszedni; kupą się zawsze trzymali, przy nich zaś chudopachołkowie wisieli, siląc się im dorównać, choć co prawda wyglądali przy nich jak z onej gadki o żabie, co to nogę nastawiała, kiedy konia kuto.

Prawda, że paniczykowie sobie szaleli, lecz to nie prowadziło do nagannych konsekwencyi, pobył sobie parę lat w palestrze, burd narobił, dowiedział się czegoś lub i nie, a dbał niewiele o to, bo zasiadł sobie na ojcowskiej fortunie i drwił z prawa.

Ale z uboższymi działo się inaczej, ci chcąc sprostać paniczykom, a nie mając po temu forszusu, szastali się za groszem i tędy i sięndy, niekoniecznie na legalnej drodze — który bowiem fałdów przysiedział, zawsze coś tam zdobył, wyszedł na instygatora, lub suscypienta, na to nie trzeba było Salomona, a grosik zawsze kapał; atoli niepoprawna leniwa hołota inaczej sobie poczynała, byli co w tej niby palestrze starzeli się latami i umierali, a psim węchem żyjąc, wietrzyli tylko frajerów, aby z nich sobie zarobek wykrzesywać. Skoro się zdarzył szlachcic symplaczek a inocent, zaraz się zań czepili; opłacił się, sprawę przegrał najczęściej przez kondemna-

tę i ani się osuszony *per pedes apostolorum* do domu powędrował.

Szczególniej dostawało się Litwinom, kiedy z koroniarzami w naszych trybunałach mieli sprawy, iż to lud jest dobroduszny, a nie bystry, zwykle się im biedakom najwięcej zmełło od tej *quasi* palestry, a zwano ich zwykle *boćwinkami.* Pamiętam mojego czasu sławną była sprawa jakiegoś Dutejki, którego ci oberwańcy schwyciwszy pomiędzy siebie, całą mu sprawę przeprowadzili w jakimś trybunale, rezydującym jakoby na przedmieściu Lublina; tak zaś to mieli z finesem ukartować, że trybunał dla *boćwinka* siedział *in gremio* z marszałkiem, deputatami etc., byli obrońcy strony przeciwnej i powoda, słowem niczego nie przepuścili, ażeby szlachcica otumanić, lecz, że szalbierstwo należało zasmarować jakim takim pozorem, więc tak sobie zaradzili: ponieważ, jak wiadomo, wyrok w sprawach właściwych trybunałowi uważany jest z prawa za ostateczny, tak, iż żadne odeń odwołanie się nie służy i ani król, ani sądy nadworne, ani też sam sejm zmienić tego nie mogą, wzięli się tedy łotrzykowie na sposób i osądzili z konstytucyi 1650 r., która stanowi, iż gdy się wydarzy sprawa, którą przypadek żadną ustawą nie jest obmyślany, tedy ma być do sejmu po rozsądzenie odesłaną; nie jest bowiem rzeczą trybunału nowe ustawy stanowić,

lecz wyrokować w ślad przepisu obowiązujących już ustaw.

Taką sentencyę ów facecyjny trybunał wydał Dutejce, odsyłając go do sejmu, jakoż choć odarty przez tych urwisów do koszuli, jednak z pełną nadzieją sukcesu na najbliższym sejmie stanął biedaczysko z apelacyą i tylko się drwin nałykał, bo na dekrecie były pozmyślane nazwiska i już szlachcic opłaciwszy suto ten żart bolący, owego trybunału więcej nie szukał i biedny Dutejko w przysłowie w Lublinie się zamienił. Co z tego wszystkiego dziwniejsza, że działa się ta rzecz, jak potem doniesiono, podczas rezydencyi trybunału, kiedy zwykle porządek i czujność miejska bywa zdwajaną.

Naprawiwszy tyle o tej palestrze wiem, iżem niewiele powiedział, ażeby to opisać, trzebaby foliałów; zatem lepiej powrócę do mojej instalacyi. Ponieważ był to dzień piątkowy, w których imćpan mecenas bywał niewidzialny, za wyjątkiem gwałtownych potrzeb (o czem się niżej będzie mówiło) więc miał imćpan rejent rozpocząć tę ceremonię od *paniczów* czyli palestry, o której, co mi *anticipative* wyjaśnił, zapisuję.

Obawiałem się to ja nieco mojej instalacyi w palestrze imćpana wojskiego (*nota bene* najniesłuszniej wobec prawa, ale tak jednak było, że mecenasi swoją kancelaryą zwali pompatycznie

„palestrą“ — samo przez się w mowie potocznej, ale nie w aktach urzędowych i miano się to jakoś utarło).

Palestra imćpana wojskiego składała się, że tak powiem, z dwóch części: na pierwszem miejscu postawię kilku charłaków statecznych, dobrze pracujących, tych już *jegomość* dobierał z ludzi wypróbowanych i spokojnych, ci biedacy ciągnęli jak woły w jarzmie — prawda, że im się to nagradzało, bo płatni byli *honeste*, a każdego w swoim czasie jegomość wypromował, ale co pracowali to pracowali, ich napędzać nie było potrzeba do roboty: z tych też kilku, co podemną dependowali, znam już mecenasami, ludźmi z zaufaniem a i nie bez fortunki.

O tamtych, że mało co do powiedzenia, więc przejdę do drugiej części palestry wojskiego tak zwanych *paniczów*, których komplet wynosił dwunastu, a byćby ich mogło i 24 i więcej, gdyby nie to, że i z tymi trudno było dać sobie radę. Byli to wszystko synkowie magnaccy, wielu z nich nawet senatorowiczów, bo inaczej byćby nie mogło, bacząc na trudne kondycye, jakie dependowanie u wojskiego za sobą pociągało.

Najprzód każdy kandydat, *subintelligentur* oprócz, że miał być z pochodzenia *natus et possesionatus* i to *bene*, miał być nietylko sam przez się, ale i z rodziców nieposzlakowanej reputacyi, a o ile tyle i szkolnej kwalifikacyi wymagano;

nadto jakby do wojska miał mieć postawę i prezencyę dobrą, a gładkość światową. Te były kondycye, że nazwę, moralne; finansowe zaś były takie: każdy aspirant do tej palestry składał jednorazowe *titulo* kaucyi cztery tysiące złotych, które już nigdy do niego nie wróciły, nawet w razie rychłego wydalenia za jaką winę; to zaś było z tej racyi, iż konstytucya już cytowana (1768), stanowi, że mecenasi za tumulty własne i dependentów 2.000 grzywien i 6 niedziel wieży podpadną. Na ten to wypadek ono *vadium* składało się i jeżeli który rodzic wypraszając się, chciał je przepołowić, jegomość zwykle odpowiadał:

— A to waćpan lokuj synka u Ossowskiego lub Kobierzyckiego, albo u kogo się podoba, jest nas przecie trzydziestu, a dwudziestu dziewięciu darmo przyjmuje i tamże przecie naukę prawa można zdobyć. Lecz ja w razie burdy nie będę z własnego mieszka za synka grzywny płacił, dość, że wieżę odsiedzę... Nakiwaj waść lepiej synkowi, żeby się dobrze sprawował.

Pomimo to, każdy możniejszy pchał się do imćpana wojskiego dla samej opinii, bo ażali się w rzeczy czego nauczył, albo choć i bąki tylko zbijał, zawsze jednak skoro z czasem powiedziano, że terminował u Scisłowskiego, to już myślano słusznie lub nie, że jest statysta i jurisprudent.

Nadto jeszcze rocznie z góry każdy z nich opłacał 2.000 złotych na utrzymanie i wygody, które w rzeczy były magnackie ze wszech względów. Prawda, że jegomość grubo na tem zarabiał, lecz trzeba mu oddać sprawiedliwość, że znaczna część szła na wynagrodzenie dla biednych i pracujących.

Może najtrudniejszą z kondycyi było oporządzenie, każdy bowiem z paniczów musiał się nosić, mało powiedzieć przystojnie, ale z pańska; obowiązkiem było mieć na galę i dla asystowania jegomości przy sądach, mundur wojewódzki i do tego lubelski, jeden z droższych: bo to kontusz ponsowy (a ten kolor sukna jak wiadomo jest najdroższy) z zielonemi wyłogami, szlify złote na obu ramionach, żupan biały, także snadno się brukał, musiał zatem często być odnawiany. A jegomość sam przepatrywał wyprawy aspirantów, żeby wszystko było suto, jak z igły, a szychu w szlifach i w pasie nie tolerował, ten winien był być co najmniej słucki, jeżeli nie perski lub turecki.

Dodać do tego, że jegomość przebierał i w charakterze aspirantów, w staturze i w prezencyi, konwersacyi, a gładkości światowej, a śmiało można rzec, iż niejeden już w dojrzałości łatwiej się wdarł na senatorski stołek, niżli na dependencyę do jegomości.

Przed taką tedy butną czeredą stanąć miałem

w osobie niejako ich komendanta, bo w sprawy kancelaryi jegomość mało się męszał, tylko już w razach ważniejszych. Wyznam, iż dowiedziawszy się od mojego zacnego protektora imćpana rejenta o tem wszystkiem, co się powyżej wypisało i z kim to będę miał do czynienia, a wątpiwszy w podołanie, rzeknę do rejenta z pokorą:

— Miły mi a czcigodny imćpanie, który w niezmierzonej swej dobroci chciałeś mnie obdarować niezasłużoną łaską, dozwól, iż jej przyjąć nie mogę; jam człek jeszcze młody, nie wytrawny, miałżebym, a raczej śmiałżebym zająć waszą trudną kondycyę, której podołać nie potrafię.

A całując go w rękę dodałem, z rzetelnie synowskim sentymentem:

— Wdzięczność za intencyę waszmości ojcowską zaniosę do grobu... boście mi raczej pracować pod waszym światłym kierunkiem, ale nie wkładajcie na słabe barki, czego udźwignąć nie potrafię.

Stary rozśmiał się na całe gardło, a kładąc mi ręce na ramionach, niby odepchnął i zawołał:

— Masz racyę synku, to idźże doić kozy Joynowey... a to potrafisz... hę?..

Lecz widząc moję konsternacyę z tych swoich urągań, uściskał mię z rozrzewnieniem, jakiego w nim dotąd nie dostrzegałem, a zmówił z sentymentem:

— Otóż widzisz mój chłopcze, żeś mi sprawił

jedyną radość jakąm miał w życiu i zadowolniłeś moją ambicyę znajomości ludzi, bo wyznaję, jeszczem się wahał czy ty sobie tu poradzisz i doznawałem pewnej obawy, gdyż to z mej poręki i rekomendacyi jegomość ci dał moje zastępstwo, ale teraz wszelkie obawy i wątpienie skromność twoja rozwiała. Idź tak dalej w życiu, a powiadam ci, że dojdziesz.

I znów mnie uściskał, a był czułym i przygacielskim, przez co nowe zalety w tym niepospolitym człeku odkryłem; wszakże rychło zapanowawszy nad sentymentem, na nowo stawał się pozornie chłodnym i rubasznym:

— Ano chłopcze, trzeba się siarczyście z kopyta paniczom postawić... nie wadzi, żebyś coś krótko po mnie przemówił do nich...

— A cóż ja powiem? — odparłem prostakowato.

Rejent przedrzeźniając moją mowę, rzekł drwiąco:

— Zapewneś słyszał jak Joyna majufes w szabas odprawuje, to im zaśpiewaj.

A tak mnie przez to rozśmieszył, żem sam nabrał otuchy:

— Ano więc *audaces fortuna juvat*, zróbmy sobie maleńką repetycyę, bo to ci powiadam żaki są, a z takimi często trudniejsza sprawa, niż ze statecznymi... ażeby waćpanu rzecz ułatwić, a to co ja im powiem, ażebyś swoją kró-

ciutką oracyjkę do tego zastosował; tylkoż pamiętaj śmiało im patrzeć w oczy i żeby ci przytem głos, chowaj Boże, nie zadrżał, boś zgubiony, oto masz moją próbkę...

Po tych słowach stanął, wyprostował się i z garbatego szlachcica, wzrósł na istnego olbrzyma, co do stylu, wymowy, jasności głosu, żem się zdumiał, boć istną to było dla mnie niespodzianką, a ta jego wymowa takiej mi dodała inspiracyi, żem niejako *abrupte* ogonek czyli konkluzyę do jego mowy dorobił. Trudno żebym się kusił o powtórzenie tego, co ten człek pełen erudycyi wypowiedział, ale gdym ja skończył, on uderzając mię po ramieniu, rzekł:

— *Valde bene*, *benissime* mój ichmościu, tylkoż daj mi parol, że tak samo przed nimi śmiało wypowiesz...

Zawahałem się z odpowiedzią.

— Jeżeli mi sprzyjasz, to dasz parol.

— Daję!.. — pospieszyłem odrzec.

— Ano, tom spokojny... a gdyby ci w trakcie allokucyi przyszła jaka łacińska cytata jeszcze, to pal śmiało, bo cytata mosanie nie psuje oracyi, tak niby jak majeranek kiełbasy, a waść co rabiasz bigosy, musisz o tem wiedzieć... Chodźmy więc w imię Boże! Ale czekaj, jak waść wyglądasz, bo jeżeli gdzie prawdą jest, to wobec palestry, że „jak cię widzą tak cię piszą“.

Okręciwszy mnie jak żaka, od stóp do głów

oglądał; jakoś się lustracya powiodła, bo z porady poczciwego Joyny, odziałem się w mundur lubelski, który mi jego syn wcale przystojnie zmoderował.

— A niechże cię wciornosty! żebym był panną, tobym się mizdrzył do ciebie, gracki z waści doprawdy kawaler... Ale czekajno, parę uwag jeszcze, oni tam cię od razu będą sekować, wszystko z początku puszczaj mimo uszów i udawaj negusa, aż kiedy się rozzuchwalą na dobre, dopiero nasuwasz jednego, drugiego, zlekka tylko jak to zaobserwowałem waści, żeby jegomości naszemu nie przeszkodzić w klienteli i wszystko pójdzie jak po maśle.

Po wielu jeszcze uczynionych mi stosownych instrukcyach przez mojego zacnego protektora, weszliśmy nakoniec do onej sali dependentów, którą już raz opisałem; na ten raz było tam cicho i przystojnie; warcaby i karty pod stołem, nie znajdowały się w ruchu, wszyscy niby zajęci pracą. Na pokłon rejenta odpowiedzieli poważnym i właściwym pokłonem, lecz na mój z pewną szyderczą skwapliwością i uniżeniem, wszakże uprzedzony przez rejenta o tem, co mię czeka, cale się nie zdetonowałem i puściłem wszystko mimo siebie, jakbym intencyi nie pojmował; nie mogło to jednak ujść mojej uwagi, że za plecami rejenta, któremu szczególną okazywali kon-

syderacyę, jakby dla dotkliwszego ukłócia mię, różne jakieś żakowskie figle i gesta wyprawiali.

Rozpoczął rejent wcale piękną przemowę, żegnając ich jako swoich towarzyszy, a dziękując im za wspólną gorliwą pracę, mnie im polecał, jako zdolniejszego od siebie zastępcę i t. p., a może i nadto mi nakadził.

Ja tedy na odwrót oddawszy mu zdwojone (a w rzeczy słusznie należne) pochwały, zwracając do paniczów mowę, polecałem im się raczej jako kolega, niż zwierzchnik, pragnący z nimi razem pracować i kształcić się w tej wielkiej niezgłębionej nauce jurisprudencyi i t. d., dziśbym tego dokładnie powtórzyć nie umiał. Lecz rejent potem moją mowę aprobował, a ja wiem to do siebie, że się nie skonfundowałem.

Potem jeden z charłaków odpowiedział w pięknej wcale mowie, pełnej sentymentu submissyi i wdzięczności dla dawnego zwierzchnika, a przypiął i dla mnie zręczny komplement, że spodziewają się po długim lat ciągu, również z żalem i uczuciem weneracyi i wdzięczności ze mną się rozstawać, kiedy moje zasługi do wyższej mię powołają karyery etc. Mówił płynnie i pięknie, z trafnemi cytatami poważnych autorów łacińskich.

Po nim wystąpił jeden z paniczów z pożegnaniem dla regenta wcale udatnem i sentymentalnem; mnie zaś łatkę przypiął, bo mówiąc niby

komplement, że obejmując w tak młodym wieku tak poważną i trudną kondycyę, zadaje fałsz odwiecznemu mniemaniu, iż tylko starsi wiekiem i doświadczeniem mogą korzystnie kierować młodzieżą.

Potem znów mi szurowali nogami, robili przeróżne żakowskie gesta, wszakże według instrukcyi mojego protektora regenta, trzymałem się względem tego do czasu obojętnie.

Rozpoczęła się w ten sposób moja ciężka, i w istocie niełatwa praca, której słabemi siłami i niedoświadczonym rozumem zaprawdę nie podołałbym bez pomocy mego zacnego protektora regenta; w początkach wszystko, mogę powiedzieć, działo się przez niego, bobym sam moją inekspe-ryencyą w to nie trafił, atoli mój mentor poczciwy i rozumny wodził mię jak na pasku, ale oszczędzając mej ambicyi, czynił tak, aby nikt tego nie spostrzegł, że sam nie działam, tylko jestem kierowany — tak zręcznie ukrywał się w cieniu, mnie podnosząc i wystawiając naprzód. Wielkiegom w tym zacnym człeku zdobył przyjaciela, a do tego bez własnego *meritum*, co mam sobie za łaskę Boga, bo bez tego niewątpliwiebym nie podołał trudnemu zadaniu. Zapewne, że przy pracy, dobrej chęci i staraniach, stanąć już mo-

głem na własnych nogach, aliści bez mądrych rad mojego zacnego opiekuna tegobym nie dokazał.

Z paniczami sam już radzić musiałem: z początku oni widząc moją potulność i niejaką dobroduszność, dotąd wprawdzie symulowaną, skakali na mnie jak na pochyłe drzewo; najwięcej pochopu do szyderstw dawała im moja (a raczej pożyczana) godność „Humilisa“, dobierali do niej najgłupiej jednobrzmiące wyrazy „*similis*, *nubilis*, *stabilis*“ i to bez końca, — pisywali jakieś bezsensowe wierszydła, szurowań nogami, chrząkań, kichań i tym podobnych żakowskich wybryków zliczyć trudno — nakoniec przezwali mnie *frater Humilis*, co mię najwięcej ubodło.

Jeden tedy z tych chłystków najzuchwalszy, kasztelanic K., którego ojciec był mąż zacny i szanowany powszechnie senator, ale synalek pierwszy promotor burd i zawadyactwa, spyta mnie raz, udając niby potulnego:

— Z przeproszeniem waćpana i uszanowawszy honor jegomości, śmiem zapytać, jak go też zowią na świecie, bo nietrudno skombinować, iż on „Humilis“, to imię zakonne.

Właśnie trafił nie w porę, bo na czas wyczerpującej się cierpliwości, rzeknę mu tedy, a ostro:

— Mnie to jedno miano wystarcza na wszystko, bom w zakonie nie był, ale gdybym dla waści

chciał szukać przydomku, to posiadam aż dwa na pogotowiu: *asinus* i *hebes!*

– Ha! mosanie! — zawoła zaperzony chłopak — czy waść myślisz, że to sprawa z lajdą *bernardyńskim* *), którym kiedyś być musiałeś, i jeżeli waść masz krew szlachecką, to mi staniesz do rozprawy, nie bacząc na żadne gradusy zwierzchnictwa, lub kijem twój habit ogrzmocę.

— Na co tu kija, który ma dwa końce — mówię — młokosie...

— Ja nie jestem żadnym młokosem, ani nawet „Humilisem", ino kasztelanic K. herbu Grzymała.

— Tom ja wiedział — odpowiem — i boleję nad tem, iż Opatrzność dała waćpana za syna ze wszech miar czcigodnemu ojcu, wiem ja o Grzymale klejnocie tego zacnego domu, ale ja ci szablą wykroję herb nowy „*Asinus!*" *alias* „ośle uszy" — i wskazałem na swej głowie, gdzie zamierzałem tego zuchwalca naznaczyć.

Rozdrażniony moją mową, rzucił się na mnie z podniesioną pięścią, alem go w czas pochwycił za rękę, i że Bóg łaskaw nieośledne mi siły udzielił, schwyciwszy dłoń jego jak w żelazne

---

*) To *adjectivum* „bernardyński", wlało we mnie otuchę, bo jużem się obawiał, że moje pochodzenie u Reformatów odkryli panicze jakimś sposobem, dopieroż miałbym się z pyszna i pocierpiałbym o to. *Przypisek na marginesie.*

kleszcze, omal jej nie zgruchotałem, aż nieborak zapiszczał nieswoim głosem przysiadłszy na ziemię i już pokorniej przemówił:

— Puść jegomość rękę, wyznacz plac i godzinę.

— Wprzód się wyekskuzuj waćpan i przeproś mnie za zuchwały zamiar podniesienia ręki lub ci ją na miazgę zgruchoczę.

— Wił się z bólu biedak, trzymając się jakiś czas hardo i sycząc z bólu, jęczał:

— Nie przeproszę!

— To stracisz rękę, bo każda na mnie podniesiona, chociaż nie w czynie, ale tylko w zamiarze, już się po raz drugi nie podniesie.

I począłem dusić coraz silniej.

— Przepraszam!

Wyszeptał biedak już prawie omdlały, potem dodał:

— Ale rozprawę i to nie na żarty, zastrzegam sobie.

— To swoją drogą, ale wprzód waćpan na rękę wydobrzyj, a ja zawsze gotów.

Puściłem tę dłoń nieszczęsną, która z pod moich palców wyszła czerwona i opuchnięta jakby z ognia. Nieborak siny był i blady z bólu, padł zaraz na ławę, aż go cucić musiano. Cisza się zrobiła tak piękna jak w kościele, nikt nie śmiał na mnie oczu podnieść.

Rozumie się, że zaraz rzecz całą wytoczyłem

przed imćpanem Sułdykowskim, jego mądrej rady we wszystkiem zasięgając, a on mi na to:

— Dobrześ sobie waćpan począł, bo inaczejbyś z tą hołotą nie poradził: kasztelanic między nimi promotor, najlepiej się z nich bije, chociaż znając twoją grę, wiem, iż przez kij go przesadzisz; oni to już wysadzili go na agresora, ale kaducznie się zawiodą, to bardzo dobry początek, ale zawsze nie koniec, będzie tego więcej. Czy mu tam bardzo łapy nadwerężyłeś?..

— Co tego nie umiem powiedzić, bo już tu istotnie w grze był honor urażony i nie panowałem nad sobą.

— Nic nie szkodzi, wyliże się za jaki tydzień.

— Owoż chciałem się waćpana poradzić, jakby tu do rozprawy przystąpić bez rozgłosu, a nie ściągnąć na się rygoru prawnego, a co większa nie przysporzyć kłopotu imćpanu wojskiemu? — zapytam go.

— I ta przezorność waści się chwali — odpowie — nim zaś łapę ten smarkacz wyliże, trybunał się rozpocznie, a nasz jegomość ma dużo mecenasów niechętnych, dla tego należy go oszczędzać, boby to się rozmazało na kryminał, a za tumulty pod bokiem trybunału i gardło dać można; ale *est modus in rebus*, wyznacz plac na *Barbarkę*, która jest za juryzdykcyą trybunału i po za granicami miasta, termin w niedzielę pierwszą po wygojeniu łapy, bo w dzień powszedni przy

natłoku pracy wydalić się nie można. Ale, ale, spodziewam się, że uczynisz mi zaszczyt biorąc za sekundanta.

Chciałem go w rękę pocałować za ten nowy dowód łaski a wcale niezasłużonej. Tegoż dnia kasztelanic przysłał mi sekundantów, których jak prawo pojedynkowe mieć chciało, odesłano do rejenta, który rzecz całą ukartował jak się powiedziało; przyjęcie przez niego sekundy mojej dodało mi wiele powagi i paniczykowie znacznie się umitygowali, może wyczekując mojej śmierci, bo słyszałem szepty pomiędzy nimi, że wiele liczyli na zręczność kasztelanica.

Nadspodziewanie spiesznie wygoiła się łapa, tak, że jeszcze na dni parę przed zjechaniem trybunału mogliśmy do rozprawy przystąpić: w pewną niedzielę dobrze jeszcze przed wschodem słońca, udaliśmy się na wyznaczone miejsce, każdy szedł ze swoją partyą, kasztelanic samoszóst z paniczami, bo w kondycyach zawarowano, że najwyższa liczba sekundantów może być pięciu, adwersarz mój wziął ich też tylu, jam poprzestał na jednym rejencie, który mądrością swoją a doświadczeniem mógł i za tysiące starczyć.

Placem spotkania, jak powiadałem, wyznaczono *Barbarkę*. Była to austerya za granicą gruntów miejskich, nazwę swoją odebrała od gosposi niejakiej Barbarki, znanej już to ze zbytniej uprzejmości dla palestry, kobiety acz nie pierwszej mło-

dości, ale jeszcze dość wabnej i zręcznej, jadło miała dobre, tudzież i napoje, które bardziej smakowały, iż je łatwo dobywanym sentymentem przyprawiała, miała też wielką łaskę i wziętość u palestry; niemało przyczyniała się i ta dogodność, że jako po za juryzdykcyą trybunału Barbarka była miejscem uprzywilejowanem wszelkich rozpraw.

Skorośmy się zeszli na placu, imćpan rejent, jako najstarszy wiekiem, przedsięwziął preliminarya do zgody, co czynił prędzej proforma i z przyjętego zwyczaju, niżli w myśl jakiegobądź sukcesu, bowiem obraza była dość ciężka, aby się w *concordia* zamknęła; rzecze tedy imćpan rejent:

— Z obowiązku ludzkiego i chrześciańskiego, a obywatelskiego, nakłaniam ichmość panów do zgody, abyście rankoru i zawiści wbrew prawom boskim i ludzkim, we krwi nie maza i; a ponieważ imćpan kasztelanic uczynił już ekskuzę...

— Jak na torturach katowskich wymuszoną batem, którą teraz najuroczyściej cofam — przerwał kasztelanic ze złością.

Rejent biorąc nasze szable skrzyżowane do ręki, podał je nam, najprzód kasztelanicowi — przyczem powiedział:

— Skoro tak jest, iż rzecz na drogę pojednania zejść nie może, a więc poczynajcie w Imię Boże i szlacheckiego honoru, atoli bez zapobiegliwości, zawziątku i chęci niepomiernego szko-

dzenia adwersarzowi, o co zaklinam was w obec tu przytomnych, w imieniu chrześciańskiej miłości bliźniego.

Co zmówiwszy, krzyż w powietrzu uczynił.

Złożyliśmy się: kasztelanic zrazu natarł tak gwałtownie, iż omal mi szabla nie pękła; odrazu poznałem, z kim mam do czynienia, że więcej w nim działała pasya, niźli sztuka, chociaż gracz byłby przy zimnej krwi niezgorszy, atoli nie chwaląc się, zawsze miałem nad nim preferans; ale i taki gracz zapalczywy stać się może niebezpiecznym, skoro na podobnego sobie natrafi, cała więc sztuka w czujnej poradzie, dać mu się zmęczyć i zziajać, a wtedy już się człek staje panem pozycyi — jakoż i tu się tak stało, że przeciw rosnącej jego pasyi, ja o tyle nabywałem zimnej krwi i po jakim kwadransie już zwolna atakować zacząłem i miałem go jakby w garści.

Chodziło mi o to, aby go ciąć w głowę, jak zapowiedziałem jemu samemu i rejenta o tem uprzedziłem, który wszakże wymógł na mnie parol, że uczynię to zlekka i mitygować się będę, aby adwersarzowi wielkiego szwanku nie przyczynić, bo to z cięciem w głowę nie ma żartów.

Tu muszę wyznać pewną niegodziwość, że wcale nie po chrześciańsku chciałem z mej przewagi zatryumfować, a widząc już adwersarza mojego mocno zdyszanego prawie na mojej łasce, rzeknę z przekąsem:

— Zasłoń waćpan ciemię, bo skaleczę.

A dałem sztych widoczny, aby podstępem nie działać; osłonił się on wprawdzie, ale niedokładnie, odbiłem szablę i drasnąłem w głowę, ale co do joty jak to pokazałem wprzódy.

Podbiegł rejent i rozbijając nasze szable swoją, rzecze do kasztelanica:

— Masz waćpan kontent?.. podajcie sobie ręce.

— Proszę jegomości nie przeszkadzać, pierwszej krwi nie było na wymowie — odparł kasztelanic ze złością, a krwią oblany.

— Na dalszą rozprawę nie pozwalam — rzekł rejent.

— Czy jegomość stoisz za swego szampierza, żeby chowaj Boże, co złego mu się nie stało i koniecznie cało wyszedł? — odpowie impertynencko kasztelanic.

— Do woli jegomości, ale strata krwi niedopomoże do odwetu, więc pozwól, że ci ją zatamuję — rzecze łagodnie rejent.

— A no słusznie imćpan rejent powiada — ozwą się sekundanci kasztelanica.

Zaraz posadzono go na pieńku, rejent dobywszy z pod kapoty jakiegoś mieszka skórzanego, wydostał zeń hubkę, chleb i pajęczynę, a w dwa pacierze krew zatamował, znać było, że miał w tem wielką wprawę, a potem mówił w ojcowskim tonie:

— Daj pokój kasztelanicu, sam byłeś agresorem, do tego dziś jakoś jesteś niedyspozyt, do czego to zresztą prowadzi; wszakże powiedziano jest: *concordia res parvae crescunt*, podajcie sobie ręce.

Jam już stał przed adwersarzem gotów nawet do ekskuzy, bo mi wszelki rankor, jakkolwiek mały był, już przeminął, gdy kasztelanic wskakując na równe nogi, z pasyą zawoła:

— Nie o rękę tu chodzi, ja głowy nadstawiłem, niechże i jegomość tak uczyni, a jeżeli ja płatnę, to już nie na żarty... Proszę na plac!..

Stanęliśmy znów na miejscu, z czego, jak zauważyłem, rejent był cale niezadowolony i szepnął mi z cicha:

— Jeżeli mam choć trochę łaski u ciebie, to oszczędź go.

Że i ja tak samo myślałem, ale zawsze, Boże odpuść złość przeciw bliźniemu, one ośle uszy miałem na pamięci. Zaledwieśmy się powtórnie złożyli, a widocznie upływ krwi i złość pozbawiły sił i czujności mojego adwersarza, natychmiast go tedy płatnąłem w głowę i to jak przepowiedziałem, najsymetryczniej z przeciwnej strony, ale szczęściem umitygowałem się i rana druga była jeszcze mniejszą.

Znów rejent podbiegł jak przedtem, a rozgradzając nas swoją szablą, zawołał:

— Ej! dość tego chłopcy! i żebyście mnie mieli zasiekać, dalej bić się nie pozwolę!

Jakoż czy ze złości, bo nie myślę, ażeby z bolu, kasztelanic osłabł bardzo; posadzono go na kłodzie i na nowo rejent z niezwykłą zręcznością ranę mu opatrzył.

Natenczas ja podchodząc z prawdziwie przyjaźnym sentymentem rzeknę mu:

— Wybacz mi miłościwy panie i bracie, żem ci ten szwank zadał w obronie własnej całości... (już to co prawda kłamałem, bom tak czynił z umysłu) i zechciej przyjąć moją powolną submisyę i sentyment przyjaźny, z jakim względem waszmości pragnę nadal pozostać...

— Daj mi waść pokój ze swemi sentymentami, *hodie mihi cras tibi* (dziś mnie jutro tobie), a jedno co sobie u waszeci zaskarbiam, że nie ostatni raz się tu widzimy ze sobą...

— O tem potem, a teraz podajcie sobie ręce— zawoła rejent.

To mówiąc połączył nasze dłonie, atoli ze strony kasztelanica uściśnienie było chłodne i widocznie wymuszone.

Nic tam się bardzo złego kasztelanicowi nie stało, nie były to bowiem rany niebezpieczne, jeno tylko draśnięcia, a jego własna irytacya więcej mu nad nie szkody sprawiła. Rejent jeszcze około zgody zabiegał, inwitował nas na poczęstunek do Barbarki, ale jakoś się nie kleiło widocznie, bo tak kasztelanic jak i cała paniczowska partya rankoru do mnie nie pozbyli. Wracaliśmy

tedy osobno, ja z rejentem, który rzekł do mnie:

— A niech-że cię uściskam chłopcze za twoją wstrzemięźliwość i panowanie nad sobą; bo zaprawdę były momenta, gdzie ja widz obojętny takiej nabierałem pasyi za butę i zuchwalstwo kasztelanica, iż byłbym płatnął przez połowę. Gdybyż to się na tem skończyło, ale ja znam tych *paniczów*, przygotuj się na nowe wybryki, alem jest już o ciebie pewny, że taktem i rozumem wszystkiemu zaradzisz.

W istocie między paniczami zapanowała jakaś cisza i pewien przesadzony względem mnie respekt, który wcale nie dobrze omenował; rozpoczął się trybunał, roboty była siła, jegomość miał wiele spraw znaczniejszych, czasu na przekomarzania nie było.

Nie trudno wszakże było odgadnąć, że coś przeciwko mnie knują. Dowiedziałem się wypadkiem, że kasztelanic najął sobie onego knechta niemieckiego, z którym się bijałem u Joyny, i z nim ciągle się fechtował, ile tylko miał wolnego czasu, a że był próżniak, więc miał go wiele.

Jednak kadencya trybunału przeszła spokojnie i wcale na paniczy nie mogłem się uskarżać, bo chociaż byli obojętni a zanadto może respektowni dla mnie, jednak nie dali powodu do nieukontentowania. Dopiero po limicie kasztelanic począł mi wyprawiać jakieś sekatury, chociaż niby kłaniał

się z submisyą, jak biskupowi, a nibyto chcąc się ćwiczyć w jurisprudencyi, wziął się na pazury do pracy, lecz w tym właśnie był zamysł dokuczenia i zniecierpliwienia mnie; ciągle wymagał odemnie jakichś niby informacyj, one to zwykle bywały ni w pięć ni w dziewięć, ale moim było obowiązkiem udzielać je. Nareszcie niby to nagle ogłuchł do tego stopnia, że wszelkie odpowiedzi musiałem mu hukać jak w lesie, wszelako chwyciwszy oburącz cierpliwość, ani razu nie wybuchnąłem, chociaż widocznem było aż nadto, że z onej głupiej krotofili śmiali się panicze pod wąsem, chociaż dotąd żaden nie poważył się wybuchnąć głośno.

Lecz że wszystko ma swój koniec, razu pewnego zniecierpliwiony huknę mu w ucho z całych piersi:

— A na które waść ucho głuchy, możebym ci je prześwidrował?

— Uczynisz mi ichmość wielką łaskę i możebyśmy w tym celu udali się na Barbarkę, a weźmiemy ze sobą świadków tej operacyi, aby podziwiali waćpana biegłość w chirurgii, która nie wątpię, dorówna tej, jaką posiadasz w jurisprudencyi... jestem właśnie głuchy na lewe ucho — odpowiedział mi z przekąsem ku wielkiemu kontentowi innych paniczów.

— A więc je waćpanu zoperuję, kiedy każesz.

Nie potrzebuję powiadać, że było to nowe

wywabienie na rękę, które też sobie odrazu tak wyklarowałem, że po pół roku exercycyi z owym knechtem, czuł się kasztelanic dość silnym, aby mnie pokonać. Jak się potem dowiedziałem, wielki to miał być tryumf dla paniczów.

A więc tak się stało, że zupełnie w tej liczbie tych samych świadków udaliśmy się na Barbarkę. Nic przedtem nowego nie zaszło, jedno co zakonotuję, to rozmowę pomiędzy sobą sekundantów, której wprawdzie szampierzom słuchać się nie godzi i odszedłem też na stronę, a jakoś bez najmniejszej złej intencyi podsłuchania, wiatr zaniósł w stronę, gdziem się usunął, głośniejszą i energiczniejszą mowę rejenta, który im prawił:

— Powiem wam żeście żaki, aby tak igrać z życiem ludzkiem i skoro Humilisa rozsierdzicie, gotów kasztelanica rozsiekać na miazgę, pomimo, że tam knecht go macerował...

Rejent jako starszy napadł na nich z góry i postawił na swojem, że rozprawa była do pierwszej krwi.

Mnie tedy chodziło o nowy popis i o to lewe ucho, kondycya była filuternie obmyślana, bowiem każdy choć cośkolwiek znający fechtunek, musi wiedzieć, że z samej postawy lewa część ciała adwersarza jest niedosięgalną, chybaby jakiś wielki frajer, nieznający samego abecadła w szermierce, a takim w rzeczy nie był kaszte-

lanic, osobliwie teraz po experyencyach z knechtem, i trzymać się z nim dobrze musiałem.

Przepowiadał mi to i poczciwy rejent, znający się expedyte na kunszcie, że ono „lewe ucho“ trudne tembardziej, iż go strzedz miał adwersarz całemi siłami, jakkolwiekbądź, ale takem to na wąs namotał, żem sobie dał parol „albo zginę, albo lewego ucha dostanę“.

Złożywszy się tedy, prawie nie nacieraliśmy na siebie, a tak robiliśmy wzajemnie jeden z drugim tempa początkowe, jakich to fechtmistrzowie dla wprawy ręki zalecają.

— Oho! — pomyślę sobie — znać naukę i instrukcyę fechtmistrza, ale poczekaj paniczu *est modus in rebus*. Pocznę go tego przeszywać wzrokiem, oko inkomoduje go, już się niecierpliwi, oczy mu niespokojnie biegają, warga mu się trzęsie, — pomyślę: „mam cię ptaszku w garści, lewe ucho moje“.

Wszakże zajęty tem uchem, ledwo sam nie dostałem po uchu: brał się panicz w kupę, atakował gorąco, jam się miał na baczności i tylko zasłaniałem, a sam ani razu nie zaatakowałem; a myślę trwało to blisko z pół godziny, aż rejent po naradzie z sekundantami, rozdzieliwszy nas pałaszami, ozwie się:

— Zażyjcie sobie wczasu mości panowie! boście zziajani.

— Zaraz tu ktoś pójdzie do wczasu wiecznego! — zawoła z fanfaronadą mój przeciwnik.

— Do woli waszmości, jam nie zmęczony — odpowiem spokojnie.

Gdy wtem kasztelanic leci mi co siła na łeb głupim niemieckim sztychem, w którym poznałem naukę knechta, ale to tylko na frajera dobre; mając się tedy na baczności, widzę onę zaciekłość adwersarza, odbiłem co siły szablę, omal jej nie skruszyłem i już nie cięciem, ale pchnięciem skierowałem moję prosto w bok, alem to uczynił z obserwacyą, bo mi ino o lewe ucho chodziło; jakoż rad nierad kasztelanic, z instynktem konserwacyi, czego mu nawet za tchórzowstwo poczytać się nie godzi, umknął zagrożony bok prawy i samo przez się lewy mi nadstawił: „w to mi graj", pomyślę sobie i zaraz ciąłem go w lewe ucho, ale najlżej jak mogłem.

Co skoro sekundanci ujrzeli, iż pierwsza krew popłynęła, a doznając i bez tego wiele aprehensyi, smutne skutki pojedynku, *eo instante* wszystkie sześć szabel pomiędzy nas wsunęli.

Kasztelanic nie bacząc na ranę, która w rzeczy była prawie żadna, bo zaledwie kilka kropel krwi z niej się wysączyło, rzuciwszy szablę, zawisł mi na szyi i łkając głośnym płaczem, tak, że go utulić nie można było, ściskał mnie i całował, aż po czasie, gdy się umitygował, szczerze mi ręce moje gwałtem całując:

— To mało tego kawałka ucha, czemu mi jegomość nie odrąbałeś raczej głupiej głowy, iż się porywała nie na swoją rzecz... czemuś mi nie wydarł złego serca, które kat wie za co rankor do waćpana żywiło? a waćpan tyle razy mając mnie w ręku, nie nadużyłeś zemsty ani odwetu, mało to prostej ekskuzy za tyle wspaniałomyślności...

— *Vivat* kasztelanic i nasz ichmość! — hurmem zakrzyczeli sekundanci.

A skoro się uciszyli, ja przyciskając do serca kasztelanica, który ciągiem to do rąk, to do nóg mi się chylił, rzeknę mu z istotnym sentymentem:

— Krewkość to waszeci i fantazya działała, ale w rzeczy dusza i prawość przemogły, te ostatnie znać tylko chcę, a mam tę silną konwikcyę, iżeś jest kawaler dobrego animuszu i prawy, a jeżeli czego pragnę, to mieć cię za przyjaciela.

— Na śmierć i na życie! klnę się Bogiem! — przerwał kasztelanic, padając mi w ramiona.

Co tam już potem się działo, długo powiadać, obnoszono mnie w tryumfie po całej gospodzie, a że jegomość na parę dni wyjechał z miasta, więc i zabawiliśmy się dłużej. Reszta palestry zaniepokojona długą naszą absencyą, a przypuszczając, że może jakiś *casus gravis* zaszedł, przybieżali do wzięcia języka i do nas się przyłączyli. Wszyscy tedy razem uczynili mi akt pokory i submisyi, a krótko powiem, że do końca miałem

z nich tylko prawdziwych przyjaciół i najpowolniejszych towarzyszy.

Poczciwy rejent ze łzami w oczach spoglądał na to, ale swoim zwyczajem żartował:

— Ot wiesz co, że aż mię dławi, żeś w tak krótkim czasie ujeździł tych paniczów, czegom nie dokazał przez lat dziesiątki, jedno co mię pociesza, to ta ambicya, że się znam trochę na ludziach, kiedym cię tu wsadził.

W istocie psiąbym miał gębę, gdybym im coś zarzucał, prawda, że wydarzały się usterki, wybryki młodości, na które często przez szpary patrzałem a w razie nagłym zawsze perswazyą i mądrą remonstracyą im zapobiegłem.

Co do kasztelanica, tom serdecznie pokochał tego kawalera, już i za tę krewkość samą i niepospolitą fantazyę, był on wprawdzie raptus, ale wiek go znacznie umitygował. Najbardziej go skaptowałem sobie, żem w czas wolny egzercytował go w fechtunku i bez przechwałki powiem, żem doszedł do tego z nim, iż mógł się stać dla mnie poważnym adwersarzem, atoli nie myślę, abyśmy kiedy przeciwko sobie innych zażyli pałaszy nad tępe, a te dotąd w robocie do pierwszego spotkania.

Skoro po ojcu z czasem objął majątek, kazał ulać dwa wota złote, reprezentujące głowę i ucho, a zawiesił je na cudownym obrazie Najświętszej Panny Kodeńskiej, mówiąc mi nieraz:

— Owoż Bogu dziękuję, bo wszystko w Jego wszechmocnym ręku, ale po Nim twojemu umiarkowaniu, że mam głowę na karku, choć wprawdzie z oślemi uszami i żeś mi całego ucha nie zabrał.

On to (dziś podkomorzy chełmski) jest ojcem chrzestnym mojego Nikodemka, a także byłby mi i młodszego synka Janka do chrztu podał, ale chłopiec chory przyszedł na świat, nie mogłem czekać z chrztem, a podkomorzy wtedy na sejm posłował, zawsze jednak nie może mi tego pośpiechu wybaczyć.

Różnie różni twierdzą, a czemużby nie wierzyć, że aby człeka z gruntu poznać, trzeba zjeść z nim beczkę soli, inni znów, wypić beczkę wina, ale ja w mojej eksperyencyi doświadczyłem, iż nic nie stanowi między ludźmi twardszej konjunkcyi sentymentu, nad kroplę krwi, kiedy takowa się przeleje bez rankoru i zawziątku.

Owożem ja, jak to mówią, jaja przed kurą wystawił, wprzód opowiadając o paniczach, aniżeli o najgłówniejszej personie imćpana wojskiego, mecenasa; alem przekręcił ów porządek z tej racyi, że najtrudniejsze prowokacye ze strony paniczów mnie napotkały i jeden może traf ślepy dał mi ich ujeździć, jak się mój poczciwy rejent wyrażał.

Zdaje się, że łatwiejby mi było opisać jaką wielką ceremonię celebry papiezkiej, gdybym kiedy był tak szczęśliw oglądać ją, niż pierwszą prezentacyę u mojego mecenasa, a również cały czas mojej przy nim pracy, atoli zacznę porządkiem; nazajutrz po przybyciu, równo ze dniem stawiłem się do niego z imćpanem rejentem, który odbywał codzienną czynność meldowania spraw wyrobionych, czemu to ja dla wprawy i nauki miałem się przypatrywać.

Jegomość siedział w dużej izbie o czterech oknach, która szczególną pustką się odznaczała, pośrodku jej bowiem stał stół zielonym suknem pokryty, na nim krucyfiks wysoki z czarnego marmuru, papier, pióra, kałamarz i kupka papierów. Środek izby był całkiem pusty, cztery tylko ściany dokoła były ostawione aż do sufitu szafami, a w nich poukładane księgi praw rozmaite i akta spraw, a na wszystkich nadpisy wyraźnym pismem, a do tego alfabetyczny i chronologiczny porządek nadzwyczaj ułatwiał wszelkie poszukiwania.

Jegomość siedział przy stole na prostym zydelku, miał na sobie kontusik bajowy orzechowego koloru, podpasany pasem taśmowym, o srebrnej kameryzowanej złotem klamrze, myckę turecką na głowie, z prawej strony stołu stał drugi podobny zydelek dla gościa, a raczej klien-

ta, gdyż do tego pokoju pojedynczo tylko wchodzili.

Skorośmy stanęli w tej izbie z imćpanem rejentem, który nawet pokłonu jegomości nie oddał, suponowałem tedy, że już się przedtem widzieli, a stanąwszy przy drzwiach, pokłoniłem się z respektem, a że jegomość jakoś nie zważał, więc kilkakrotnie pokłon ponowiłem, a jegomość ani głową kiwnął, ino zapyta:

— Czyś chory na krzyż, mości Humilis?

— Jako żywo, zdrów jestem, a wdzięczen stokrotnie waszmość panu za pamięć.

— A czegóż się tak kiwasz, kiedyć krzyż nie boli?

— Oddawałem pokłon należny wmość panu.

— Ten ani mnie, ani nikomu nie należy, krom Najświętszemu Sakramentowi, a to tylko szkoda czasu i ruch śmieszny, możemy się przed sobą nie kiwać.

Do oryginalności imćpana mecenasa i ta należała, że się nikomu nigdy nie kłaniał, chociaż przed starszymi czapkę zdejmował na ulicy.

Poczęła się rozmowa z rejentem, który przedstawiał papiery, w rozmowie znów odbijała się wielka oszczędność słów, stosownie jak rejent podawał fascykuły, sam mówił lub go jegomość uprzedzał, w ten lakoniczny sposób:

— Sprawa wojewody...

— Aha.

— Cześnik o główszczyznę...
— Dobrze.
— Podkomorzy z opactwem...
— Termin w ziemstwie pojutrze...

Po skończonej audyencyi, znów bez żadnego kiwnięcia głową, którego się wystrzegałem odtąd, ażeby nie być o zdrowie pytanym, wyszliśmy z izby.

Mecenasa nigdy nie widziałem ani uśmiechniętego, ani żartującego, widocznem to było, że go jakiś frasunek trapił i tak mu siedział na wyniosłem czole, a można się było domyślać, że cała ta jego praca i ciężkie zabiegi były czynione dla rozwiania ponurych myśli; nieraz o to pytałem i rejenta, który mnie zbywał komunałami:

— Et zachciałeś waszeć, „każdy ma swego mola co go gryzie“, każdy też dźwiga jakiś krzyż, a tego biedaka może cięższym jest nad inne, upaja się tylko swoją pracą i słusznie, bo inny na jego miejscu uciekłby się do gorzały.

W istocie i o grosz jegomość nie dbał, który się u niego z otwartej szeroko garści sypał, już to na ubóstwo, już to na spezę, którą także lubił. Dziwowałem się długo temu człowiekowi nim go poznałem do gruntu, który był godny i szlachetny.

Ale powrócę do owych audyencyj, które z początku razem z Sułdykowskim, a następnie po kilku miesiącach wprawy, sam odbywałem. Rzecz

się zaś tak miewała zazwyczaj: bywałem zawsze przytomny przy przyjęciu klientów, to się również odbywało dziwacznie, jak wszystko u jegomości, o czem powszechnie rzecby można „nie tak jak u ludzi“.

Godzin jegomość na przyjęcie nie miał wyznaczonych, lecz to oznajmowało się licznym klijentom przez wywieszanie małej czerwonej chorągiewki na bramie, dlatego na ulicy i w jego ogrodzie tego znaku wyczekiwały tłumy aspirantów. Audyencya bywała codzień, w rzadkich tylko wyjątkach chybiła, jeżeli jegomość stawał w dużych sprawach rano i po obiedzie; ale skoro wywiesili chorągiewkę, iluby ludzi nie przyszło, wszystkich przesłuchał cierpliwie, choćby się i za północ przeciągnąć miało.

Taki tedy był porządek: przed kancelaryą jegomości była ogromna sala paradna, mająca sofy adamaszkowe dokoła ścian, tam przy audyencyi dyżurowało zawsze dwóch z paniczów, nieodmiennie w sutych galowych mundurach, ci na tabliczkach szyfrowych winni byli zapisać każdego z kolei przybysza i w takim porządku do kancelaryi byli wpuszczani. Jeżeli senator nawet przybył za późno, to musiał czekać jak niepyszny, bo dyżurni mieli ordonans surowy przestrzegania kolei i nie czynienia żadnego wyjątku; widzi mi się w tym właśnie była siła wielkiej wziętości imćpana wojskiego.

Pamiętam taki wypadek w drugim roku mojego przybycia: na audyencyą stawił się dość dworno ówczesny wojewoda podlaski, magnat butny a dumny, a jak na toż klientów była siła; dyżurny według obowiązku zapisawszy imćpana wojewodę na tablicy, wskazał mu miejsce próżne na ławie, obok jakiegoś plebejusza; rozumie się wojewoda na sąsiedztwo nosem pokręcił i zmierzał prosto do kancelaryi, z powinności drugi dyżurny zastąpił mu drogę, a wojewoda do niego:

— Usuń się wasze, chcę przejść.

— Wybaczysz waszmość pan, ale trzeba czekać kolei.

— Wojewoda nie czeka.

— W takim razie odchodzi — rzekł obojętnie dyżurny.

— Usuń się, bo cię popchnę.

— A ja odepchnę.

— Co to smarkaczu...

— Nie obcierałeś waść mi nosa, więc nie wiesz, jaki on jest.

Ja zawsze przytomny na audyencyi przy boku jegomości słyszałem cały skweres odbywający się tuż pod drzwiami i jegomość słyszał, bo poczerwieniał, ale przeto rozmawiał spokojnie z klientem; aż gdy wojewoda zawołał głośniej:

— Każę cię błaźnie ludziom od drzwi wyrzucić.

Jegomość powstał i z powagą we drzwiach stanął...

— A szczęście, że szanowny p. wojski przybywa, bo tu ośmielili się mnie nie wpuszczać — ozwie się zaperzony wojewoda.

— I słusznie, jako gwałt czyniącego w cudzym domu, prawo nietylko nie wpuścić, ale wyrzucić dozwala — rzekł mu jegomość tym głosem, którego w potrzebie dobyć umiał, a który samem brzmieniem przerażał.

— Jakto, mnie, wojewodę? — rzecze magnat już nieco zdetonowany.

— Nie jako wojewodę, ale gwałtownika.

— Przybywam dla powierzenia mu prokuracyi, więc prawo nakazuje mnie przyjąć...

— Jestem właśnie prokuratorem przeciw panu, więc pańskiej prokuracyi przyjąć prawo mi zabrania.

— A gdybym nie chciał sam wyjść ztąd — odpowie hardo wojewoda nabierając fantazyi.

— Dyżurny przeprowadź jegomości — (nie dodał tytułu wojewody) a wymówił to takim tonem, któremu niebezpiecznie było oponować i pan wojewoda wyszedł jak niepyszny, skarżył się marszałkowi i deputatom, co się na nic nie przydało.

Tymczasem wojski wytoczył mu proces za pogwałcenie domu i do wieży na dwie niedziele wsadził; nie koniec na tem, bo zgłosiwszy się do

wdowy, którą wojewoda prześladował, wziął jej sprawę i rozumie się wygrał, to zaś wszystko taką mu wziętość zjednało, że przez tę reasumpcyę trybunału opędzić się sprawom nie mógł, bo już to wojewoda dumny pan, nieużyty a pieniaka, wielu miał nieprzyjaciół i wszyscy to wojskiemu pochwalali.

Zapewne tej to okoliczności zawdzięczam, że przy otworzonych kilku wakansach mnie na feryarz patronów wyforytował jegomość i w mniejszych sprawach stawałem, zawsze atoli z jego poręki, zostając przy nim jak dawniej manualistą, tak to samo było i z Sułdykowskim. A także w razie jeżeli sprawa była wielka, a z przeciwnej strony dwóch lub trzech stawało (na więcej prawo nie dozwalało), więc szedłem do niego niejako na przyprzążkę, ale zaprawdę byłem zaledwie słabym mulikiem przy tym dziarskim rumaku.

Ale wracam do tych audyencyj, które ciekawie się odbywały. Już to prawie cały świat wiedział, że jegomość wielomówstwa nie aprobuje, każdy też ile możności w krótkich słowach rychło się sprawiał, ale jeżeli się trafiła białogłowa, u których zwykle mowność trudniejsza do pohamowania, to czasem dusiłem się, żeby śmiechem nie wybuchnąć i oto para próbek:

— Dostojny panie, jestem wdowa.

— To jejmość dobrodziejka szuka powtórnych

ślubów, ja się na to nie przydam — przerywa jej niecierpliwie jegomość.

— Nie to chciałam powiedzieć, ale że biedna jestem... — lamentuje dalej jejmość.

— A to jejmość chcesz wspomożenia, więc na co mię stać, będę służył — i sięga do mieszka.

— Ale nie, szanowny mecenasie, przyszłam prosić o opiekę nad moją sprawą.

— Kiedy tak, to mówmy o sprawie...

I zawsze w ten sposób gadułów na drogę prostą naprowadzał. Albo jeżeli jaki klient chciał się dowiedzieć naprzód o przebiegu sprawy, krótko go zbywał:

— Nie mam zaszczytu być najjaśniejszym trybunałem, ja tylko sprawę przedstawiam, oni zaś wyrokują.

Podczas całej audyencyi milcząc wysłuchiwałem wszystkiego, rzeczy ważniejsze krótko sobie notując, potem sam jegomość każdą sprawę układał w osobny fascykulik, a na oblewiturze pisał niejako wyrok a zawsze z oną oszczędnością wyrazów, np. *„wieś zabrać“*, *„grzywna i wieża“*, *„exmitować“*, *„tradować“*, *„zapozwać“* i t. p., o resztę zaś tłuc musiałem głową, żeby wszystko do woli jegomości naciągnąć, wystosować, *causa*, *ratio*, *sententiae* i to w kierunku, jaki jegomość wyznaczył. Na tydzień przed terminem sprawy, podawałem treść każdej w krótkości na podłużnej ćwiartce, pisało się zazwyczaj wiersz po wierszu,

np. „N. z M. o szkody w lesie, — cytaty prawa — figura retoryczna, — osobnym krzyżykiem oznaczało się sukces pozostawiony krasomówstwu obrońcy i t. p., co się jegomości nie podobało, przemazywał i zwracał, ale czegoby mianowicie chciał, jakiej zmiany lub korekty, o to pytać nie wolno było, a głową namajstrować.

Zdaje mi się jakom powyżej zapisał, że imćpan wojski był człek zacny i wielkiej prawości i teraz gotów jestem powtórzyć to przed spowiedzią. Wszakże ktośby mi mógł zarzucić fałsz, iż człowiekowi tak naciągającemu sprawy do własnej korzyści, takie kardynalne cnoty przypisuję? Otóż na to odpowiadam tak: że chyba wielkim byćby trzeba symplaczkiem, aby obrawszy sobie zawód patrona, przebierać w sprawach, jak ksiądz w grzechach podczas spowiedzi, a ja za wielką cnotę poczytywam wojskiemu, że kiedy rzecz toczyła się między bogaczami, że tam jeden drugiego trochę nadkąsi, on naciągał prawo *ad libitum* wedle potrzeby i fantazyi, byle na swojem postawić t. j. sprawę wygrać.

Ale niechby kto chciał gnębić ubogiego, wdowę lub sierotę, nietylko że sfukał i sprawy nie przyjął, ale sam zgłaszał się do strony przeciwnej a uciśnionej, nie szczędził nietylko fatygi, ale i własnego mieszka, a jeszcze często najął stancyę, dał na wyżywienie i pewno, że sypnął, a jak wiele? — trudno wiedzieć, bo i tu milcze-

nie było jego zasadą, „aby nie wiedziała prawica, co daje lewica“, ktośby mi jeszcze mógł zarzucić admiracyę tej kondycyonalnej uczciwości; ależ obejrzyjcie się dobrze po Bożym świecie, jako każda cnota, jest na warunkach fundowaną.

Ciekawa niemniej odbywała się ceremonia przy bronieniu sprawy: kiedy dzień był pogodny, jegomość w mundurze wojewódzkim lubelskim, lub wedle fantazyi podlaskim, gdzie był urzędnikiem i posesionatem, szedł na sądy, ja go poprzedzałem niby torując mu drogę, a po bokach szło po trzech paniczów, w galowych sutych wszyscy mundurach, nieśli lekkie teki tak *pro forma*; nic w nich nie było, moja jedna w istocie była napchana, albowiem wszystkie akta, dowody i t. p., mające być prezentowanemi przed sądem w tej się tece zawierały. Jeżeli zaś dzień był słotny, jegomość jechał na sądy w paradnej kolasie w cztery konie, my zaś wierzchem, ja naprzód, paniczowie po trzech przy drzwiczkach, co jeszcze pompatyczniej było.

Skoro wywołano sprawę, w tymże porządku wchodziliśmy za jegomością; wytężałem całą uwagę, aby się nie zagapić i skoro już zbliżał się czas, że wspominał o jakimś akcie lub dokumencie, mającym być prezentowanym przed sądem, ja mu musiałem włożyć to w rękę lewą, którą po za sobą trzymał.

Że takiego oratorskiego talentu w życium nie

widział, gotówbym to zaprzysiądz na zbawienie duszy, a przecież słyszałem wielu biegłych oratorów tak z naszych prawników, jako i ze statystów sejmowych. Zazwyczaj rozpoczynał niedbale, ze zwykłą słów oszczędnością, zdawało się, że mówić nie chce lub nie umie, kiedy się już rozgadał, dopiero któżby powiedział, iż prawi nonsensa, coś o obcych krajach, ich obyczajach, o podróżach morskich, słowem, jakieś androny, ale gdy zacznie je potem naginać do samej sprawy, to już zda się widzisz, jak do niej przyrastają. Najniebezpieczniejszą bronią jego były: sarkazm i szyderstwo, jednem słówkiem tak silnie uderzać umiał w przeciwnika, tak się do niego przykleił, że nietylko ośmieszył go w danej chwili, ale i na całe życie; wtedy był najniebezpieczniejszy. Pamiętam raz w pewnej sprawie przeciw Ossowskiemu, któremu także oddam sprawiedliwość, iż prawnik był wielki, a mówca niepospolity, tylko szwankował zbytnią gorączką, kiedy za całą replikę długą a mądrze i moralnie wypowiedzianą, wyrzekł te dwa wyrazy:

— Jegomość powiedział!

To w tonie, w sposobie oddania była taka dosadna intonacya, taki zamiar osadzenia, iż całe auditoryum śmiechem wybuchło, a biedny Osowski omal apopleksyi nie dostał.

Lecz szczególniejszej wojski nabierał wymowy w sprawach wdów uciśnionych lub sierót, tam

już sięgał niepojętych szczytów sławy oratorskiej. Pamiętam raz kiedy się zwrócił do krzyża z modlitwą o natchnienie sędziów sprawiedliwością, całe auditoryum jakby w kościele, padło na kolana, a panowie sędziowie od łez się nie powstrzymali.

I to był ten sam człowiek, który mawiać nie lubiał! — na myśl mi przychodzi dziwna sprzeczność tej natury z O. Abdonem, lub moim poczciwym Kętrzyńskim. Znając go człowiekiem prawym i gorliwym orędownikiem ubogich i frasobliwych, nietylko ludzie stateczni, ale i sędziowie szczególną weneracyą go otaczali; już to po części obawiano się jego sarkazmów i ostrego dowcipu, co wszystko składało się na to, że imćpan wojski, jak to powiadają, „trząsł trybunałem i sądami“.

Pomimo małomówności, wojski podczas zebrań bywał towarzyski, a *sui generis* nawet i jowialny, nigdy zaś przez zbytek słów, ale raczej jedną urywkową sentencyą strzeliwszy z rzadka, wszystkich rozśmieszył, a zarozumiałych skarcić umiał. Raz w tydzień ugaszczał u siebie panów trybunalskich i co dostojniejsze osoby miały sobie za zaszczyt odbierać jego inwitacyę, bo przyjęcie sute, stół wytworny, kompania dobrana, czyniły dom jego mile widzianym i poszukiwanym.

Nie skończyłbym nigdy, a możebym i zakończyć nie potrafił, ażebym przez długie lata całe foliały spisywał, aby skreślić rzetelny wizerunek tego niepospolitego męża; niech to zręczniejsi odemnie uczynią.

Jedno co mi pozostaje powiedzieć o onym *piątku*, o którym już parę razy nadmieniłem, jako ten dla imćpana wojskiego był szczególną uroczystością, że tak powiem, umartwień i kontemplacyi religijnej. Cały ten dzień jegomość przepędzał na medytacyach w swojem oratoryum nie przyjmując najmniejszego pokarmu, a już we czwartek do wieczerzy nie siadał; był też niewidzialnym cały piątek i dla najważniejszych choćby powodów, inkomodować go nie można było.

Jedna tylko racya mogła wywołać wojskiego z tej absolutnej samotności, to obrona sprawy ubogich i uciśnionych, z tego powodu dzień ten był przezeń *pro causa pauperiei*, to jest poświęcony obronie ubóstwa, już to dobrym uczynkom. Tak najczęściej kierował temi sprawami, ażeby na piątek szły na wokandę; wtedy imćpan mecenas nie wychodził dworno ze zwykłym orszakiem i paradą, ale ubrany w szaraczkową kapotę, podpasany ciemnym wązkim pasem, kapuza zakonna na głowie, kostur w ręku, sam niósł papiery w prostej płóciennej torbie.

Ale w tych to obronach leżały prawdziwe tryumfy jego wymowy, one *piątkowe sprawy* sły-

nęły na świat cały, sale sądowe zmieścić nie mogły licznego auditoryum, jakie się gromadziło, wtedy to płynęły one piękne modlitwy, co ludzi na kolona rzucały jakby w kościele. Zaprawdę powiadam, iż jeżeli miał jakie ciężkie grzechy ten człowiek, to je okupił owemi piątkowemi czynami!

W sprzeczności z tem stała jeszcze jedna okoliczność, że w dzień piątkowy za żadne skarby świata, imćpan wojski nie stanąłby w sprawie bogatych, czyli mówiąc ogólnie w sprawie płatnej, zawsze więc tak się kierowało, co przy stosunkach jego obszernych trudnem nie było, że mu sprawy takie nigdy nie wypadły na dzień piątkowy, o który zresztą i sędziom chodziło, a te dobroczynne obrony, którym każdy rad się przysłuchiwał, a jeżeli i wydarzały się w ten dzień mniej ważne sprawy. to dawniej bronił je Sułdykowski, a następnie ja. A zawsze nie było takiej siły krom *causa pauperiei*, którąby wojskiego wyparła w piątek przed kratki sądowe.

Tak od lat wielu szły sobie one piątki swoim trybem, a nic ich dotąd nie poturbowało, aż dopiero pamiętam na roku piątym mojego pobytu u mecenasa, zaszedł casus fatalny, a jak mi mówił rejent, pierwszy w praktyce jegomości. Toczyła się wówczas od lat już kilkunastu, czy pono i nie kilkudziesięciu, sprawa pomiędzy Tarłami i Humieckiemi, szło o małą bagatelkę, bo

czternaście wsi podolskich i dwa miasteczka, które, że od dawna były przy Humieckich, a Tarłowie, których jegomość bronił, szli o odebranie z kalkulacyą *de assis et grano*, tamci zaś niepewni swego zwlekali sprawę *ad calendas graecas;* miała sprawa ostatecznie rozstrzygnąć w tej reasumpcyi trybunału i jak dziś pamiętam, wyznaczona była na dzień wtorkowy, a od miesiąca prawie walnie się gotowaliśmy do tej sprawy.

Owóż muszę wytłómaczyć, na czem ta preparacya zależała, były to rzadkie wypadki i w sprawach tylko większych, a za moich czasów, raz się w tej Tarłów wydarzyła: jegomość, jak się rzekło, milczący, zazwyczaj po rady cudze nie sięgał, często powtarzając przysłowie: „ludzi się radź a swój rozum miej“, ale w tym wypadku tak się rzecz odbyła; kazał mi jegomość wygotować sobie expedite obronę Humieckich, t. j. strony przeciwnej, ażem się zdziwił takiemu ordonansowi, ale że u nas replika, ani zapytania dla czego? nie była w modzie, więc niedosypiałem, a wertowałem sprawę pilnie, tembardziej, że imćpan mecenas powiedział:

— Tylkoż nie zaniechaj waść retoryki a przejrzej sprawę jakby swoją własną, a żeś słuchiwał Ossowskiego, który acz ladaco, ale człek biegły w wymowie i na akcessorya prawne łepak, więc staraj się go zimitować.

Kiedym już miał gotową sprawę, ot co się

stało, kazał jegomość ustawić kraty *instale*, jako jest w izbie trybunalskiej, a nawet i krzyż, był tam niby w jednakim kierunku i stół sędziowski, przy którym zasiadł rejent, jako marszałek i kilku dependentów, ale nie z *paniczów*, tylko pracowitych, inni z nich odgrywali rolę woźnych, tak, iżeśmy sobie uczynili *simulatium* izby sądowej cale pokaźnej. Kazał jegomość wdziać mi suty mundur i sam się przywdział, jako zwykł czynić do obrony, zasiedli wszyscy z wielką powagą, my z jegomością stanęliśmy przy krzyżu, jako patronowie.

Wyznaję, żem w duchu był zgorszony, iż tak stateczny a poważny człek jak jegomość, takiej się żakowskiej krotofili dopuszcza. Lecz skoro on wprowadził sprawę, a rozgrzał mnie kilku sarkazmami, zapomniałem w jednej chwili gdzie się znajduję, rzecz całą wziąłem do serca, argumentowałem, ekscytowałem się własną wymową, a nieraz tak się zapomniałem, iż musiałem się mitygować, żebym się na antagonistę nie porwał.

Choć to *propria laus sordet*, ale w chwilach nieco chłodniejszych, dostrzegłem jak zawsze łaskawy mnie mój zacny rejent z satysfakcyą kręcił się na stołku, to mię wzrokiem, to znakami przyjaźnemi dodawał otuchy, com ja prawił już nie pamiętam, ino wiem, żem wyszedł jak z łaźni.

Wstyd mi tu powiedzieć, ale nie wątpię, że

jegomość z Sułdykowskim krotofilę sobie ze mnie wyprawili, bom wygrał sprawę z moim mecenasem i dekret głęboko wymotywowany, a bez zarzutu, który rejent ferował według form prawnych, mnie słuszność przysądził.

I to jeszcze uczciwszy moją próżność, wypowiem, że po skończonej sprawie, kiedyśmy byli sam na sam z rejentem, ten ściskając mię ze łzami, rzekł:

— Na parol szlachecki, a więcej jeszcze kiedy chcesz, *ut sum sodalis*, tyś jedyny w całej Polsce następca Ścisłowskiego.

Nie koniec był na tej próbie, kazał mi jegomość za dni kilka wygotować obronę za Tarłami, a Sułdykowskiemu sprawę przeciwną, sam zaś jegomość marszałkować miał; zaczęło mi się to przykrzeć i rzeknę do rejenta:

— Wiecie co jegomość, „czego nadto to nie zdrowo“, chyba się do łóżka położę.

— Widzę chłopcze, — odparł mi z szyderstwem, — żeś ty tylko do warzenia bigosu prędki, czyliż nie pojąłeś, iż jegomość to czyni dla własnej nauki, lat z piętnaście temu, tak samo poczynaliśmy w dużej sprawie Lubomirskich, ot lepiej przysiedź fałdów i pięknie obrób sprawę, żebyś naszego jegomości ukontentował.

Już szczegóły pomijam, ale i z Sułdykowskim dobrze się napiłem, był to głęboki i wytrawny jurysta, trafny w replikach choć zimny, a równie

przytomnego umysłu, mocno żałuję, żem go już u kratek nie widział, ale sława po nim została. Mogłem dostrzedz, że jegomość był ze mnie kontent, wszakże wyroku żadnego nie ferował, a tylko po skończonej sprawie rzekł mi krótko:

— Winszuję waćpanu!

Pierwsze to dotąd słyszałem słowo z tych ust, niedotyczące prawa i naszego procederu, a wyznam, iż żadne powodzenie w życiu nie połechtało mnie tak po sercu, nie rozgrzało ambicyi, jak ono „*winszuję*", które do dziśdnia, jakby muzykę najwdzięczniejszą nieraz przywodzę sobie na starą pamięć.

Już tedy sprawa była wypróbowana, jak się wyżej rzekło, a bezwątpienia dobrze wygotowana przez imćpana wojskiego i na wokandzie była na przyszły wtorek, kiedy w tem dano mi znać z trybunału, gdzie samo przez się mieliśmy adherentów, że z powodu wielu spraw spadłych i zkondemnowanych, nasza przypadnie na piątek, zawiadomiony o tem zostałem we środę po wieczornej sesyi.

Był to figiel strony przeciwnej, ażeby małe sprawy w szereg postawić, a potem je poprostu kupić i dać upaść przez kondemnaty, co może kilka lub najwyżej kilkanaście tysięcy wyniosło; niewielkie rzeczy, skoro idzie o takie miliony, sprawy tedy upadłe przysuwają bliżej termin późniejszych i w ten sposób przeszliśmy na on fa-

talny piątek. Ażem struchlał, jak taką wiadomością mam zafrasować imćpana wojskiego, ale obowiązkiem moim było uprzedzić, udałem się tedy do jego kancelaryi prawdziwie jak na ścięcie, a gdym mu smutną wieść oznajmił i już oczekiwałem zmiany w fizyognomii lub wybuchu gniewu, a tu wojski najspokojniej wysłuchał i obojętnie prawi:

— Ano, to waść będziesz bronił.

— Jakto?.. — rozpocząłem.

— Gębą i głową, jak zazwyczaj — przerwał mi wojski z powagą.

— Ależ mogę przegrać...

— Czy waść głuchy? mówi się o obronie, ale nie o wygranej — znów przerwał z większą stanowczością, tak iż zamilczeć musiałem, — a dalej rozkazował:

— Pójdziesz waść na trybunał z orszakiem, jaki mi zazwyczaj asystuje, poproszę Sułdykowskiego, aby przy waści niósł papiery i akta.

I zakończył mowę krótko, jakby więcej nie miał do powiedzenia, że pokłony u nas się nie praktykowały, miałem już odchodzić, gdy mi rzecze:

— Zapozwoleniem jeszcze.

A wyszedłszy na chwilę do mastyarni i zbrojowni, przylegających do tej izby, wyszedł ztamtąd, niosąc karabelę bogatą kameryzowaną, za-

pinkę z dużego szmaragdu, otoczonego dyamentami i żupan łamowy srebrny.

— Do tak ważnych spraw zwykle tych rzeczy używam, chciejże je włożyć, a potem za łaskawą fatygę zachować to odemnie na pamiątkę.

Począłem mimowoli kłaniać się, a jegomość prawi mi z drwinami:

— Czy krzyż waćpana znów boli? — bo jeżeli kiwasz się za tę bagatelę, toć powiem, że mi daleko więcej dają, a ja się nigdy nie wyginam... Wszakże niech to pozostanie między nami, że waćpan będziesz stawać, owszem rozpuść waćpan zręcznie przez dependentów, ażeby doszło do Ossowskiego, żem ja się rozgrzeszył na ten dzień piątkowy gwoli chciwości, jednemu Sułdykowskiemu zwierz się, a jeżeli chcesz, to z nim pokonferuj.

Wyszedłem z kancelaryi jak struty, co się ze mną działo, powiedzieć nie umiem, już widziałem siebie skonfundowanym, wyszydzonym, dziwne mi myśli nabiegały do głowy, już chciałem uciekać i znów się puścić na włóczęgę, jak przedtem; nawet dary bogate, które machinalnie trzymałem w ręku, wcale mię nie kontentowały.

(Co do tego kiedy się zmówiło, to za dobrej pamięci tak niemi rozporządzam: karabelę synowi mojemu Nikodemowi, zaponkę synowi Janowi, z prośbą i zastrzeżeniem pod błogosławieństwem, aby je zachowali i należycie poszanowali,

jako pamiątki najlepszego mojego przyjaciela i dobrodzieja. W żupanie zaś lamowym złożycie zwłoki moje do grobu *).

Ciężko zafrasowany odszukałem jedynego mojego pocieszyciela Sułdykowskiego, a gdym rzecz po desperacku opowiadał, on właśnie był zajęty wiązaniem rozbitego ula, podając mi tedy sznurek rzecze wesoło:

— A wiesz co, nie ma innej rady, tylko obwieś się tu na tej gruszy, bo powiadają, że na gruszy djabeł najprędzej dobierze się do duszy. Owóż coć powiem, że głowę ludzką zwą czasem *caput*, a kapuścianą — zawsze głową. Powiedzże najprzód, czy nie kapusta z ciebie, toż ja wiem od miesiąca, że waść będziesz w tej sprawie stawał.

— Jakto, wiecie?

— A jużci wiem, a cóż myślisz, tośmy dla komedyi robili to sobie sąd, jakby prawdziwy, przecie Ossowski wydał na to przeszło 100 tysięcy, żeby tę sprawę na piątek zredukować, a spodziewając się, że nasz jegomość dla chciwości w piątek stanie w magnackiej sprawie, zbije go z tropu żartem i sprawę wygra... Lepiej ci powiem, że Ossowski już poczynił grube zakłady, a to, że stanie sam wojski, a my sobie sza! zrobimy przelanie prokuratoryi na ciebie cichaczem przed samą sprawą i rozumiesz...

---

*) To wyrażono na marginesie, nieco odmiennem pismem. *Przypisek kopisty.*

— Że sprawę przegram i nałykam się wstydu.

— Wiesz co synku, że djabelnie kapuściejesz, najlepiej sam się posiekaj do swego bigosu. Przegrasz sprawę?.. na to sprawa sprawą, żeby ją przegrać lub wygrać, bo gdyby był patron taki na świecie, którybу wszystkie sprawy wygrywał, to nie potrzebaby ani sądów, ani trybunałów, tylko mu dawać sprawy niech sam sobie wygrywa. Alboż to i jegomość nie przegrywa? może mniej trochę, bo nie wszystko w czambuł przyjmuje... Ot słowem pocznij tak sobie jak tu przed naszemi kratkami, bądź baczny, trzymaj się ostro, a nic nie dbaj czyli przegrasz lub wygrasz, w tem już głowa i sumienie sędziów. Ot i cała sztuka, bo nikt nie ma pretensyi, żebyś wygrał, chyba, że ty sobie weźmiesz to na kieł i ambit, w czem już dobra wola.

W istocie dodał mi Sułdykowski rezonu i jakoś pogodziłem się z moim losem; ale dalej pokazując mu trzymane w ręku hojne dary jegomości, rzeknę:

— Lecz cóż ja z tem zrobię?

— Z tem?.. karabelę przypaszesz, wdziejesz żupan, zaponkę wetkniesz gdzie należy i będziesz wyglądał jak jaki wojewoda... „Kij na kij wodzi a nie chleb na chleb“, jak powiadają, a *beatus qui tenet*, niejedno ci jeszcze jegomość da, a nie po fuszersku, bo to jego obyczaj, że jak naleje to z pełnego, a zresztą to tylko „dobre za

nadobne"; alboż ty mu mało i nie hojnie nadawałeś?

— Zkądżebym wziął dyamenty?

— A praca mosanie to nie dyament... Dajże raz pokój tym restrykcyom i nie myśl o sprawie, a nawet ci powiem, nie zaglądaj już do fascykułu i aktów, żebyś sobie czasem w głowie nie przewrócił; jutro czwartek, jegomość poczyna rekolekcye piątkowe, a my sobie cały dzień przebaraszkujemy, pójdziem na Barbarkę, weźmiemy kasztelanica i będziemy się tłukli, rozumie się w tępe pałasze, dobrzeby rękę rozprostować, bo kto wie, co może wyjść ze sprawy, a tak będzie *et haec facienda, et illa non omittenda*, tylko nic sobie nie rób ze sprawy, jakby jej nie było, a pamiętaj, że człek „głową muru nie przebije".

Taką mi jakoś wlał otuchę ten człek rozumny, żem sobie tę sprawę na drugi plan wysadził, tak jakoby jej nie było i niczem jej sobie nie ważył, mając z góry jakby za wygraną. Że jegomość nie stając tego dnia na sądach, o siódmej zrana kancelaryi nie otworzył, co znaczyło, że dzień cały jako w wigilię piątku będzie niewidzialnym, więc z południa udaliśmy się na Barbarkę z kasztelanicem i kilku paniczami, a zabawiliśmy się sobie suto, a już to tak rejent kierował, żeby o sprawie ani słówka, nietylko o tej, ale i o żadnej innej, mądry to był człowiek ten rejent.

Nazajutrz z rana jakoś przebudziłem się rzeświejszy, a sprawą się nie kłopotałem, choć ta dziś się rozstrzygała. Postanowiwszy raz na zawsze wszystko z Bogiem rozpoczynać, zamówiłem sobie mszę ranną na ten raz u OO. Dominikanów, przed obrazem św. Iwona, który, jak wiadomo, jest patronem patronów, sam był jurystą; miałem wprawdzie przystępować do św. Sakramentów, ale Boże odpuść, musiałem zaniechać tej pobożnej intencyi, bośmy się za północ na Barbarce zabawili.

Po mszy zabiegłem do poczciwego Joyny: nie śmiejcie się, ale chciałem, aby mnie ten człek poczciw pobłogosławił, a choć po żydowsku, to wszystko jedno, bowiem błogosławieństwo błogosławieństwem, jakieby nie było. Zastałem już Joynę w paradnym kaftanie i śmiertelnej koszuli, kiwał się przy modlitwie, jednak skoro mię ujrzał, przerwał pacierz a z wielką radością witał, mówiąc:

— Modlę się to ja na intencyę waszej sprawy i na podziękowanie Bogu, że mi dał doczekać oglądać was u kratek w tak ważnej sprawie; widzicie jam się już wyelegantował, jak na tę uroczystość przystoi... Zacny z jegomości kawaler, żeście o starym żydzie w dniu tak ważnym nie zapomnieli, Bóg wam to nagrodzi, najprzód, że wygracie sprawę, to już głowę dam.

— Moją przecie powinnością, a co prawda

i popędem serdecznym było stawić się u waćpana, a nawet mam intencyę prosić go o błogosławieństwo w tej pierwszej ważnej imprezie życia.

Żyd poważny w stroju jakby duchownego, wzniósł nad moją głową ręce do góry i uroczystym głosem zmawiał jakieś hebrajskie wyrazy, a czynił to snać serdecznie i z głębi poczciwej duszy, bo głos mu i ręce drżały, a ja mimowoli padłem na kolana przed *błogosławieństwem starca!*

Nie gorszcie się i nie śmiejcie ze mnie, bo jako prawowierny rzymski-katolik, nie jestem ani kacerzem, ani nowinkarzem sekciarskim, jakich się wielu obecnie pojawia, aliści iż tu świętą a nagą prawdę piszę w tej mojej niejako spowiedzi, nic mi nie dodało tyle otuchy, ile błogosławieństwo a życzliwość starego poczciwego żyda!

Iż to już była szósta godzina poranna, spieszno mi było do domu, aby na sądy się przygotować, więc żegnałem starego Joynę, a on mi rzecze:

— Czekajcie jegomość, dam wam lampkę miodu.

— Jakto — powiem — przed sprawą jeszcze mi zaczmera we łbie.

— Posłuchajcie starego, to nie o upicie chodzi, ale tylko, że to jest miód starego a sławnego mecenasa Materańskiego, co to wasz wojski wziął

po nim klientelę, to on zawsze przed sprawą wypijał lampkę tego miodu, a jak mawiał, to daj nam Boże dziś i zawsze tylko jedną lampkę.

Żyd sięgnął do szafy, stało w niej już tylko z parę omszałych flasz, z jednej nalawszy mi lampkę podał, mówiąc:

— Niech będzie na zdrowie i na sukces!

Wypiłem i jakoś mi się tak rozjaśniło w głowie, cała sprawa stanęła taka łatwa, prosta, już jakby wygrana, dotąd sam siebie zapytuje, czyliż ów animusz, jaki mnie odrazu nawiedził, miałby być skutkiem onej odrobiny miodu?

— Nie zatrzymuję was — rzecze Joyna — czas wam do domu, a ja wkrótce udam się także na sądy, żeby się waszym tryumfem nacieszyć.

Za powrotem do domu, wystroiłem się jak należało, a udawszy się do sali, zkąd zwykle jegomość na sądy paradnie wychodził, orszak, który na ten raz był *moim*, stał w pogotowiu, mój Sułdykosio wysztyftowany jak z igły, a bardzo pięknie wyglądał, kłaniając mi się w pas trzymał bogatą tekę i pytał, czyli nie zechcę przejrzeć aktów i dowodów, czy są w komplecie; przeprosiwszy go, sam jeszcze raz wszystko przelustrowałem, przekonałem się, iż niczego nie brakło.

— Chwali się waści ta dbałość, to dobry omen — szepnął mi przy lustracyi imćpan rejent. Spojrzę po twarzach paniczy, wszystkie zadowolone i uśmiechnięte, zdawały się aprobować tę moją promocyę; trudno było pomyśleć, iż to byli ci sami, z racyi których przeszedłem niedawno przez ciężkie paszczęta.

Raźniej mi się zrobiło, a miód Joynowy jakoś miło chodził po głowie, dodając mi rezonu, nie odbierał wszakże rozumu, bo mi jakoś całą sprawę przedstawiał jak na dłoni i... dobrze mi było.

Było we zwyczaju, iż kiedy już wszystko było w gotowości, jegomość powiadał: „*procedamus in Nomine Domini!*“ był to sygnał do odejścia, widzę, że nań czeka Sułdykowski, rzeknę gromkim głosem:

— *Procedamus in Nomine Domini!*

Widziałem, że się poczciwy rejent ucieszył, zaraz wszyscy na miejscach stanęli, a ja pompatycznie kroczyłem jakby *celebrans* jaki.

Jak tam sobie chcecie, a taki w przysłowiach mądrość ludów, niedarmo powiadają: „*honores mutant mores*“, tak i ja przed momentem jeszcze chudzina, widząc dokoła siebie taką prozopeję, myślałem sobie, żem jest wielkim mecenasem od dawna i że tysiące już kapitalnych spraw nawygrywałem.

Wyszliśmy na ganek, aż tu wpadłem na szko-

puł: deszczyk począł rosić, więc przed gankiem stała najparadniejsza kolasa wojskiego, w cztery dziarskie białe rumaki zaprzężona; z razu pomyślałem, że to może jegomość wbrew piątkowemu zwyczajowi ma wyjechać, aż tu patrzę, panicze powskakiwali na siodła, jak to było ich powinnością, a Sułdykowski przy drzwiach kolasy stanął jako rękodajny, obowiązek, który spełniałem względem jegomości. Odrazu zawahałem się, co z tem robić, a Sułdykowski uśmiechnięty rzecze z cicha:

— A no chłopcze, „kiedyś grzybem leż do kosza“, a znasz bajkę Ezopa: *in prato quodam rana conspexit bovem*, siadaj i nadmij się sobie jak żabka, tylko nie pęknij.

To mówiąc, posadził mię silną dłonią, zamknął drzwiczki, sam wskoczył na siodło, kalwakatę poprowadził, a ja choć pierwszy raz w życiu siedziałem w kolasie, jakby we własnej, rozparłem się i nadąłem, z wysoka kłaniając gawiedzi, którą ta ważna sprawa skupiła na ulicach, a ona może także się dziwowała, widząc obcą twarz w kolasie imćpana wojskiego; alem ja tego wszystkiego rozumieć nawet nie chciał i nic oprócz siebie nie widziałem, prawda, że i miód Joynowy wygrywał mi po głowie dziwne fantazye i dobrze mi było!.. Niechże tu kto zaprzeczy owemu *honores mutant mores*.

Przybyliśmy na trybunał; cieszyło mnie to

niepomiernie, jako się ludzie dziwowali, iż ja w zwykłem otoczeniu wojskiego przybywam; między auditorium dostrzegłem poczciwego Joynę w odświętnym kaftanie, jeszcze raz zdala przyjacielskim znakiem mnie zachęcał. Jeszcze spraw nie przywoływano, więc pozostałem z orszakiem w izbie ustępowej. Po pierwszem przywołaniu sprawy suponując, iż ta jest właśnie moją, pospieszyłem do izby sądowej i ku niemałemu zdziwieniu ujrzałem jegomości, w zwykłem piątkowem odzieniu, może na ten raz jeszcze skromniejszem, przemawiającego od krzyża; z razu nie pojąłem, co to znaczyć miało?

Aż to był dzielny figiel jurystowski, jak mówią: „na krzywą dziurkę krzywy kołek“, ponieważ strona przeciwna z niemałym sumptem starała się o ów piątek, jegomość także niezasypiający gruszek w popiele, dał im się wyekspensować na opłacenie kondemnat spraw spadłych, a cichaczem postarał się, żeby tę wielką sprawę poprzedzała malutka wprawdzie *pro causa pauperum* sprawa, ale wielkiego rozgłosu, bo chodziło o wydarte najniesłuszniej mienie wdowie i sierotom przez magnata. Dopieroż się mój jegomość popisał, były tam i modlitwy, że całe auditorium szlochało, to znów cytaty z łacińskiego prawa; zawsze co prawda był wymowny jegomość, ale tak wymownym nigdy go nie słyszałem; rozumie się, że sprawę wygrał.

Pod koniec tej sprawy dojrzałem już w sali sądowej mojego antagonistę Ossowskiego: we wszystkiem, począwszy od statury, stanowił on sprzeczność widoczną z imćpanem wojskim, był człeczek suchy, maluczki, zawsze skromnie i niedbale odziany w czarną wyszarzaną kapotę z pętlicami, pasinę miał starą, jakby psu z gardła wyjętą, tekę zmiętoszoną, karabelę małą na rapciach prostych, w zużytej jaszczurowej pochwie; twarz sucha, ostre rysy, głowa łysa, którą tylnemi kosmykami przykrywał, oko miał jedno chorobliwie przymrużone, którem ciągle mrugał i tarł je prawie co chwila; głos chrypliwy, ostry, docinkowy, ale przeto wymowa płynna i mądra, lecz dopóty póki się nie zapalił, wtedy pluł na wszystkie strony, tracił tramontannę i nonsensa prawił. Wszakże oddam mu sprawiedliwość, że człek to biegły był w prawnym procederze, a nawet mówią, że w zagranicznych akademiach studyował tę naukę.

Znałem Ossowskiego spotykając go u kratek, zresztą była to jedna z tych fizyognomij zmieniających się, na której wrażenia łatwo czytać było, a wsunął się on do izby właśnie w chwili, kiedy jegomość mówił z największym ferworem pod koniec sprawy; powiedziałem „wsunął się“, bo tak w rzeczy bywało, bo o ile jegomość wchodził jawnie, pompatycznie (krom piątku, rozumie się), o tyle Ossowski wsuwał się cichutko jakimś ko-

cim trybem, jakby wyrastał z pod ziemi, i teraz tak samo, a widocznie krzywił się i mrugał chorem oczkiem na sukces nowy wojskiego, tak świeżo jeszcze przed tą sprawą zdobyty.

Suponuję, iż dotąd wszyscy byli tego przekonania, że w drugiej sprawie jako ważnej, również sam wojski stawać będzie.

Następowała nasza wokanda, woźny zawołał:

— Tarłowie przeciw Humieckim.

Wystąpił Ossowski do krzyża z jednej, a ja z drugiej strony: zmierzył on mnie surowym wzrokiem i ozwał się:

— Najjaśniejszy Trybunale! jako prokurator urodzonych Humieckich do promowania wyż rzeczonej sprawy, mam honor upraszać o weryfikatę aktu prokuratoryi strony przeciwnej.

— Imćpanie pisarzu, proszę okazać stronie żądane dokumenta — rzekł jw. marszałek.

Pisarz polecenie uskutecznił, a Ossowski na to:

— Ośmielę się upraszać o weryfikatę prokuratoryi, ażali jest tam moc cedowania jasno wyrażona.

Pisarz podał mu pierwotną prokuracyę, która choć jej nie dotykałem, ale pewny byłem, że była formalna, bo nietylko my, ale lada chłystek by się w takiej bagateli dopilnował; pierwsza tedy sekatura wymierzona przeciw mnie, ażeby mnie ze wstydem od kratek odpalantować, nie powiodła się.

Że sprawa wstępowała na trybunał z apelacyi Humieckich od forum, więc pierwszy głos miał Ossowski: zaczął mówić, patrzę, warga mu drży, przychodzi mi tedy na pamięć jak to bywa w spotkaniu z bronią·

— Oho brateńku — pomyślę sobie — gorącujesz się, już po tobie! No, co prawda, zbyteczne zapalanie się do niczego nie pomaga.

Rzuciwszy okiem w inną stronę, patrzę, mój jegomość stoi sobie pokorny, a poważny na uboczu, oczy spuścił w ziemię, jakby to jego w niczem nie dotyczyło; ten spokój i powaga dodały mi animuszu, nabrałem dziwnej otuchy, miodek zaś Joynowy jak trąbka wojenna przygrywał we mnie jakieś ekscytujące pobudki, tak, iż rzekłem sobie w duchu:

— „Tom kiep, jeżeli sprawę przegram!“

A od tej chwili byłem tak jakoś *po głupiemu* pewny swego, nie wiedząc w istocie, co zajdzie i jaki obrót rzeczy wezmą. Otóż powiem, że w życiu całem jak i procederze prawnym, wiele zależy od spokoju i pewności siebie (lecz tej nie pojmuję jako „zarozumiałość“), często zaś okoliczności otaczające niemałego są wpływu na powodzenie, tak i mnie teraz widok jegomości, utrata tramontany przez mojego adwersarza, a coś mi się widzi i miodek Joyny, dziwnie dobrze udysponowały.

O ile widok wojskiego zbawienny na mnie

wpływ wywierał, o tyle Ossowskiego drażnił, w istocie sztuka na sztukę, ale dobrze mu jegomość dosolił za ów piątek, gdyż to już była czysta postpozycya, kiedy sam osobiście znajdując się pomiędzy auditoryum, nie raczył występować w tak ważnej sprawie, a wysadził przeciw niemu swojego dependenta i to młokosa, którym w rzeczy byłem, bo chociaż niby *de jure* tak jak i on zamieszczony na feryarzu mecenasów, ale zawsze dependent starszego patrona, jakich u nas wielu młodszych było, i chociaż w mniejszych już sprawach stawałem samopas, jednak aniby się mi śniło, rychło stawać w tak ważnej sprawie: lekceważenie zatem było widoczne i kara donośna za ów nieszczęsny piątek.

Ossowski tedy chcąc na mnie złość spędzić, poczynał sobie tak z lekka *per dominum pstrum*, chcąc mnie szyderstwami z punktu zajeździć, jak powiadają w palestrze, stroił takie różne żarciki a w sprawie bardzo mało, w tej nadziei, że i tego trocha, co powie, nie potrafię zoponować; nareszcie chcąc mi dosadzić bardziej, rzecze, że jaja teraz od kur są mędrsze, już niewątpliwa do mojej młodości allegorya.

Jam na to wszystko milczał jak *ex officio* przystało, dopóki się jego głos nie skończył, ale poczynając sobie jak w sztuce szermierskiej, bystregom wzroku z niego nie spuścił, co go widocznie niecierpliwiło.

Przyszła moja kolej, począłem zimno, z rozwagą, trzymałem się ślepo sprawy i wszelakich jej akcesoryów, odrazu stawałem na twardym gruncie, imitując w tem imćpana wojskiego; ale skorom wszystkie punkta należycie i kategorycznie wyłuszczył, a już można sobie było pozwolić i retoryki, zapamiętawszy one „kury i jaja“, zastosowałem o ile można było w zręcznej allegoryi do dawności sprawy *), rzeknę w tym sensie: „Czcigodny mecenas *affirmavit*, jakoby dziś jaja od kur były mędrsze, lecz jako żywo po wsze się to bowiem przydarzało czasy, bo gdy stara kwoka zgłupieje, w twardą głowę już nie wbić jej rozumu, kiedy przeciwnie jaje, zkąd się kurczę wylęga, daje jeszcze spodziewanie przyjścia kur mądrych na świat; *ergo* nie zawsze w przysłowiach, jak twierdzi preopinet, mieści się mądrość“; nie pomnę dziś, ażali tak było dosłownie, ale zawsze w tym sensie.

Śmiech tajony po tych słowach powstał w auditoryum; Ossowski mienił się na twarzy, ponsowiał, to bladł, a ja myślę sobie, już teraz sprawa wygrana, a plunąłbym temu w oczy, ktoby twierdził inaczej.

Następowała replika, Ossowski plótł coś ni

---

*) Ciekawi onej sprawy i mojej obrony, znajdą je dokładnie przy niektórych aktach spisane w mojem archiwum. *Fascykuł 77, lit. T.* *Przypisek w oryginale.*

w pięć ni w dziewięć, słucham, aż on tak stracił tramontanę, że prędzej mojej sprawy broni, niż swojej; mówił długo, a kiedy po skończeniu miałem prawo dupliki, odpowiedziałem, coś imitując mojego mecenasa:

— Najjaśniejszy trybunale, ponieważ jegomość raczył w mojej sprawie sam przemawiać, nic więc do dodania nie mam.

Znów śmiech tajony arbitrów po sercu mnie połechtał: spojrzałem mimowoli na Ossowskiego, aż mi się żal go zrobiło i przyznaję, że gdybym mógł, tobym cofnął moje odezwanie, ale zawołano na ustęp, trybunał miał deliberować.

Odwrót mój od kratek dopieroż połechtał moją ambicyę, widziałem gdy wzrok jeden drugi przychylny na mnie spoczął, a znajomi i życzliwi ręce mi ściskali.

Skoro stanęliśmy w sali ustępowej, Ossowski zbliżył się do mnie, już nie bladą, a żółtą cerę miał ze złości, a ono oko chorobliwe tak mu biegało jak cewka i rzecze mi:

— Prosiłbym o słówko, mości patronie.

Już to była pierwsza niegrzeczność, bo patronowie pomiędzy sobą „mecenasami“ się tytułowali, ale jako starszemu wiekiem odpowiem z respektem:

— Do usług wmość pana mecenasa.

Odszedłem za nim w próżniejszy kąt sali, a on prawi:

— Raczy jegomość mi wytłómaczyć znaczenie owej alegoryi *o jajach i kurach.*

— Figura retoryczna, tak samo jak i pana mecenasa *ejusdem generis.*

— To jeszcze nie dość na tem, ale pragnąłbym wiedzieć do kogo ją waćpan stosowałeś i wiedzieć muszę! — zakończył z pasyą.

— Musu do tej wiadomości nie widzę — rzeknę — a kto chce do siebie zastosować, wcale nikomu nie bronię.

— Czy bliższego objaśnienia waćpan odmawiasz?

— Stanowczo!

— To może zezwolisz pan poszukać go na innem polu?

— Chętnie.

— W takim razie (ozwał się już grzeczniej jako do przyszłego adwersarza w sprawie honorowej), śmiałbym upraszać imćpana mecenasa, o najdowanie się jutro o wschodzie słońca, ze stosownym argumentem do tej odpowiedzi na Barbarce (w tem miejscu stuknął ręką po szabliuie), bo takie dyssertacye w obrębie władzy trybunalskiej nam nie uchodzą.

— Stawić się nieomieszkam imcipanu mecenasowi — rzekłem cywilnie z głębokim pokłonem.

— Czy nie miałby czasem imćpan mecenas

dwóch innych przyjaciół, którzyby chcieli również nieco pomiędzy sobą dysputować.

— Do usług imcipana mecenasa i ci stawić się nie omieszkają.

Pokłoniwszy się tedy sobie wzajemnie a grzecznie jak dwie panienki, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

Dotąd mnie jeszcze tak owoczesna miłość własna zaślepia, a taką miałem pewność wygranej, że już o niej we właściwem miejscu zamilczałem, a dekret wypadł najlepszy, jaki tylko mogliśmy sobie wyimaginować. Lecz po latach, gdy rzecz całą chłodnym umysłem analizuję, widzę to, iż do ówczesnego mojego tryumfu najbardziej się przyczyniły te okoliczności, że wojski piękną przedtem sprawę obronił, a ztąd powstała konfuzya Ossowskiego, a nakoniec miód Joyny, który mi jakoś animusz excytował. Zauważyłem to, że kiedy wywoływano na ustęp, już imćpan wojski wysunął się z sali.

Kaci nadali rozprawę!.. nie rad jej byłem, bo chociaż to dobrze, a lubiłem podczas się wykrzesać, ale z równymi pozycyą i wiekiem, to nawet zdrowo, a pożytecznie, bo krew do cyrkulacyi żywszej pobudza; atoli smutnem jest, gdy konieczność zmusza podnieść rękę na starszego, bo

z drugiej strony własna konserwacya, już to i sama ambicya, przeszkadzają dać się kaleczyć: to przydarzenie znacznie przyćmiło mój kontent z odniesionego pierwszego tryumfu.

Wszelako gdym wsiadł do kolasy, a raczej podsadził mię z całą powagą mój na ten raz rękodajny, Sułdykowski, a poczęli mi się kłaniać na prawo, na lewo (ja teraz rozmyślam, nietyle może moi admiratorowie, ile niechętni Ossowskiemu, których miał siła), tam się dopiero nadął jak indyk, a na myśl mi przyszli wszyscy wielcy tryumfatorowie rzymscy i inni, o których wyczytałem w historyi, jako lud ich ciągnął na kapitolium, a wszyscy karłami w komparacyi zemną być się w tej dobie zdawali. *O honores!* czemuż tak zmieniacie nasze *mores!* A zaiste człek ten byłby prawdziwie mądry, któryby tym *honores* „znaj mores!“ po naszemu powiedział.

Dziś, żem trochę ostygł i postarzał, już mi wstyd nawet powtarzać wszystkich komplimentów moich dobrych przyjaciół: rejenta, Joyny i całej palestry naszej.

Gdyby nie ta rozprawa, wszystko byłoby dobrze, ale pierwszy w życiu pojedynek, (bo dotąd każdemu rad byłem), jakoś mnie trapił, już to najprzód, jak się wyżej wyłuszczyło, przeciw starszemu, potem pociągnięcie dwóch innych, co tylko ze słyszenia znałem, że sekundanci także pomiędzy sobą się biją, u nas prawice, bywało to

może przed stu laty, a podobno w krajach francuzkich dotąd się praktykuje, ale mnie to turbowało, bo za cóż inni będą skóry za mnie nadstawiać; choć wiedziałem, że cała nasza palestra poszłaby za mną, a no chowaj Boże nieszczęścia, tożbym nie opłakał przez całe życie, a kto wie, może i zły presentyment mnie trapił, jedno wiem, że nigdy taki zmokły jak teraz przed rozprawą nie bywałem.

Za przybyciem do domu, skoro mnie z gratulacyą wyściskała cała palestra, rzecze mi Sułdykowski:

— Znijdź na chwilę do wirydarzyka, dziś piątek, wolny wstęp, mam z tobą pomówić.

Doskonale się kartowało, bo właśnie i mnie było pilno. Skoro znaleźliśmy się sam na sam, nim usta otworzyłem, Sułdykowski pyta:

— O którejże jutro pojedziesz na Barbarkę?

— Jakto, jegomość podsłuchałeś? — zapytam z kolei osłupiały.

— Wprawdzie stałem na drugim końcu ustępowej izby, ale podsłuchałem oczyma... czyliż owo *a parte* z Ossowskim mogło mieć inne znaczenie nad wywabienie na rękę, a nie myśi, abym to ja jeden był taki domyślny, ręczę, że wszyscy wiedzą, ale mów przecie jak tam jest?

— Ano gorzej być nie może.

— Cóż tam tak złego, chyba, że Ossowski chudy, a z niego równie lichy bigos, jak ze mnie.

— Żartuj jegomość zdrów, ale otóż jest *casus*, który mnie wielce trapi, Ossowski chce, ażeby i dwaj nasi sekundanci rozprawiali się pomiędzy sobą, to niesłychane!..

— Owszem, praktykuje się to czasem, osobliwie z Ossowskim, który ten zamorski obyczaj przywiózł ze swoich woyażów, i owszem tem lepiej, masz już jednego...

— Kogo?

— *Subintelligitur*... jak to nie wiesz?

— A prawda, kasztelanic, tego opuścić nie mogę, bom się z nim bił dwa razy i łaskaw jest, obdarza mię gorącym afektem...

— To już drugi, ale pierwszy?...

— Jeszczem się nie zdecydował, ażali wziąć sędzica lub Olędzkiego, obaj chętni.

— Ja pytam o pierwszego.

— Wybaczy jegomość, nie rozumiem.

— Oho! toś waść w tej obronie dzisiejszej resztę dowcipu wyekspensował, a szkoda, bo przed waszmością długo jeszcze żywota... przecie jest ktoś pierwszy od kasztelanica, którego siekałeś na bigos w oborze Joynowej... czy waść kpisz czy drogi pytasz, że mnie omijasz w takiej sprawie? Kiedy sam pójdę nie proszony, ni dziękowany, a tem ochotniej, że Ossowski przyprowadzi ze sobą swego pierwszego dependenta, do którego czerwonego nosa mam nieprzezwyciężony chrap, ostrzę szerpentynę i idę mosanie!..

A na zakończenie zanucił wesołą dawną piosnkę:

„Wyostrzę ja pałasz, wyostrzę ja pałasz, duże szablisko,
Pójdę sfrasowany, pójdę zapłakany na cmentarzysko,
A jak mię uśmiercą, a jak mię uśmiercą, jak mię zakopią,
Niechże mię Małgosiu, niechże mię Małgosiu
Łzy twoje skropią!“

Przedni to był człek z tego poczciwego rejenta, a tą wesołością dodał mi animuszu, który mię nie odstępował, tak mnie jakoś za serce schwytał, żem chciał mu paść do nóg, ale on mnie podnosząc zawoła:

— Czy to już waść padasz zabity przez Ossowskiego, a niechże go, to rąbie...

Długo tak jeszcze sobie baraszkował, aż w końcu rzecze mi poważnie:

— Waćpan to nie fryc i nie tchórzem podszyt, można więc z tobą mówić otwarcie, że Ossowski nielada gracz i trzymaj się z nim ostro, on to ma jakąś zamorską manierę i tempa nie nasze młyńcowe, w oczy nie patrzy i podstępem idzie, a o ile gorączka przy kratkach, w grze zimny jak ryba; ja miałem dawniej okazyę jego grę obserwować, ot weźmijmy rapiry i trochę popróbujemy, co wiem, to ci pokażę.

I poczciwy rejent fechtował się ze mną z parę godzin, manierę Ossowskiego przedstawiając.

Czy i jegomość domyślał się czego, trudno wiedzieć, ale zapowiedział z wieczora sługom, że na wieś wyjeżdża i że audyencyi nie będzie, znaczy dzień frejowy; bez trudności ledwie drugi kur zapiał, z Sułdykowskim i kasztelanicem wybraliśmy się wierzchami na Barbarkę; chociaż wolno jechaliśmy, bo żeby ręki sobie nie zrywać, wzięliśmy co spokojniejsze konie, ale że odległość niewielka, stanęliśmy jeszcze ledwie na dzień szarzało, tak, że rozprawyby zacząć nie można było, a już Ossowskiego z dwoma drugimi zastaliśmy na miejscu, a że powozu ani koni nie było, snać pieszo przywędrowali, a może jeszcze z wieczora, tego już nie wiem.

Niby to się tak praktykuje, że wyzywający winien się starać o uprzedzenie na plac wyzwanego, jednak przyzwoicie jest, aby w każdym razie młodszy starszego ubiegł, dlatego zrobiło mi się markotno, że my pierwsi nie pospieszyliśmy.

Pokłoniwszy się sobie nawzajem z respektem, jak na ludzi statecznych przystało, ja z kasztelanicem, a mecenas z drugim kompanem rozeszliśmy się w przeciwne strony, a tylko Sułdykowski z manualistą Ossowskiego coś tam dyskursowali ze sobą, snać układali warunki spotkania, lecz wprawdzie o tych deliberować nie trzeba było, bo w takich wielorakich bojach, to już jaki skutek śmiertelny lub ciężka rana decydowała; wybrawszy tedy jedno *spatium*, podzie-

lili je na trzy równe odległości co sześć kroków, takąż linię wytknęli naprzeciwko o długość szabli i oznaczyli kołkami, to był plac naszego spotkania.

Zaledwie słońce weszło, Ossowski ze swoimi dwoma zbliżając się do nas, z pięknym pokłonem rzecze:

— Jeżeli wola, służę waszmość panom.

Natychmiast stanęliśmy na placu, pod linię jeden naprzeciw drugiemu, my z Ossowskim z brzegu, przy nas Sułdykowski z Kurowskim, a za nimi kasztelanic z tym trzecim, jakieś to było młodziutkie chłopię miłego oblicza, jak się zwał, już nie pomnę.

Miałem we zwyczaju, czegom od starych się graczy nauczył, ażeby stając do rozprawy, najprzód dokumentnie rozejrzeć się w osobie adwersarza, jego broni, fizyognomii etc., a ztąd sobie kombinować w czem jest słaby, *ergo* na co należy przeważnie w nim uderzać, albo czego wystrzegać się trzeba; z tego egzaminu takie wnioski zdobyłem: szablina mecenasa była jakaś cudacka, jakiej od kiedym żyw nie widział, brzeszczek mało co szerszy od włosieni u smyczka skrzypcowego i szmelcowany na ciemno, było to jakieś licho w kształcie szpady francuzkiej, a tak furkało w powietrzu, że niby dzwoniło; również zaobserwowałem przy tem, że furdyment ladajako

zaledwie pięść zakrywał, a palce na wierzchu, myślę sobie:

— Mam cię ptaszku, tnę po łapie odlewanym sztychem, że ci ten rożenek wyleci, ot i po sprawie.

Gdybym pozostał przy tej pierwszej intencyi, rzeczby się inaczej skończyła, bo do tego jeszcze szablinę trzymał w garści wcale nie fechtunkowo. Ale na nieszczęście, gdym się rozejrzał w figurze, ta mię jakoś dziwnie rozirytowała; najprzód oczy miał spuszczone, tak, że dla wzroku pozostawiał dwie szparki jakby małe grochowiny; a nie wiem czyli to już moja imaginacya, ale nos choć nieduży, ale ostro kończasty przedłużał mu się niezmiernie i zdawał się coraz bardziej zaostrzać, a tak mnie gniewał i obsedował, zdawało się, że jak szpilka włazi mi to w głowę, to w piersi, słowem, w całe ciało; do tego nosa nabrałem nagle takiej pasyi, żem zaprzysiągł sobie nadciąć go, ile tylko będę mógł najwięcej.

Źle jest, iż nie pamiętałem na to, o czem doświadczeni gracze twierdzą, iż taki zawziątek do jednego członka adwersarza zawsze trzeba przypłacić i kiedy ja delektuje się nienawiścią do nosa mecenasa owego, kombinując jakby go dosięgnąć, możem się zacietrzewił przez to, mój zaś adwersarz skoczy jakimś szparkim, jakby wężowym susem i tnie mnie po łbie.

Powiadają też doświadczeni, że pierwsza rana

w życiu, szczególną nabawia zapamiętałością, doświadczyłem tego na sobie w tej chwili, a zapomniawszy o nosie, już pamiętałem o tej łapie i jak ją tnę z całej siły, palec wskazujący na bok odskoczył, a cała ręka krwią się zalała. Mecenas wypuścił szablę i sam się pochylił na ziemię, podbiegli tamci i podtrzymali biedaka.

Rozumie się, bój ustał, a całe spotkanie nie trwało może i połowy tego czasu, com go tu na opisanie użył; w istocie tak krótkiej rozprawy w życiu nie widziałem.

Tamci tylko zaledwie co się krzesać zaczęli i żaden jeszcze szwanku nie odniósł. Rejent z Barbarką, która częste mając u siebie spotkania, nabyła także eksperymencyi chirurgicznej, zawinęli się koło rannego i opatrzyli go na razie; że zaś oni pierw przybyli, Barbara dała im wóz i konie i dwaj towarzysze odwieźli mecenasa do miasta.

W nocy trochę mię gorączka trapiła, ciężkość miałem w głowie i rana rozogniła się, lecz Joyna dowiedziawszy się o mojej katastrofie, przybiegł do dnia jeszcze ze swoją Surą, która uchodziła pomiędzy żydami za sławną lekarkę. Przemyła mi parę razy ranę, kazała napić się jakiejś infuzyi, nakoniec pod noc nalepiła mi nowy jakiś plastr. Tego nie kazała zdejmować aż sam odleci, dała kilka kropel kordyału i pod wieczór usnąłem, jak nowonarodzony, a przebudziwszy się

równo ze dniem, już nie pamiętałem czy istniała na świecie szerpentyna Ossowskiego.

O zwykłej godzinie w poniedziałek udałem się do imćpana wojskiego na konferencyę; wyznaję, iż z bijącem sercem przestępowałem ten próg, spodziewając się tu dostąpić korony mojego tryumfu, w słówku pochwały, zachęty, czy nakoniec podzięki wojskiego; lecz ten jak zwykle rozpoczął od spraw będących na regestrze, bo już to było jego zwyczajem, o sprawach wygranych (lub przegranych, bo i takie zdarzały się, acz nie gęsto), słowem o minionych nigdy nie mówić. Odpowiadając, podsuwałem mu, jak mogłem, pod oczy mój plaster na łbie, ale napróżno.

— Cóż u kata, gardłowałem za ciebie, łba nadstawiłem, a ty milczysz jak ryba.

Zmówiłem tak, ale wprawdzie w myśli, bo jegomości ostro się stawić, nikomu animuszu nie starczyło.

Wyszedłem srodze zafrasowany, przeklinając ten zbytek powagi i chłodu wojskiego, a myślę sobie:

— Prawda, że dary, osobliwie karabela i zaponka bardzo wspaniałe, przenoszące o wiele wartość mojej roboty, a ceną mogły stanowić szlachecki mająteczek, ale ja bym ci je zwrócił, a dodał jeszcze całą moją chudobę, za jedno dobre serdeczne słowo!

Suponowałem, że może zapomniał w roztar-

gnieniu, może się jeszcze namyśli i powie choć słówko, ale minęło jakie pół roku i ja sam już o tem zapomniałem, nic też się przez ten czas nie zmieniło, chyba tylko, że jegomość pozostawił przy sobie *causa pauperiei* i tylko w piątki same stawał, z rzadkim niekiedy wyjątkiem spraw większych, wszystkie inne ja obraniałem, a choć parę ważniejszych znów wygrałem, ale one wpadły jak w wodę i jegomość swoim zwyczajem nigdy o tem ani pisnął, już się nakoniec i z tem oswoiłem.

Atoli razu pewnego, kiedy wychodziłem z codziennej konferencyi, wynosząc ze sobą akta, jegomość mi powiedział, podając złożony papier:

— A weźno wasze i ten dokument, zapomniałem oddać.

Wsunąłem go w fascykuł, a że spraw pilniejszych nie było, więc zajęty czemś innem, nie przeglądałem tych papierów, dopiero po obiedzie, zacząłem wertować akta, z kolei otworzyłem ten papier, omal nie osłupiałem, była to transakcya od Tarłów na kupno przezemnie jednej ich wsi podolskiej.

Mówię „przezemnie“, ale nie przezemnie *Humilisa*, tylko pod mojem własnem imieniem, które, jak wiadomo, ukrywałem. Cały krwią skipiałem:

— Co to jest? — zawołałem sam do siebie — tajemnica moja odkryta, dają mi wieś, za co? po jakiego djabła? O przeklęty żydzie, tyś mnie

zdradził!.. Mości wojski, drwić ze siebie nie pozwolę!..

Rzuciłem się jak szalony, nie wiedząc, czy biedz wprzód do Joyny, czy do wojskiego, aby ich ukarać za zuchwalstwo i zdradę, puściłem się pędem na oślep, a wtem znalazłem się w sieni, zkąd drzwi do wojskiego prowadziły; już chwyciłem za klamkę, gdy on pajuk staje przedemną, mówiąc z respektem:

— Jegomość przecie *trawi*...

— Czy *trawi*, czy *pożera*, to mi wszystko jedno, a ja wejść muszę — zawołam, chcąc odtrącić pajuka, który tak mię z submisyą molestował:

— Przez pięć lat ja po *jegomości*, najwierniej *ichmościowi* służę, ale ulitujcie się nademną, mam pięcioro dzieci, a jegomość po trzydziestu latach służby wypędziłby mnie od słowa, gdyby mu *trawienie* bez jego rozkazu przerwano.

Ochłonąłem, bo w rzeczy za cóż tego biedaka pozbawiać chleba? na wszystko, myślę, będzie jeszcze dość czasu, pójdę do tego łotra żyda i biegłem przez dziedziniec, wtem zachodzi mi drogę rejent i pyta:

— A dokąd waćpan pędzisz w takiej kolerze? Zapewne wyczytał z oblicza moją irytacyę.

— Puść mię jegomość, idę temu szelmie żydowi pejsy oberwać, nim się z innymi rozprawię.

— Jakiemu żydowi?

— A jużci nie innemu, tylko temu hunctwo-

towi Joynie — zawołam chcąc wyminąć rejenta, który mi .drogę zachodził.

— Cóż to waść chcesz zrobić sobie perukę na zakrycie owej kresy Ossowskiego?

— Daj mi jegomość pokój, mnie nie do żartów!..

— Bo jeżeli młodych ci włosów potrzeba, to lepiej weź z jego wnuki Chany, to ale czuprynka.

— Proszę waćpana uwolnić mnie od wszelkich żartów, które mi kością w gardle stoją — rzeknę z rosnącą niecierpliwością.

— Hm! to chyba waść chcesz się przebrać po niemiecku, gdyż i zły jesteś w tym momencie jak djabeł niemiecki i potrzeba ci siwych włosów Joynowych na pudrowaną perukę, to już dobrze, w takim razie pójdę z tobą.

— Dziękuję, obejdę się bez kompanii.

— A ja nie, bo mi czegoś w tej chwili markotno i nie chcę być samotnym, więc idę.

— Mości rejencie — rzeknę złość hamując — nie nadużywajcie w tej chwili mojej cierpliwości, bo, bo...

— Bo co?

— Bo gotówem zapomnieć estymy i miłości, jaką mam dla was i... i...

— I siekać mnie na bigos, a Joynę na łokszynę, bo po wygranej sprawie Tarłów, jegomość spanoszał i mało mu już jednego bigosu... rozumiem!

— Weźże sobie waćpan tę sprawę Tarłów, przeklęta niech będzie godzina, w którą jej dotknąłem! — zawołam z pasyą, ciskając tę transakcyę pod nogi rejentowi, który podjąwszy ją z zimną krwią, przebiegł wzrokiem naprędce i kłaniając mi prawi:

— A winszuję waszmości, jesteś posessionatus w tym wieku...

— Panie rejencie, na miły Bóg, pomówmy seryo bez żartów, bo mnie kolera dławi.

— To waść heretyk? nie wiedziałem.

Po tych słowach dostrzegając zapewne moją niepohamowaną pasyą, wziął mię przyjaźnie pod rękę, a przybierając ton przyjacielsko-poważny prawił serdecznie:

— Słuchajno chłopaku, wiesz o tem, że gdybym miał syna, może nie miłowałbym go więcej nad ciebie, a bądź pewny: że gdyby ci jaka krzywda stać się miała, to i w piekle stanąłbym za ciebie okoniem... ale co teraz to dalibóg ani krzty ciebie nie rozumiem, a w istocie obawiam się, że chybaś zwaryował.

— Jeszcze mnie jegomość nie pojmujesz?

— Jakem szlachcic nie! najprzód za co chcesz obdzierać pejsy Joynie, w którym masz wypróbowanego przyjaciela?

— A to co jest — rzeknę, a wskazując mu ręką na papierze moje prawdziwe nazwisko, dodam:

— Czy to nie zdrada, kiedy mu pod tajemnicą zwierzyłem?

— Zdradą nazywa się mój synu, kiedy tajemnicy na złe użyjemy, ale kiedy dla dobra bliźniego, jest to cnotą raczej.

— A teraz ja jegomości nie rozumiem.

— Toż słuchaj: kiedy chciałem cię zrekrutować na tę kondycyę do wojskiego, którą nie ze szkodą własną zajmujesz, gdym ci raz pierwszy spojrzał w oczy, a następnie spenetrował coś wart, odgadłem odrazu, że nie możesz być owym niedojdą białoruskim, bom to znał przed laty i twojego mniemanego krewnego, suscypienta trybunalskiego Humilisa i rzeknę do Joyny: „gdybym wiedział prawdę, kim on jest, rekomendowałbym go wojskiemu na moje miejsce, ale pod imieniem Humilisa, nic z tego nie będzie; żyd długo się kręcił, zabiegał koło mnie, aż nareszcie kiedym również był niewzruszony, tyle mi powiedział: „zgadłeś jegomość, ale przysięgam, że on nie dla występku, ale tylko z kolizyi smutnych okoliczności ukrywa prawdziwą swą godność i na to przysięgam, że człek prawy i niewystępny“; wyjawił mi jak się nazywasz, ale na to ci daję parol szlachecki, że nic więcej o tobie nie wiem, tylko żeś człek mądry i prawy.

Zakończył Sułdykowski, a po niejakiej pauzie zapewne dostrzegając, że gniew mój mija, rzecze wracając do żartobliwego tonu:

— Czemuż nie idziesz obedrzeć pejsów temu szelmie żydowi, który tyle na szkodę twoją knował?

— Przypuszczam, że dobre miał Joyna intencye, ale do czegoż mnie one doprowadziły?

— Chłopcze opamiętaj się, bo jak Bóg w niebie nie rozumiem i naprawdę poczynam obawiać się o ciebie, czyli czasem niezatrutą szerpentyną stuknął cię po łbie Ossowski?

— Chyba waćpan nie odczytałeś tego dokumentu?

— Owszem, odczytałem i winszuję waćpanu pięknej wsi podolskiej; bywałem dawniej w tych okolicach, majątki Tarłów wszystkie w wyśmienitej, urodzajnej glebie położone, a ta wasza Żytnica...

— Żytnica czy djablica, ja jej znać nie chcę — zawołam z pasyą.

— Znów się żołądkujesz kat wie o co.

— Jakto, imćpan wojski traktuje mnie jak jakiego żebraka, nie dość, że mam takie utrzymanie, o jakiem mi się nigdy nie śniło, a od każdej sprawy więcej niźli spodziewać się mogę, tak, że co miesiąc jakie tysiąc złotych lub i więcej Joyna mi lokuje na prowizyi; za ostatnią tę sprawę, którą bardziej ślepy traf sobie wygrał, ale nie ja, dał mi jegomość takie kosztowne precyoza, a teraz mi rzuca w oczy wieś jak na drwiny; ja mu ją oddam i pójdę sobie w świat!

— To szczęśliwej drogi, kiedyś taki waryat! najprzód, coć dają, to za dobrą, sumienną a ciężką pracę; ja to samo, a może więcej bierałem przez lat dwadzieścia, nie pasyonując się jak waćpan. Co do wsi, umowa przed dziesięcioma laty zawierała się z Tarłami przy mnie, a ona Żytnica wymieniona jako honoraryum za wygraną sprawę.

— To niechże ją jegomość sobie bierze!

— A kiedyś ty sprawę wygrał i skutkiem tego i łba nastawił. Nie mówię ja, aby krew szlachecka miała cenę i opłacała się, ale sam powiedz, za kogobyś się sam poczytał, czy nie za ba i bardzo, gdybyś za wygraną przez innego sprawę brał salarium? Weż tedy chłopcze coć dają, bo to *beatus qui tenet*, a mienie w ręku poczciwem to dobro ludzkości.

— Niech tam sobie będzie jak chce, a ja imćpanu wojskiemu powiem, że wsi nie przyjmuję.

— Trafił jak kulą w płot, grać w sentymenta z jegomością, odpowie ci pod alegoryą, uczciwszy twoje uszy, żeś kiep, a żebyś sobie z wsią robił, co chcesz.

Skonwinkował mię w końcu rejent, wieś przyjąłem; zapewne dziś poglądając inaczej na życie, cieszyłbym się z przyrostu mienia, ale wtedy było mi to ni gorąco, ni zimno. Wszakże umyśliłem jegomości za to podziękować, skoncy-

powałem tym końcem krótką oracyjkę, której wyuczyłem się expedite na pamięć i wchodząc na konferencyą, przystanąłem na progu i począłem od głębokiego pokłonu.

— A co, zawsze ten krzyż waćpanu dolega, możebyś sobie krew puścił, z tem nie żartuj, żeby nie zadawać choroby.

Nie było sposobu przypuścić do tego człowieka ataku, ze strony sentymentów i próżności był niezdobyty, a w gruncie wielkiej, zacności i miłosierna dusza.

Miły Boże! jakże niezbadane są wyroki Twej św. Opatrzności i tak ja mizerak, przed niedawnym czasem wygnany z chorągwi; znajda reformacki po sromotnem ochłostaniu wyrzucony za furtę klasztorną; dziś w kondycyi, o którąby niejeden nogi łamał, a do tego *possesionatus* na pięknej wsi podolskiej (bo chociaż jej wtedy jeszcze nie znałem, ale wszyscy mi winszowali, mówiąc, że jest dobra, jakoż z czasem i sam się o tem upewniłem); a co porządków w garderobie i różnych rupieciach, już to samo stanowiło niezgorszy majątek, a i kapitalik na prowizyi był niezły.

— I do czegóż to wszystko — myślałem sobie — mnie włóczędze, obieżyświatowi, nie mającemu gdzie głowy skłonić, drogiego serca do piersi przycisnąć? kryjącemu się jak złoczyńca lub banita, pod cudzem nazwiskiem?

— Oh, plunę na wszystko — powiadałem so-

bie — chudobę oddam biednym, wstąpię do innego zakonu, chociażby OO. Kapucynów, zawszeć to reguła jak i tamto, św. Franciszka Serafickiego, a teraz czuję, iżbym dotrwał, a nie skusiłaby mnie ani *puella formosa*, jak mawiał brat Daniel, bo mi już świat z kretesem obrzydł.

Takie myśli wegnały mnie w jakąś melancholię, którą poczciwy a łaskawy na mnie rejent chciał rozpraszać swojemi krotofilami, a nawet dobre moje chłopaki z palestry pilnością i posłuszeństwem; robiłem swoje jak ten żóraw, co to skrzypi a ciągnie wodę ze studni i o niczem nie myśli. Wymizerowałem się, jak mi Sułdykowski powiadał i niczem mnie rozbawić nie mogli.

— Niech cię kaduk świśnie — rzecze mi raz Sułdykowski z pasyą — żeś się tak nasumował, jak środa na piątek, żwawszych od ciebie jeszcze czasami do trumny kładą. Albo posiekaj kogo na bigos, choćby i mnie, może ci zrobi jaką dywersyę, albo proś Ossowskiego niech cię raz jeszcze po łbie palnie, lub idź sobie do djabła, wstąp do Kamedułów, obwieś się, ale nie „kwaś się jak ten ogórek w środopoście!“ Cóż u kata, jest i dystynkcya i estyma, honor, a pieniądze, a cóżby robili ci, co chleba nie mają?

— Prawda wasza, zacny panie rejencie, mój szczególniejszy przyjacielu, co powiadasz, ależ gdybyś znał *curriculum* mego niefortunnego ży-

wota, tobyś mi wiele dał kompasyi i wyrozumienia.

— Ba — odeprze mi rejent — *„curriculum“*, znaczy między innemi po łacinie „wóz“, dlatego też mówią *„curriculum vitae“*, że ono życie raz na górę się wspina, to znów ze stromej pochyłości się stacza, jak go woźnica pokieruje a konie pociągną; otóż na tym wozie życia, woźnicą jest Bóg, a końmi predestynacya i opatrzność, a gdzie go pociągną rad nierad toczyć się musi, a nic tu rozumem człek nie potrafi.

— Posłuchajcie mnie zacny i miły mości rejencie, wiecie już cząstkę mojej historyi, jako imię moje własne zrzucić ze siebie musiałem, niby skórę z wielką boleścią odedrzeć od ciała, pozwólcie niech wam i reszty dopowiem, jako mnie w młodocianych latach moich dziwne fata ścigały.

— I owszem chłopcze, nie dla próżnej ciekawości, ale radbym zaradzić twoim smutkom, a bądź pewny, iż co tylko usłyszę, padnie kamieniem na dno, zkąd go żadna siła nie wydostanie. Dwie zaś głowy nie to co jedna, a być może, iż we dwóch na tę twoję melancholię najdziemy jakiś specyfik.

Począłem opowiadanie zamieszczone tutaj, o czem rejent nie wiedział, a słuchał z uwagą, a miejscami okazywał rzetelną kompasyę nad frasunkami mojemi, a kiedym skończył, spyta:

— Powiedzże mi, a przedsiębrałeś jakie kroki, aby ojca twojego przejednać, boć to po Bogu zawsze najpierwsza władza i miłość człeka bogobojnego na ziemi.

— Skoro u poczciwego Joyny stanąłem nieco na nogi, przez ów proceder kopisty, że już mógłbym się był ojcu porządnie prezentować, za poradą Joyny napisałem list pełen submisyi i pokory, suplikując o przebaczenie i powrócenie mi miłości i afektu ojcowskiego, poddając się karze, jaką mi jego władza ojcowska wymierzyć raczy, chociażby najsroższą chłostę, byle mnie na nowo do serca rodzicielskiego przypuścił; z listem tym jeździł do ojca zięć Joyny, udający się w naszą okolicę w sprawach handlowych.

— I cóż, jakiż respons?

— Oto macie jegomość i list mój i rezolucyę krótką pana ojca, na moim liście wypisaną.

A podałem oboje Sułdykowskiemu, bom to dla smutnej wtedy, a dziś miłej pamiątki, zachowywał święcie. Na moim liście pan ojciec nakreślił te słowa:

„Mosanie apostato! który się udajesz za mojego syna, strzeż się, abym cię nie ścigał całym rygorem prawa, które surowo karze wszelkie przywłaszczenia osobistości cudzej. Mój syn nie poważyłby się rekwirować do mnie nie osiągnąwszy rangi oficerskiej, com mu nakazował pod rodzicielskiem błogosławieństwem, bo on wie to do-

kładnie, iż z „gęby cholewy nie robię“. Owóż mości fałszerzu cudzej persony! wiedz o tem, że za przyszłem zgłoszeniem, jeżelibyś je śmiał powtórnie hazardować, najprzód twoje pisanie każę pokawałkować bizunami na ciele twojego posłańca, kimby on niebył, chociażby i „*natus* i *possesionatus*“, a ciebie każę imać i jako impostora do władzy właściwej po odbiór kary odeślę“.

— Prawda, argument srogi a oczywisty — rzecze mi rejent zamyślony.

— Znając mojego pana ojca parolistą, że co przyobieca dotrzyma w każdym razie, nie śmiałem też nikogo narażać na podobną misyę, któraby się skończyła takiem samem *miserere*, jak owa moja wokacya zakonna. Wszakże poczciwy Joyna choć wiedział o tem wszystkiem, jednak skoro już tu u jegomości mocno się usadowiłem, sam pojechał do mojego ojca, jako dawny znajomy, niby w jakiejś tam innej sprawie, a niby przy okazyi o mnie dyskurs od niechcenia rozpoczął; ojciec wpadł w ogromną pasyę na samo wspomnienie o mnie, a przerywając Joynie, chwycił go za obie dłonie wołając:

— Jeżelibyś wypadkiem miał jakie pisanie od tego apostaty, to na miły Bóg, nie oddawaj mi, bo musiałbym się dopuścić gwałtu na człeku starym i poważnym, gdyż jak wiesz, „cholewy z gęby nie robię!“

— Owóż taką, jak dotąd jest moja pozycya

względem pana ojca, i ja dziś dochrapawszy się jakiej takiej kondycyi i fortunki, gnić muszę jako samozwaniec pod cudzą skórą, której mam już dosyć.

Poczciwy Sułdykowski wysłuchawszy mnie pilnie, zamyślił się głęboko, a potem rzecze:

— Wiesz waćpan co, jak mówią: „przez posły wilk nie syty“, a gdybyś to sam udał się do rodzica, tak i to serce ojcowskie nie kamień, a przecież zobaczy, że masz dziś lepszą kondycyę, niż nawet jakaś rotmistrzowska szlufa, a dorobiłeś się jej własnym przemysłem i siłami — a co tam zresztą rodzicowi podoba się uczynić z tobą, wszystko to jest niczem w porównaniu z powagą rodzicielskiego błogosławieństwa: owoż moim rozumem, takbym sobie począł na twojem miejscu, jedź do ojca, a potem ci nawet wypada w nowem dziedzictwie rozejrzeć się i wziąć do wsi intromisyę; imćpan wojski z chęcią, jak suponuję, zgodzi się na twój wyjazd, a ja cię przez te kilka tygodni w obowiązkach zastąpię.

Przyjąłem z wdzięcznością propozycyę poczciwego Sułdykowskiego, jegomość żadnej przeszkody do mojego wyjazdu nie stawił; począłem się gotować do drogi.

Za prokuracyą Joyny nabyłem piękny prawie nowy a mocny koczobryk na dwóch resorach, żółto pomalowany, wcale się dobrze przedstawiał i z pańska, a coś tak na kolasę patrzył;

do niego od tegoż właściciela trzy dropiate rosłe konie mocne i jeszcze młode, razem z uprzężą wszystko za 132 czerwone złote; zatrzymałem na mój jurysgielt dawnego woźnicę, który był przy tych koniach, zwał się Józef, a człek poczciwy, trzeźwy i pilny; przyjąłem do osobistych usług syna owego węgierskiego pajuka jegomości, wyrostka zręcznego i dobrego chłopca, który wprawił się do usługi przy paniczach, zwał się Antek; sprawiłem mu barwę węgrzynka ze srebrnemi pętlicami, chłopak nie posiadał się z radości; ubrałem w piękną barwę mojego woźnicę — i tak piątego dnia po rozmowie ostatniej z rejentem, pożegnawszy go rzewnie i czule, bośmy się popłakali przy rozstaniu, puszczałem się w drogę, rozumie się wprzód przystąpiwszy do św. Sakramentów, odebrałem błogosławieństwo kapłańskie na tę podróż, której celem wielkim było przebłaganie gniewu ojcowskiego.

Imćpan wojski, który jak pokłonów, tak również nie lubił wszelkich ceremonij pożegnania i powitania, kazał mi powiedzieć przez Sułdykowskiego — „niech Bóg prowadzi“.

Kochana moja już teraz palestra, także mnie czule żegnała; kiedym już wsiadł do koczobryka i miałem ruszyć z miejsca, aż tu wystąpią chłopaki wszyscy i czternastu jezdnych otoczą mój koczobryk, aż mi się serce rozradowało na ten dowód przychylnej atencyi. Prowadzili mnie chło-

paki o półtorej mili traktem warszawskim, aż do austeryi Szmyrka, co to sławne miał magagigi i wiśniak stary, a tam w czasach swobodniejszych schadzała się palestra na grę w kręgle, których miał Szmyrek kilkanaście przyrządzeń, tak, że bywało gdy następują po sobie para lub więcej dni świątecznych, to po pareset osób zabawiało się tam kręglami i wiśniakiem. Za przybyciem zastaliśmy tam jeszcze osób kilkanaście z palestry, nawet kilku młodych patronów, przybyłych dla pożegnania mnie — bo jakoś Bóg łaskaw dawał mi to w życiu, że ludzie mnie nawiedzili, co w istocie przypisuję łasce boskiej, wcale zaś nie moim meritom.

Chłopaki moje odwiązali sakwy od siodeł, a tyle w nich nazwozili jadła, rozmaitego pieczywa i mięsiwa, że krom tego, cośmy do syta spożyli na miejscu, włożyli mi w koczobryk, tak, iż przez całą drogę nie potrzebowałem troszczyć się o strawę. Rozweselilišmy się sobie pod czas, a i rozrzewnili, a tak jakoś mi wszystko zaszmerało we łbie, że o trzy mile na noclegu ledwiem się opamiętał.

Nie będę opisywał podróży, ta przy łasce Bożej, wcale mi się dobrze powiodła, moja służba dobrze się sprawowała tak koło mnie, jak i koni pilnie doglądając.

Na czwarty dzień po wyjeździe z Lublina, łaby o to pod wieczór, już mi serce silnie zastu-

kało na widok rodzinnej ziemi, po której przeszło lat dziesiątek nie deptałem, kazałem konie popędzać ile wyskoczyć mogą, a jeszcze mi się wydało, że lezę jak na żółwiu. Cóż dopiero imaginujcie sobie, działo się ze mną, skoro ujrzałem rodzinną strzechę, jużbym się napróżno wdawał we wszelkie deskrypcye. A zaprawdę, komu na widok rodzinnego gniazda serce silniej nie uderzy, oczy zaś pozostaną suche, niech się modli i pokutuje, aby mu Bóg serce w piersi rozgrzał, żeby go tam kamień nie zadławił!

Widzę, sterczy ten sam gołębnik żółty z czerwonym daszkiem, w kształcie jaja, co to zdaleka tak oznajmował istnienie szlacheckiego dworku, jakby wieża świątynię; a budził mi wspomnienie dzieciństwa, jak to nie raz łaziłem tam pokryjomu przypatrywać się gruchaniu miłosnemu gołąbków i pieczołowitości matek nad pisklętami. Dalej żuraw wysoki przy studni z wiadrem miasto dzióba, zaziera sobie w niebo i czeka litościwej ręki, co go choć na chwilę przygnie ku ziemi. Tam stara stodoła i śpichrz, to ci wierni karmiciele całej wioski. Tu stara grusza rosochowata, za którą nieraz dostałem plagi, żem otrząsał niedojrzałe owoce. Stara, przygarbiona, drewniana kapliczka, choć się chyli ku upadkowi, ale Bóg nie wybredny i dobry, zawsze raczy przebywać w tej swojej stolicy, będącej skarbnicą pociechy stroskanych! I cóż to obce jest na rodzinnej ziemi, źdźbło

nawet piasku, to stary znajomy, a każda grudka ziemi, to przyjaciółka!

Ach nareszcie!... nudne konie dociągnęły mnie; iżem oka ze wszystkiego nie spuszczał, a wzrok całą siłą wytężał, nie trudno się domyślać. Aż dojrzę zdala, o ile zachodzące słońce dozwalało, ojciec siedzi na ulubionej kamiennej ławeczce przed bramą, przy nim stoi nieodstępny jego sługa stary Łukasz; kazałem wstrzymać konie, bo objazd kilku staj wydawał mi się jeszcze za daleki, a przeciąwszy tę drogę ukośnie przez małą ścieżkę, prędzej będę u nóg ojca; biegłem więc co tchu, stary Łukasz dłonią oczy zakrył, aby łatwiej dojrzeć przybywającego i panu zameldować; już zbliżałem się o kilka tylko kroków, aż słyszę głos, drogi głos ojca, tak dawno niesłyszany:

— No, a kto to Łukaszu, czyś oślepł?

— Jakiś jegomość, a dworno w kolasie, suto odziany, kapie od złota.

Odpowiadał stary Łukasz głos podnosząc, widać że biedny ojciec ogłuchł, do czego od dawna miał skłonność. Owo zaś Łukaszowe „suto odziany, kapie od złota“ stósowało się do tego, żem wdział mundur lubelski, ze szlifami, a do tego bogatszy z pętlicami złotemi i czapkę z kitą, a na nią wsadziłem oną zaponkę dyamentową, dar jegomości. Tak bowiem z ostatniego popasu przebrałem się w najlepszy strój na tę solenną uroczystość powitania ojca.

Nim dobiegłem, chociaż spieszyłem, znów słyszę głos ojca pytającego:

— Ale któż stary nudziarzu?

— No kto, kto, a ja wiem, jeszcze u nas nie bywał — krzyczy Łukasz jak do głuchego.

Serce mi się ścisnęło, a pomyślę sobie:

— O Boże drogi i swoi mnie nie poznali!

Zbliżając się do ojca ujrzę na nim pas czarny wełniany bez żadnej odmiany, serce mi się ścisnęło srodze, bo mi ten fatalny pas, znak nieomylny grubej żałoby, powiadał: „nie masz już matki“... Załkałem głośno jak dziecię, a rzucając się do nóg ojca, zawołałem z płaczem:

— Panie ojcze!

I łzami nogi jego zlewałem.

Biedny ojciec już ośmdziesiąty rok naówczas poczynający, ogłuchł mocno, a dobrze niedowidział, osobliwie przy zmroku, który zapadał; dosyć począł, a wstając z siedzenia, trzęsącemi rękami objął mnie, szukał ramion moich, a namacawszy szlifę, wziął mię w objęcia i ze łzami radości wołał, jak dziecko:

— Szlify! szlify!... O Boże, wiedziałem, iżeś jest miłosierny, a pocieszysz moją frasobliwą starość, wrócisz mi syna i sprawisz, iż do śmierci „z gęby cholewy nie zrobię“. O ja ci wyznaję mój Nikasiu, żem nieraz już chwiał się w postanowieniu, wahał, chciałem po ciebie posyłać, aby cię ujrzeć przed śmiercią, ale „*principium*, *prin-*

cipium!“ mój synu, aby „z gęby cholewy nie robić“, przeważyło. Ten Wszechmocny zasmuca i pociesza; niedawno powołał do lepszej chwały najwierniejszą moją dozgonną towarzyszkę a twoją matkę, a na pociechę wraca mi ciebie, syna posłusznego. O! Boże! bądź pochwalony w miłosierdziu swojem bez granic... Tyś mi synku jakby nowo-narodzony, jakby z nieba zesłany!

To mówiąc, że ojciec był niepospolitej siły, która go do końca nie opuściła, chwyciwszy mnie na ręce, jakby w istocie niemowlę, okrywał pocałunkami i pieszczotami w słowach zdrobniałych bez znaczenia, jakich matki i piastunki do swoich niemowląt stosują.

A tymczasem nadciągnął wracający z pola nasz dawny, bodaj od pół wieku podstarości Macierzański, którego ja tylko starego od dziecińtwa pamiętałem; zbliżył się do nas chcąc zapewne wiedzieć, co się święci, że jego pan jakiegoś nieznanego „jegomości“ na ręku piastuje.

— Patrz ty stary wygo Macierzańsiu! — woła ojciec — a co, nie mówiłem, że na swojem postawię, a pomimo twych perswazyj bez sensu i gderania, „cholewy z gęby nie robię“... patrz taż to Nikaś, poczciwy, posłuszny syn! wytrzeszczże ślepie, a obacz szlify... ranga oficerska — hę co? mów teraz, czy ja na swojem nie umiem postawić... tylkoż nie trzeba być babą, a „z gęby cholewy nie robić“, jak ty!..

— Cóż też tam jegomość dłuższego panicza od siebie nosicie jak barana, jeszcze się podźwigniecie... a zawsze jegomości ta cholewa i ranga oficerska ze szlifą z głowy nie wyłażą... a cóż gdyby panicz nie był oficerem, no to i cóż? alboć to sami wojacy mają być na świecie, to któżby orał i w piecu palił? gdyby tak? trzeba mieć „*sensum quintum*“ (to było tego poczciwca przysłowie).

Po tych słowach podstarości wyrwał mnie z rąk ojca i począł ściskać ze łzami.

— Gdyby nie był oficerem, toby precz poszedł zkąd przyszedł — zawołał ojciec w gniewie.

— To mi „*sensum quintum*“ mości dobrodzieju! — zawrzeszczał stary podstarości.

— Co ty tam stary mruku wiesz, co prandyczysz — u Nikasia szlifa, a u mnie „gęba, ale nie cholewa“, tak jak mieć chciałeś — ozwie się coraz bardziej uradowany ojciec.

Nie do opisania jest moja okropna i fałszywa pozycya w tej chwili; mimowoli przychodziła mi na myśl owa podróż po obedyencyi w habicie zakonnym, i ja samochcąc stawałem się samozwańcem, fałszerzem, apostatą wobec mojego starego ojca, który znów po chwili ozwał się do podstarościego z szyderstwem.

— Co stary zamalowało ci gębę i „*sensum quintum*“, ha powiedz, że czylić to szlifa nie oficerska?

Tego już było nad siły moje i nowego kłamstwa nie mogłem udźwignąć na sumieniu — a rzeknę z konfuzyą:

— To już szlifa nie wojskowa, ale munduru wojewódzkiego lubelskiego, a ja nie jestem oficerem.

— A ja nie mam syna!

Zmówił sucho mój ojciec i odwróciwszy się szedł ku domowi.

Jam we łzach chciał mu się rzucić do nóg, lecz ojciec usunąwszy się, rzekł do Łukasza twardym tonem rozkazu.

— Zamknąć wrota i nie wpuszczać nikogo, słyszysz!

— Snać stary sługa wahał się jeszcze nad wypełnieniem tego nieludzkiego a iście nie ojcowskiego rozkazu swojego pana, gdy serdziściej zawołał:

— Słyszałeś stary trutniu, zamknąć wrota i nikogo nie wpuszczać, bo cię stłukę!

Stary sługa ocierając łzę, wypełniał rozkaz nielitościwy swego pana.

Po odejściu ojca i zamknięciu wrót, stojąc jak w osłupieniu przez czas niemały, patrzyliśmy na siebie ze starym Macierzańskim, mnie się serce krajało, aż kiedy ojciec zniknął w ganku, podstarości ruszając ramionami, przemówił:

— Ano gdzież tu „*sensum quintum*“ mosanie, jegomość żeby „z gęby cholewy nie robić“, z ser-

ca ojcowskiego uszył buty... A czegoż to chce od panicza (tak mnie zwał od dzieciństwa) i prezencya dobra, znać i statek i porządną substancyę, bo to koło panicza i dworno i chędogo, a zajechał jak jaki senator, a jegomości jeszcze mało, no! gdzie tu „*sensum quintum*".

Jeszcze pomruczał stary, a potem rzecze do mnie ze szczerą kompasyą:

— Cóż wy paniczu teraz?

— Ha jadę, zkąd przyjechałem, jak każe pan ojciec, a potem obaczę... żegnam was zacny jegomość.

Chciałem go uściskać i odjechać, ale on prawił:

— A gdzie „*sensum quintum*" paniczu pod noc zmęczonemi końmi puszczać się w drogę, czy to tatarszczyzna czy co? Proszę do siebie jeżeli łaska.

— Możeby się pan ojciec gniewał?

— A to mi „*sensum quintum*", wszystko jedno, bo jestem na swojem terytoryum, wprawdzie z łaski srogiego rodzica waszmości, bo ów przysiółek za groblą, co to za waszej pamięci dopiero się zasiedlał, jest mój darowany przez jegomościa, który zresztą jest dobry pan, uczciwszy tę gębę i cholewę.

Prowadził mnie tedy stary Macierzański do siebie, a po drodze rozprawiał:

— Był tu u nas stary żyd z Lublina, a ma bestya „*sensum quintum*", jakby jaki katolik, ten

mi tu cuda o paniczu opowiadał, jaką tam karyerę zrobiliście, że to jest i estyma i grosz się was trzyma i poważanie, a miłość ludzka, a jegomość woła „szlify i szlify!“ jak dzieciak piersi od matki — jest że tu „*sensum quintum?*“

Nie wiem czy z tej alternacyi czy co — ale ledwośmy przyszli do dworku starego, już położyłem się z silną gorączką, kilka dni nie wstałem z łóżka; poczciwa podstarościna, niegdyś moja piastunka, nie mogła się mną nacieszyć, a doglądała mnie w tej acz krótkiej niemocy, jak własne dziecko.

Gdy się już podniosłem z łóżka, poszedłem na cmentarz wiejski, tam na grobie drogiej matki rzewnie się spłakałem; myślałem sobie, gdyby żyła, możeby nie dała synaczka wygnać tak sromotnie z domu rodzicielskiego, chociaż i to prawda, że pan ojciec lubo powolny był co do wielu, lecz jak szło o tę „gębę i cholewę“, przeprzeć się nie dał.

Skorom się u grobku matki wypłakał dowoli, już chciałem odjeżdżać, lecz podstarości wynajdował przeróżne preteksta, aby mnie zatrzymać: to konie niby kulały, to coś tam koło koczobryka majstrowano, a moi ludzie, których karmił i poił, jakby w zmowie z nim byli. Widocznie stary coś tam negocyował, ja wyznaję, łudziłem się także jakimś promykiem nadziei i nie bardzo się ruszałem do wyjazdu; tak minął przeszło ty-

dzień, rozkoszowałem sobie na ziemi rodzinnej, nieraz wyłaziłem na strych podstarościego i ztamtąd oglądałem moją kochaną stronę rodzinną i nieraz myślałem sobie:

— A nuż pan ojciec rozczuli się może, ułaskawi i zawezwie.

Lecz razu pewnego wrócił podstarości jakiś zły i mocno zalterowany, a rzucając czapkę o ziemię, zawołał z pasyą:

— Już to mosanie destynacya nasza taka, żebyśmy tu „*sensum quintum*" do śmierci, a bodaj nie dalekiej, nie mieli... Jedźcie paniczu z Bogiem, pewno macie tam waszą kondycyę, której trzeba pilnować, a my tu „z gębą i cholewą", a bez „*sensum quintum*" pozostaniemy.

Godny to zawsze i serdeczny człeczyna, a dziś już zgrzybiały staruszek, przywleka się do nas często o kiju, bawi się z mojemi dziećmi, jak niegdyś ze mną, których „paniczykami" nazywa, bo tak sobie wyrozumował:

— A to już „*sensum quintum*" tak mieć chce, ażeby dzieci „panicza" (tak bowiem zwać mnie nie przestał), były „paniczykami".

Tak to ze ściśnionem od żalu sercem, wyjechałem odpędzony od progu rodzicielskiego.

Snać powinęła mi się noga na jakiś grunt fatalny, bo same smutki mnie spotykały, a nowy

ciężki frasunek oczekiwał mnie w Lublinie; za przybyciem tam spieszno mi powitać było kochanego Sułdykowskiego, a na jego przyjaźnem łonie szukać pociechy w mojem strapieniu.

Lecz ujrzawszy poczciwego rejenta, ażem się cofnął z przestrachu, znać na nim było ciężki frasunek, postarzał się widocznie, tak jakbym go dziesięć lat nie widział — skoro mnie ujrzał, przywitał kordyalnie jak zawsze, ale już go się krotofile nie trzymały; a popatrzywszy mi w oczy, przemówił smutno:

— Już cię o więcej nie pytam, bo twe niepowodzenie z oblicza ci przegląda. Ale takie to chłopcze Bóg dał życie człowiekowi, że uśmiech i wesele są mu gościnni a troska i frasunek domownikami. Każdemu po kolei i mnie Bóg nawiedził smutkiem, moja biedna córka owdowiała, z pięciorgiem dziatek drobiazgu rady sobie nie da, choć tam wprawdzie nie bieda, a jest z łaski Boga dostatek, ale gdzie to białogłowie zaradzić samej jednej w gospodarstwie, a jeszcze przy dziatkach, muszę tam jej chudoby pilnować i tylko czekałem twojego powrotu, żeby jegomości samego nie pozostawić i jutro wyjeżdżam w gostyńskie do córki.

— A cóż ja nieszczęsny bez was pocznę!

Zawołałem rażony tą smutną wieścią, jakby piorunem, a w istocie dla dopełnienia miary moich smutków, chyba tego brakowało, aby mię

odstąpił ten godny przyjaciel, ostatnia moja pociecha na ziemi.

— Ej! synku — odpowiadał mi ze zwykłą rezygnacyą — pożyjesz dłużej, a pokręcisz się jeszcze na świecie to obaczysz, jak ten padół płaczu dziwnie stworzony, iż jedni bez drugich snadno się obywają; zda się ci czasem, owo tego nie przeżyje, to rozstanie o śmierć mnie przyprawi, a tu tymczasem napotkasz nowych i znów przylgniesz i na nowo dla innych opuścisz — bo to się synku ziemia kręci, a człek na niej jak fryga.

Trzeba wiedzieć, iż to rozstanie jakkolwiek zdawna przewidywane, ale coraz mniej smutnym skutkiem mi groziło. Sułdykowski był wdowiec, a miał córkę jedynaczkę, od lat dziesięciu zamężną, widocznie kochał ją bardzo, bo ten człek miał szerokie serce dla wszystkiego, co go otaczało — i od kiedy nastałem do wojskiego, ciągle za tydzień do córki się wybierał, lecz tak mijał on tydzień za tygodniem i termin się odkładał, a on bywało mawia:

— Ot jeszcze tydzieniek zabawię z mojemi ptaszkami i rybkami, bo córka ma tam dobrą opiekę w poczciwym mężu, a to biedactwo co pocznie bezemnie, dopieroż będą sieroty...

I w ten sposób tydzień po tygodniu mijał; termin wyjazdu odkładał się przez całe lat pięć.

Dopiero trzebaż było widzieć pożegnanie tego serdecznego człeka ze swojemi stworzeniami, płakał jak dziecko, a mnie kazał po kilkakroć przysięgać, iż temi jego „sierotami“ gorliwie opiekować się będę.

Niech się sobie śmieje zdrów czytelnik z tej mojej gryzmoły — (jeżeli go kiedy mieć będę) ale ja powiem, że o pożegnaniu z tym moim drogim, kochanym człekiem zamilczeć muszę, bo po latach jeszcze łzy cisnące mi się do oczu, pisać przeszkadzają; chociaż już te wesołe niegdyś kości już w grobie, a zacna dusza niezawodnie w niebie.

Jedno, co mię o tyle o ile pocieszało po rozłączce z tym jedynym przyjacielem, a słuszniej mówiąc, odwracało myśl do tego frasunku, to nawał pracy, jaki się zwalił na mnie. Dopiero teraz przekonałem się, iż Sudyłkowski, chociaż na pozór niby nic nie robił, ale nadzwyczaj czynny i bystrego umysłu, nieraz jednem słowem, radą, tak trafnie pokierował niejedną moją robotą, iż naprowadziwszy ją na właściwą drogę, czas mi przez to o połowę skrócił. Teraz jak na toż i pan Wojski zaniemógł, tak, że wszystko o moją stroskaną głowę rozbijało się — często sam dawałem audyencyę klientom, wiele spraw broniłem, a nawet często, co się dotąd nie przydarzało, w piątki *pro causa pauperiei* występowałem (rozumie się, że do tych spraw, kazał

mi się jegomość ubierać skromnie i iść bez asystencyi).

Inne jeszcze sprawy jako tako mi się powodziły, ale co owe *pauperiei*, to wyznam, że ubodzy na mnie stracili, bo tej wymowie, jaką roztaczał jegomość w ich obronie, nie wiem, czy kto innyby podołał — a o swojem powodzeniu w tej mierze to już i powiadać nie mogę.

A tu sprawiedliwość mi każe nadmienić okoliczność, której przed kilkoma laty jeszcze, sam bym nie dał wiary, że ile razy pan Wojski usunął się dla niemocy od roboty, a ja go absolutnie zastępowałem, przybierałem sobie za manualistę kasztelanica, a lepszego wyboru zrobić nie mogłem, tak był czynny i z procedurą dokładnie obeznany — a nieraz mawiał mi:

— Śmieją się inni ze starszych, iż często sobie krew puszczają; musi to być w rzeczy mądre, bo od kiedy ichmość z łaski swej nadtoczyłeś mi krwi z mego głupiego łba i oślego ucha, to sam się sobie dziwuję, jakem postateczniał.

Przechodzę teraz do owego wirydarzyka rejentowego, z którego na losy moje niespodziewane fata spłynęły.

Jako przysiągłem Sułdykowskiemu, gorliwie się zająłem jego wirydarzem i wszystkiemi mieszkańcami, czyli jego sierotami, jak on nazywał; zna-

ły mnie one wszystkie tak ptaki, jako i ryby, bom tam często z Sułdykowskim przychodził i pożywę im przynosił — jednak skoro mię pokilkakroć samego jednego ujrzały, szły do ręki mniej chętnie jakby z obawą, lecz później zapomniawszy dawnego dobroczyńcy, snać tak jest po ptasiemu i rybiemu jako i po ludzku, szły chętnie do ręki mojej jedynej już chlebodajnej, jaka pozostała.

Jedne pszczoły trzymały się odemnie zdaleka, ja też im odpłacałem wzajemnością, co prawda bojąc się ich; ale że ile razy spełniałem obowiązki pasiecznika, okurzyłem się czemś, żeby mnie nie gryzły, więc nasza znajomość na dokonaniu powinności kończyła się. Zresztą zda mi się, że nie gorzej było w wirydarzyku, jak za dni rejenta, bo każdą chwilę skradzioną od pracy poświęcałem staraniu około niego. Kapliczkę także podtrzymałem w dobrym stanie i często tam moje troski przed Bogiem wypłakałem Słowem, tak zawsze czyniłem w wirydarzyku, aby na wypadek powrotu rejenta, nadzieją którego łudzić się napróżno nie przestawałem, nie odebrać wyrzutów i admonicyi.

Przypominacie sobie zapewne ową furtkę w parkanie wirydarza zamkniętą, którą poczciwy rejent nazwał „owocem zakazanym swojego raiku“ — raiku, w którym po odjeździe Sułdykowskiego, ja jedynym „Adamem“ pozostałem, gdyż i jegomość

nawiedzał wirydarz, dla częstszych niemocy, coraz rzadziej.

Od pierwszego dnia poznania tego rozkosznego wirydarzyka, poczułem w sobie Adamowe tentacye do zbadania i spenetrowania owego owocu zakazanego i teraz dopiero umiałem sobie dokładnie wystawić, na jakie to ojciec rodzaju ludzkiego, Adam, był narażony pokusy, kręcąc się ciągle przy owym owocu zakazanym; nie inaczej się ze mną działo, ile razy przechodziłem około tej, a często się to zdarzało, osobliwie ile razy samotny znalazłem się w ogrodzie, to jakaś niewidoma siła ciągle mnie prawie przy furtce trzymała; klucz od furtki był razem związany z kluczem od wirydarza, nieraz obejrzawszy się dokoła, czy nikt mnie nie widzi, już prawie klucz do zam ku wkładałem; lecz nagle gdy przyszło mi na myśl:

— A może tam nic nie ma za parkanem, może to krotofilny rejent kazał zrobić tę furtkę w parkanie, a klucz u mnie z umysłu pozostawił, żeby moc mojego charakteru wypróbować, tak jak niegdyś bił się ze mną w oborze Joyny, ażeby siłę mojej ręki doświadczyć.

Możeby to rozumowanie nie przemogło mojej tentacyi, ale ile razy ta silniej na mnie nacierała, stawała mi przed oczy biała koza i Fauścia, brat Fryderyk i inne smutne konsekwencye klasztorne, tak iż mi się coś boleśnie odzywało w owem za-

gojonem „*miserere*“, które takiej mnie nauczyło skromności, co dotyczy niewiast, iż pomimo młodego wieku, a często silnego nagabania natury, stroniłem od nich jakby od zapowietrzonych i Boże odpuść ową zarozumiałość, ale zdaje się, iż w czystości mej nieposzlakowanej, byłem jak jaki pustelnik, a śmiało mógłbym się ostać pokusom św. Antoniego.

W nocnej porze, kiedy czasem dla wytchnienia po pracy, przechadzałem się po wielkim ogrodzie, dojrzałem parę razy, iż Jan, jedyny zaufany sługa imćpana wojskiego, skradał się z koszem naładowanym do wirydarza; wtedy szedłem za nim pokryjomu zdala i widziałem, kiedy otwierał drzwi owego „zakazanego owocu“ i znikał za niemi z koszem — lecz zwykle dla ostrożności śledząc zdaleka, nie mogłem pomimo natężenia wzroku dojrzeć w ciemności, co się po drugiej stronie działo — odtąd pomyślałem sobie:

— Więc jest tam ktoś potrzebujący prowizyi?

A ciekawość moja bardziej się zwiększyła, chociaż jednocześnie chwyciłem ją na silniejsze wodze, już nie przez stałość mężkiego charakteru, ale z obawy, aby nie natrafić tam na jaką „hożą Fauścię“, a jeszcze smutniejszy ich skutek „*miserere*“; począłem tylko częściej przechadzać koło furty, chwytając chciwie uchem, ażali choć głos jaki ztamtąd mnie nie doleci.

Pewnego razu w rannej dobie zwiedzając go-

spodarstwo po rejencie odziedziczone, ujrzałem jakiś niezwyczajny ruch pomiędzy ptactwem, które zawsze czujne na moje przybycie, zlatywało się dokoła mnie, pożądając pożywy i pieszczot, teraz zaś z głośniejszym szczebiotem krążąc z jakowąś zajadliwą wojowniczością, dokoła jednego drzewa, najmniejszej na mnie nie zwracało uwagi.

Zdziwiłem się niepomału doznawszy pierwszy raz takiej obojętności, niemal lekceważenia od mojego pierzatego gronka, począłem je nawoływać to gwizdaniem, to znów surowszemi rozkazami, na które nie dając baczenia ptaszęta z rosnącą zajadłością koło drzewa krążyły; tknięty tedy do żywego tą pierwszą, a dotąd niepraktykowaną próbką znieważenia subordynacyi, której i mój poprzedni władca wirydarza silnie przestrzegał, zbliżyłem się, a raczej pobiegłem gniewny do onego zbiegowiska, które kilku machnięciami chustki, w oka mgnieniu rozpędziłem, a chcąc następnie zbadać, coby mogło być powodem tej ptasiej zaciekłości, ujrzałem na drzewie śliczniuchne ptaszę, kanareczka jakiegom w życiu nie widział, bo nie żółtej był barwy, ale piórka jego wpadały w jasnozieloną.

Biedna ptaszyna drżąca i przestraszona tuliła się pod listkami wiśni, a zdało mi się, iż na mnie, jako swego wybawcę, spoglądała wzrokiem wdzięczności, i kiedym wyciągnął rękę dla ujęcia i utulenia biednej ptaszyny, nietylko nie uciekała, ale

sama na rękę mi wskoczyła i jakąś, jakby hymn wdzięczności świegotać mi słabym, omdlonym głosem poczęła — bez wątpienia ten mi się należał słusznie, bo przypuszczam, że o moment jeden spóźnione moje przybycie, biedny ptaszek życiemby przypłacił, gdyż wiadoma jest nienawiść tych szaraków — wróbli do onego karmazyna w rodzie ptasim, kanarka.

Milutkie to ptaszę, jak niemowlę do łona matki przytuliło się do mojej piersi, a tak drżało i omdlewało, iżem obawiał się, żeby mi nie skonało to biedactwo na ręku, bieżałem tedy co tchu do sadzawki, a tam opryskawszy ptaszka zlekka wodą, powróciłem do życia.

Skoro już minęło z tej strony niebezpieczeństwo, tak iż o mojego wybawionego mogłem być spokojny, mimowoli nasunęło mi się pytanie:

— Zkąd się tu w wirydarzyku wzięło to piękne ptaszę? U nas bowiem w domu całym nikt kanarków nie chował. Dam mu tedy wolę — pomyślę sobie — już wróbli w mej obecności nie ma się co obawiać, i ujrzę dokąd poleci... Jakoż wykonałem ten zamiar, a otwierając dłoń dawałem mu wszelaką swobodę, lecz ptaszyna miasto z niej korzystać, skryła mi się w zanadrze i tam jakby w gniazdeczku zachowana, na nowo drżeć poczęła.

— Opatrzność mi zesłała pięknego ptaszka — pomyślałem sobie — i już kierowałem się ku do-

mowi, aby mojemu pięknemu wybawionemu jakieś tam *locum* obmyśleć, a prawdziwie cieszyłem się z tego wdzięczniuchnego nabytku, gdy wtem z drugiej strony furtki — „owego zakazanego owocu“, jak rejent powiadał, dał mi się słyszeć głos — a głos lubo miłego dźwięku, jednak rozpaczliwy, wołał:

— Kanareczko moja miła, Justysiu moja jedyna!.. gdzieżeś ty, ja bez ciebie zginę!.. moja droga siostrzyczko!

Następnie słowa przerywały się łkaniami, to znów rozpaczliwym jękiem, tchnącym okropną boleścią, aż mi się serce krajało; pomimo to jednak zastanowił mnie a niemal przeraził ów wyraz „kanareczko“... więc ta ptaszyna była samicą, od których tyle mnie fatalnych potkało po świecie kazusów... już, już, zamierzałem ową furtkę „zakazaną“ otworzyć i pocieszyć strapioną właścicielkę powróceniem jej drogiej zguby... gdy nagle i krowy rodzicielskie i kobyła namiestnikowska, a nakoniec koza Fauści, nadewszystko zaś fatalne *miserere*, jak upiory stanęły mi przed oczyma.

Wszelako kompasya nad tą nieszczęśliwą, rozpaczającą niewiastą po drugiej stronie furty przemogła wszelkie skrupuły i obawy, a gdy łkania i lament coraz się silniej wzmagały, zapomniawszy o wszelkich restrykcyach, wyjąłem klucz z za pasa i pomimo przysiąg czynionych Sułdy-

kowskiemu, świętokradzką ręką sięgnąłem po „owoc zakazany“.

Za przestąpieniem tego zakazanego progu, niespodziany, a dziwny się mi widok przedstawił: niewiasta cudnej urody w niezwykłym stroju, jakiegom jeszcze na białejgłowie nie oglądał, odzianą była w szatę białą nakształt długiej komży księżej, z jakiejś białej lekkiej tkaniny, a przepaska czerwona przecinając ją jakby na dwoje, uwydatniała wspaniałe kształty jej pięknego ciała; duże czarne oczy mimo zaczerwienienia od płaczu, świeciły blaskiem trudnym do przeniesienia dla innego wzroku. Głowę jej kształtną, o jasnem wyniosłem czole, przykrywały wianki i gierlandy niedbale tu i owdzie rozrzucone, atoli jakby z pewną wrodzoną niewieścią zalotnością, miasto ujmować, jeszcze jej wdzięku przydawały, ta szata śnieżna także była okryta kwiatami i rozmaitem zielem, a jakoś tak od niechcenia bez wszelakiej dbałości o symetrye i ozdobę, iż to samo już zawierało w sobie powab nieopisany; a nim się rozejrzałem dobrze po otworzeniu furty, zdało mi się z pierwszego razu, iż mam przed sobą jakąś kolumnę owiniętą bluszczem i powojem, przetykanym kwiatami, co ogrodnicy niektórzy dla ozdoby praktykują; lecz skoro ukazałem się w otwartej furtce, ów mniemany słupek żwawo podbiegł ku mnie i olśnił mię odrazu niezwyczajną krasą, a zadziwił tym ubiorem.

Na widok onej niewiasty kanarek, którego lekko trzymałem, wyrwawszy mi się z garści, usiadł na koralowych ustach niewiasty i począł je dzióbać, jakby świeżą wisienkę; pomiędzy ptaszkiem a nią, setne się rozpoczęły pieszczoty, a moje piękne zjawisko płacząc z radości, mówiło a raczej świegotało razem z ptaszkiem:

— O złota duszyczko mojej drogiej Justysi, jedynej siostrzyczki!..

A łzy radości ogromne dużych pereł toczyły się po pięknem jej obliczu. Nagle sadzając ptaszka pomiędzy kwiaty w bujnych warkoczach, podbiegła do mnie, a chwytając moją rękę, nimem ją miał czas wyrwać, gorąco do świeżych ustek cisnęła, wołając z uniesieniem:

— Dziękuję! dziękuję!..

Zanim miałem czas się opamiętać i wyrwać rękę, nadbiegła inna kobieta, nie powiem podeszła lub chorobliwa, ale zdawała się być frasunkiem wcielonym, chuda, wynędzniała, cała od stóp do głowy w czerni ubrana, przeto jednak ślady niepospolitych wdzięków, razem z podobieństwem do młodszej zachowała; szybkim krokiem, a niespokojnym zbliżając się do niej, padła jej w ramiona, wołając z niewypowiedzianą radością, rzewnym płaczem przerywaną:

— O moja droga Michasiu, moje jedyne dziecię, tyś przemówiła i płakała... powiedz, czy mię słuch nie myli?

— O tak miła matusiu, bo duszyczka Justysi odleciała odemnie, a teraz powraca.

— O Bogu chwała! Bogu chwała!

Mówiła starsza głosem przerywanym płaczem i obie niewiasty padły sobie w ramiona.

Widok był rzewny niesłychanie, może i jabym się rozpłakał, gdybym choć krztę pojmował, o co tym białogłowom chodziło, jednak w rzeczy ta cała scena i we mnie smutny sentyment wzbudziła i nie była bez zajęcia; pomimo to wszakże zwróciło to moją uwagę, iż stary Jan, ów zaufany sługa jegomości, wysunął się przez otwartą furtkę wirydarzyka.

Skoro się nacieszyły sobą kobiety, co mnie wszakże ten wylew afektów niepomału dziwił, bo widocznie jako razem mieszkające, często też przebywać ze sobą musiały, starsza białogłowa zwróciła się zdziwiona w stronę, gdzie stałem, jakby mnie dotąd nie zaobserwowała i zdziwionym wzrokiem zadała mi milcząco to pytanie:

— Co zacz i co tu robisz?..

Jakby pojmując to pytanie powstające w myśli starszej jejmości, odpowiem z przynależną atentacyą i pokłonem:

— Mieszkam w sąsiednim domu, a odziedziczywszy prawo przylegającego tu wirydarza po imćp. rejencie Sułdykowskim, przechadzając się ujrzałem tę śliczną ptaszynę osaczoną przez wró-

ble i inne ptactwo, któreby ją zadzióbało, bez mojego wstawienia...

— Ach! zadzióbałoby moją drogą Justysię!

Przerwała słodkim, pełnym łez głosem młodsza niewiasta tuląc ptaszę do różanych usteczek.

— To z imcipanem mecenasem Humilisem mam honor mówić.

Ozwała się starsza niewiasta uprzejmie, a ja pokłonem głębokim dałem jej twierdzącą odpowiedź, zdziwiony niepomału, zkądby o mnie wiedziała; poczem ona zwracając się do córki spyta:

— A podziękowałaś Michasiu jegomości?

— Tak matusiu... ale jeszcze raz raczy waszmość przyjąć moją najwyższą wdzięczność...

Rzekła mi słodko, chcąc widocznie zrobić mi piękny dyg wedle świeckiego obyczaju, gdy w tem jakby postrzegając swój dziwaczny strój, rzecze zapłoniona do matki, kryjąc się na jej łonie jak małe dziecię.

— Ależ droga matusiu, jakem to dziwacznie ubrana.

Dostrzegłszy tego zakłopotania niewiast, pokłoniwszy się głęboko, już chciałem odchodzić i skierowałem się do tej furty „zakazanego owocu“, kiedy nagle ukazał się w niej imćpan wojski; rozumie się, że mu *reme* zrobiłem, jako starszemu i po ustąpieniu jego z furty chciałem już odejść, gdy wzrok jego surowy przykuł mnie jak-

by skamieniałego na miejscu, a imćpan wojski spytał mnie:

— Co tu waść robisz?

Ale tak suchym i surowym głosem, jakiegom w ustach tego łagodnego człeka nigdy nie słyszał...

Nie wiem doprawdy, coby się stało dalej, gdyby nie ten nadspodziewany wypadek, że młoda niewiasta podbiegając do wojskiego, a objąwszy go za szyję, wołała radośnie:

— Tateńku! to jegomość obronił moją Justysię od zajadłości wróbli w tamtym wirydarzu i tak łaskaw, że mi ją przyniósł.

— O córuchno moja! moja Michałko jedyna, tyś już zdrowa... Boże bądź pochwalony, żeś nakoniec uweselił moją starość, wracając mi jedyne dziecię!..

Znów rozpoczęły się łzy i uściski z jegomością, jak przed chwilą pomiędzy dwoma niewiastami — starsza niewiasta także się do tego przyłączyła i spletli się wszystko troje w uściskach, jakby w jeden wianek, a na poły z płaczem wyrywały im się radośnie pojedyncze wyrazy:

— Mężu... żono... córko... tateńku... matuniu!..

Aż mnie mimowoli cześnie ciekły łzy z oczu; kiedy się już dowoli wszystko troje nacieszyli, jegomość podchodząc do mnie, wziął moją głowę oburącz, a całując mnie w czoło, rzecze z gorącym sentymentem:

— Nie wiesz waść, jakąś mimo swej wiedzy, oddał mi usługę... chcesz mi być bratem lub synem, będę dla cię tem, czem tylko zażądasz.

Po tych słowach padł mi w ramiona i omal nie udusił w silnym uścisku.

Tu już nawet przeszło wszelkie zdziwienie, bo acz znałem charakter imćpana wojskiego poważny, surowy, lubo z gruntu łagodny, zawsze jednak bacząc na jego stanowczość, prędzejby się można było od niego spodziewać szturchańca, niż pocałunku.

Całą tę scenę dotąd dla mnie niezrozumiałą, zakończyła młodsza niewiasta, szepcząc coś do ucha starszej, na co ta jej odpowiedziała głośno:

— I owszem moje dziecko, wiesz, że masz tyle pięknych sukien, na strojach ci przecie nie zbywa.

Obie kobiety uczyniły mi, nieco z pańska, dyg światowy, przyczem młodsza silnie się zapłoniła i odeszły.

Imćpan wojski idąc za niemi, jeszcze się zwrócił do mnie z wielką uprzejmością, mówiąc:

— Spodziewam się mości Humilisie, że nie raczysz zapominać moich niewiast, z której choć jednej oddałeś wielką przysługę, a może i obydwom, raczysz je niekiedy nawiedzać, masz klucz od furtki.

— Radę będziemy wmość panu.

Rzekła mi uprzejmie starsza, młodsza zaś po-

nowiła on dyg wdzięczny, jeszcze bardziej zarumieniona. Kanarek czyli kanarzyca raczyła się nawet do mnie swoim sposobem uśmiechnąć trzepocząc skrzydełkami.

I wszystko troje znikli mi z oczu, wchodząc do domu.

Zagroda to była równie milutka jak przyległy rejentowy wirydarzyk, nic w niej nie brakło, bo i niemniej starannie była utrzymana, a nadto miała dziwnie piękny domek drewniany, z okrąglaków brzozowych z korą, kształtnie zbudowany, a że czas to był letni, gustownie umajony ziołmi i kwiatami.

Jeszcze zapomniałem powiedzieć, iż jegomość odchodząc szepnął mi do ucha:

— Pamiętaj mój jegomość, iż dotąd los to wszystko zwierzył „*tibi soli*“ i że przed innymi zachowasz dyskrecyę.

Skoro się już wszystko troje schowało w dom, stanąłem jak osłupiały, czułem, jak to piękne widziadełko dziwnie mi się wszrubowuje do serca, bo długo odjąć nie mogłem oczu ze drzwi, przez które weszła.

Taka to była tajemnica „owocu zakazanego“, na poszanowanie którego przysiągłem rejentowi.

Ledwie ocknąłem się z tego wszystkiego, bom iście był jak senny, przecierałem oczy chcąc zbadać, czy to widziadło senne, czy na jawie?

Sama wszakże przyzwoitość odejść nakazy-

wała, więc ledwie nieledwie oderwałem się od tego miejsca, do którego jakby nadludzka siła mię przykowała, a odchodząc z żalem, doznałem pewnej trwogi na tę myśl, którą sobie powtarzałem w duchu:

— Oj czegoś straszno, bo ten ptaszek jest samiczką, a czwarta to już z rzędu w mem życiu, przysłowie zaś niesie: „do trzech razy sztuka“, od trzech też jako tako z bólem i frasunkiem wywinąłem się... Ej źle!

Minął zaledwie czas jakiś, a już błogosławiłem tę nową samicę moją zieloną kanareczkę, która, mówiąc nawiasem, ze swej strony także bardzo do mnie przylgnęła — iż stała się powodem wielu dla mnie chwil rozkosznych.

Po tym wypadku nie wiedziałem, jak sobie począć, bo chciało mi się bardzo nawiedzić te jejmoście, ale nie wiedziałem doprawdy, jak się wziąć do tego i już myślałem, z wielkim żalem moim, iż na tem się ta znajomość skończy. Suszyłem sobie głowę nad wszystkiem, w czem mi jegomość ścisłą tajemnicę zachować polecił i dla tego z boku dowiadywać się nie śmiałem, jaki stosunek zachodził między temi osobami, zapewne męża, żony i córki, skoro się tak tytułowali; jeżeli zaś w rzeczy samej tak było, do czegóż ta tajemnica, pod formą owocu zakazanego, zaprzy-

siężona przed Sułdykowskim, a potem wymagana przez samego jegomościa? te enigmata wielce mnie zaciekawiały i rozwiązania ich byłem żądny, przeto jednak u tych jejmości sam stawić się nie poważyłem.

Imćpan wojski od tego dnia dziwnego nabrał humoru, stał się żartobliwy, a krotofilny niemal, jak poczciwy rejent, drwinkował sobie i z domownikami i z kobietami i z palestrą, a nawet w sądzie i na ulicy, czemu, od lat tylu znając go kapryśnym, wszyscy się dziwowali, a w obozie przeciwnym rozpuszczono nieuczciwą wieść, iż się wojski rozpił. Nawet on dotąd pracowity jak wół, jakoś mniej się imał pracy, ja wszystko zań odrabiałem, atoli za wszystko przezemnie sprawione, oddawał mi dochody i solarium, dość zwykle znaczne, a kiedym się od przyjęcia odmawiał, zbywał mnie krótko, acz już teraz łaskawie:

— A znasz waćpan przypowiastkę — „Maciek zgotował, Maciek zjadł“ — pókim ja gotował, to waść nie liczyłeś, a teraz ty gotujesz i ty jedz.

Rosło mi wszystko w ręku i już jakbym zliczył, to bogatszym był od mojego ojca, więc nie chodziło mi o ojcowiznę, ale za przebaczenie pana ojca, dałbym i tę całą fortunę.

Ale wracam do tych jejmości, z któremi tak krótką zabrałem znajomość — owóż imćpan wojski rzekł mi jakoś w tydzień potem:

— A czemu to waść niełaskaw na moje jejmoście, dopominają się o waćpana.

Nie wypadało się wymawiać, a zresztą i nie miałem do tego powodu, bo mnie tam coś pociągało. Przybyłem wieczorkiem, bo tak mi jegomość polecił i zresztą dzień cały było się przy pracy. Przyjęto mnie najuprzejmiej, starsza jejmość protekcyonalnie i serdecznie, jak na taką matronę przystało, imćpanna Michalina z pewną rewerencyą i zachowaniem przystojności panieńskiej, ale przeto łaskawie i względnie. Panienka to była urodziwa i stateczna, a bez tego dziwacznego stroju, w jakim ją pierwszy raz ujrzałem, nadzwyczaj strojnie i godnie wyglądała, jakby królewna; co rozumu w tej młodej panience, tyle krain cudzych zwiedziła, bo jak obserwowałem, to z matką dużo wojażowały, a jak jęła opowiadać o zwiedzanych stronach, to iście mogłeś się zasłuchać, jakbyś się w mądrej księdze zaczytał. Posiadała też piękny talent muzyczny na harfie i gitarze, a u wielkich cudzoziemskich mistrzów się kształciła we wielu kunsztach.

Tak widząc tę jej wyższość nad sobą, jako symplaszek, a cale nie dworak, bom to w szary dotąd na pańskie pokoje nigdy nie uczęszczał, byłem wielce onieśmielony, ale te niewiasty tak mnie zbliżyć do siebie umiały, szczególniej młoda przez dziwną uprzejmość i wzięcie światowe, żem rychło był w tym domu jakby swój, a skoro

się bliżej poznaliśmy, panienka poczęła mnie uczyć na gitarze, w którym to kunszcie już nieco przy Faušci wyćwiczyłem się.

Tak minęła zima, panienka choć trochę melancholiczna, coraz wszakże rozweselała się i w końcu byliśmy już przyjaciółmi prawie; a przez myśl mi ani razu nie przyszło, abym kiedy miał się z nią rozłączyć albo żyć od tej miluchnej istotki w oddaleniu.

A któżby przewidział, iż owa straszna czarna godzina rychło uderzyć miała!

Jakoż już rok prawie mijał od owego przejścia w wirydarzu z nową samicą - kanarkiem, wszystko było jak najlepiej, cieszyłem się i szczyciłem łaską (a może za śmiało mówię) i afektem tej miłej panienki, która swoim bystrym rozumem wzniosła mię ze strony moralnej do swojej wysokości; nauczyła mnie na gitarze, trochę i na harfie, tak iż dueta grywać z nią mogłem, lub do jej cudnego śpiewu wtórować.

A jakoś oboje, jako może młodzi, nie pytaliśmy o jutro, gdy wtem spadł jak piorun z jasnego dotąd nieba, na nasze tak spokojne i szczęśliwe głowy.

Jakoś wypadło mi atentować w sąsiedztwie w krasnostawskiem, na sądach podkomorskich przy pewnej sprawie granicznej, a tym końcem na dni kilka wydalić się musiałem, a co najboleśniej, było opuścić moją pannę, która przy tej

pierwszej naszej rozłące bardzo mnie rzewnie żegnała. Nadspodzianie zabawić musiałem przeszło tydzień; wróciwszy po szczęśliwem ukończeniu sprawy, z obowiązku musiałem zdać z niej relacyę imćpanu wojskiemu.

Aż przeraziłem się zastawszy jegomościa srodze zmienionym, był prawie ponurszy i smutniejszy, niż w czasie kiedy go pierwszy raz poznałem. Wysłuchał mojej relacyi z pewnem roztargnieniem — w tem myślę sobie: jeszcze nic dziwnego, bo od pewnego czasu mnie wszystkie niemal sprawy zwierzywszy, mało w nie wglądał, ale humor go opuścił, a widoczna troska go trapiła. Ukończywszy relacyę, rzeknę, jak to było we zwyczaju.

— Czy ma jeszcze co jegomość do rozkazania?

— A czegoż waćpanu pilno, może do jejmości?

— A tak jest, chciałbym złożyć moją atencyę.

— Na ten raz możesz się waść nie spieszyć, bo właśnie wczora matka z córką, która nam jakoś niespodzianie zaniemogła, wyjechały do Wiednia do doktora... i nie tak prędko wrócą.

Ciężko jakoś szła mu ta mowa i podejrzewałem, iż mię zwodzi; ale serce mi się ścisnęło, czułem, że blednę i chwyciłem się dużej szafy, aby nie paść na ziemię.

Wojski spojrzał na mnie z pod oka jakoś smu-

tnie z kompasyą, ja zaś oprzytomniawszy spytałem:

— I kiedyż można się spodziewać jejmościów?

— Ha to człek wie, kiedy jedzie, a Bóg tylko, kiedy mu wrócić sądzono — odparł sentencyolnie wojski, potem dodał:

— A cóż tak waćpanu na tem zależy?

Zamilczałem na to pytanie, choć mi się serce rwało do szczerej odpowiedzi; zaś nadrabiając fantazyą, prawił na pozór obojętnie:

— Niech je Bóg prowadzić, a mieć w swojej łasce raczy, nam zaś należy ważniejszą kwestyę pertraktować: oto chciałem waści powiedzieć, iż czas nam wielki ostatecznie obliczyć się, bo acz miło mi i dobrze z tobą było one lat blizko ośm, ale czas się nam rozłączyć.

„Rozłączyć“, to słowo ostrzem mi w sercu zastrzęgło i pamiętam tyle, iż wybuchając jak dziecię głośnym płaczem, zawołam:

— Rozłączyć?.. a cóżem ja jegomości prze winił, iż mię odpędzacie od siebie?

Wojski na to moje wystąpienie sam się zaturbował wielce, pierwszy raz dostrzegłem łzy w tych poczciwych oczach, a powstawszy z miejsca przytulił mię do serca, a rzewnie wypowiadał:

— Ja ciebie mój chłopcze miałbym wypędzić?.. Ale widzisz, starzeję się, już mi czas wielki odpocząć, opuszczam ten zawód, któremu lat przeszło czterdzieści wiernie służyłem, jakoż

i wynagrodził mnie sowicie, a najwięcej przy twojej pracy... godnym i zdolnym jesteś prowadzić to dalej lepiej nademnie, zatem umyśliłem tobie to wszystko pozostawić, czemu lepiej niż ja podołasz, a nareszcie połowa tego, co posiadam, jako przez ciebie, twoją pracą zarobione, do ciebie należy...

— Imćpanie wojski — zawołam rozdrażniony do żywego — za co mnie tak poniżacie, przyszedłem tu do was nędzny jako żebrak, wyście ze mnie już pana uczynili, a possesionata i jeszcze teraz obsypujecie mnie datkami, których czuję, żem nie zasłużył... Idę, kiedy odpędzacie, wola to wasza, ale idę w tem co przyszedłem, a wybaczcie, iż niezasłużonego przyjąć nie mogę, bo to jałmużna!..

— Nikodemie! (pierwszy raz zwał mię po imieniu, a głowę moją przycisnął do zacnej swej piersi) ja mam tobie dawać jałmużnę, jabym cię chciał poniżać, ja, który cię kocham jak syna i gdyby mi Bóg syna zachował, nie chciałbym, aby był innym, ino do ciebie podobnym...

— Panie!.. ojcze!.. weźcie mnie za syna, ja nad życie miłuję waszą córkę imćpannę Michalinę, a bez niej żyćbym nie mógł!..

Zawołam we łzach u nóg wojskiego.

Stary nie podnosząc mnie nawet, zakrył twarz rękoma i z płaczem powiadał:

— O ja nieszczęśliwy!.. nietylko mnie ściga

ono *fatum*, lecz i innych a miłych sercu, moją smutną dolą obdzielam!

A podnosząc mnie od kolan swoich, rzekł smutno i rzewnie, ale stanowczo:

— Bóg mi świadkiem Nikodemie, żebym ci połowę duszy mojej oddał... weź całe mienie moje, byleś mię uwolnił od ciężaru gniotącego mię przez całe życie, ale czynić cię na wzór mój nieszczęśliwym przez całe życie nie mogę, nie, synu, tego nie wymagaj, niech *fatum* mnie ścigające kończy się na moim... na naszych grobach, ale tej bolesnej zarazy na innych szerzyć mi się nie godzi... wiedz, że i moja córka, moje jedyne dziecko w tobie rozmiłowana, ale...

I nie dokończył starzec, a zakrywszy twarz rękoma, załkał, jak dziecię.

Na ten smutny widok serce mi się ścisnęło, a już zabaczywszy własnego frasunku, ból tego zacnego i serdecznego starca duszę mi rozdzierał.

Skoro się uspokoił, rzeknę doń:

— Panie! wyście najwyższym, po Bogu, władcą waszego dziecięcia i najwyższym sędzią w jego sprawie, jakby nie było z zakrwawionem sercem, musiałbym się poddać twoim wyrokom; ale pozwól, że ośmielę się zapytać, dlaczegóż dobrowolnie stwarzacie dokoła siebie nieszczęście dwojące ludzi, kiedy jedno wasze słowo?..

— Bo to przekleństwo, które cięży na naszym rodzie, nie chcę dalej rozsiewać, niech już

my do dna wypijemy tę czarę goryczy, którą Bóg zesłał, aby się nie rozlewała na nowe pokolenia — owoż właśnie mój synu, żeście się rozmiłowali wspólnie z Michasią, rozłączyć się musicie... a wierz mi, że człek więcej przeboleć może w życiu, niźli zda się, słabemi siłami podoła...

— Dlaczegóż panie, pozwólcie zapytać, wątpicie o miłosierdziu bożem? Nieznane mi *fatum* ciążące nad wami, ale czegóż Bóg nie mocen jest odwrócić?.. Dlaczegóż dwom sercom zadajecie ciężkie tortury? — wypowiem mu błagalnie.

— Posłuchajże mię chłopcze — rozpoczął smutno, a łagodnie wojski — my już dawni przyjaciele, między nami nie ma tajemnicy, ażebyś zaś nie pomawiał mię, iż w tem wszystkiem kieruję się fantazyą i samowładztwem rodzicielskiem, opowiem ci smutną historyę mojego życia i ożenienia, a potem sam osądzisz, czyli mogę inaczej względem was postąpić i ażali działam tu wedle płochej zachcianki lub fantazyi, czyli raczej z chrześciańskiego punktu widzenia rzeczy, spełniam świętą powinność ojca i głowy rodziny?

Krótka historya smutnych przygód i ożenienia imćpana wojskiego podlaskiego, jakem ją słyszał z ust jego własnych.

„Nie będę się rozwodził (rozpoczął imćpan wojski) nad świetnością rodu naszego, bo i czem

że w rzeczy jest każda świetność szlachecka; każdy zaprawdę ród może jaśnieć na tyle, o ile w nim jest splendor cnoty i czynów *pro publico bono*, a ciemnieje występkiem obojętności i plugastwa, nie powiadając już o zbrodniach; a że tam jedni pochwycą snadniej królewszczyzny i beneficya rozmaite, a potomkowie się tem chełpią, toż jest pyszałkowstwo, które gruntownej zasługi nie stanowi.

„Ścisłowscy tedy, jak wielu naszej szlachty, z prawdziwą zasługą przesuwali się po tem oceanie sprawy publicznej w maleńkich łódkach, ale jak umieli, wielkie to powołanie służby krajowej od antenatów z dziada pradziada pełnili, ztąd to może jako niegłośnych, wielu heraldyków nas pominęło — ale nie o tem rzecz.

„Mój ojciec był z początku subdelegatem, następnie pisarzem, a w końcu podsędkiem i komornikiem wieluńskim, bo tam jest nasze gniazdo — sterał siły i zdrowie na ciężkiej pracy, a nas siedmioro dzieci, wprawdzie possesyonatów na połówce maleńkiej wioski, pozostawił. Ja się przy ojcu kształciłem w prawie i na lat kilka przed jego śmiercią zostałem wicerejentem, także wieluńskim; nie powiem, aby to pachło krescytywą, ale zawsze przystojna kondycya i było o co ręce zaczepić.

„Byliśmy z rodziną *** [1]) herbu Rogala stryja

[1]) Opuszczam nazwisko, jako należące do rodziny żyjącej, szanowanej. *Przyp. kopisty.*

herbowni, a to już samo stanowiło pewne pokrewieństwo, które jak się przekonasz, na dobre nam nie wyszło; rodzina to była można i senatorska, a właśnie pod ten czas w honorach i konsyderacyi. Cząsteczka onej naszej wioski wchodząca klinem w posiadłości obszerne ówczesnego dziedzica całej fortuny, imćpana podczaszego, była mu solą w oku, bo bez niej nie mógł zaokrąglić jednego klucza, jakoż i ziemia ta onąć z jedną *** w dom nasz przeszła, więc byliśmy podwójnie skoligaceni; co wszelako nie przeszkadzało, że imćpan podczaszy począł się tażać z nami sądownie o tę naszą mizeryę.

„Wiesz waść już z doświadczenia, jako u nas w prawie, na nieszczęście, możność popłaca, wtedy jeszcze było gorzej, jakoś opinia publiczna bardziej drzemała... koniec końców, że ojciec mój, aby tam jaką taką pozycyę licznej rodzinie zapewnić, którą tażając się z możniejszym jeszczeby pogorszył, zaniechawszy kroków prawnych, wioskę za psie pieniądze zbył podczaszemu, sam zaś widząc niemożność wyżywienia i edukowania swoich na urzędzie niepłatnym komornikowskim, objął kondycyę gubernatora *) dóbr podczaszyńskich, a razem i pełnomocnika czyli prokuratora do spraw prawnych.

---

*) „Gubernatorami“ dawniej zwali się rządcowie dóbr pańskich. *Przyp kopisty.*

„Tłukł się nieborak ojciec, jak szara gęś, na liche wyżywienie rodziny, aż zamordował się na tych kondycyach, gdyż to i majątków ziemskich ogrom, a sam podczaszy był pieniacz zawołany i sławny swojego czasu, więc spraw bez liku. Zatłukł się poprostu ojciec nieboszczyk, bo jeszcze nie tak podeszły w lata w grób się położył.

„Pozostałem tedy ja, acz nie stary, bo w dwudziestym czwartym roku, najstarszą głową rodziny, czworga jeszcze nieletnich, prawie drobiazgu, dwie bowiem siostry były już zamężne, ale za ludźmi cale miernego stanu; moje zaś wicerejentowstwo starczyło ledwie na lichę wyżywienie i jaką taką kontusinę, aby między ludźmi nie świecić na urzędzie łokciami, zatem propozycyę podczaszego, objęcia kondycyi po zmarłym ojcu, zrekusować mi się nie godziło.

„Jak tam się w to jarzmo wprzęgłem i jako ciężko mi było je dźwigać, już nie powiadam, alem przynajmniej moje rodzeństwo mógł wyżywić. Sam podczaszy był pan pyszny a dumny, a przytem niezmiernie chciwy i skąpy, rzeczy trudne do pogodzenia — lubił i parady wszelkie na zewnątrz; gdy chodziło o podjęcie panów i ludzi wogóle, od których coś mu zależało, zbytek się wylewał szerokiemi strugami — lecz za to gdzie można było odjąć od ust zgłodniałych domowników, wydrzeć co komu przez pieniactwo, przed niczem się takiem nie cofnął. A despotą

był w domu niesłychanym, jego żona sama, pobożna, a pokorna kobiecina, była świętą a istną męczennicą na ziemi — zaprawdę, jeżeli miała jakie grzechy, to już czyściec w tem życiu przebyła.

„Nieszczęście mieć chciało, iż nie była urodziwą, a ożenił się z nią podczaszy dla znacznego wiana i parenteli — a prawie nie żył z nią w poczciwości małżeńskiej, sam otoczony rozpustą i na bezprawia wydany; mieli tylko jedną córkę.

„Pieniactwo podczaszego namnożyło spraw tyle, że i podołać im było trudno, ztąd wiele się poprzegrywało i chwiać się poczęła fortuna; podczaszy, aby jako tako deficyta podłatać a sprawy popchać, starał się o urząd marszałka trybunału. Na urzęda te obierano zazwyczaj ludzi godnych i zacności wypróbowanej, atoli „*nulla regula sine exceptione*“ zdarza się choć rzadko, ale zdarza — i jak zaczął podczaszy poić, traktować, do paranteli i koligacyi kołatać, tak zręcznie wszystko namotał, iż go marszałkiem obrano. Zapewne, że marszałek spraw swoich sam nie sądził, a wedle prawa nie mogły być nawet wprowadzane w kadencyi jego urzędowania, ale jako zwykle jest „*do ut des*“, zawsze tam sobie skarbił ludzi na przyszłość.

„Z onem marszałkowaniem rozpoczęły się moje najcięższe frasunki: bo jakby nie było marszałek trybunału winien był mieć własne zdanie, a pod-

czaszy przy światowej ogładzie, był płytkiego umysłu i tępego objęcia, ja to byłem niejako ukrytą sprężyną całego marszałkowania, musiałem, jak tam można było, skrycie wywiadywać się o sprawach na wokandzie będących, wypisywać mu na karteluszkach opinie, sentencye, zdania, głosy etc., których się uczył na pamięć.

„Czego zaś niedostawało mu w głowie, nadrabiał przepychem i spezą, od rana do wieczora lusztyki, hulanki, dwór okazały, jakby królewski, chociaż wiedziano powszechnie, że ostatkami goni — co nam domowym tembardziej było nie tajno— ale przeto ludzie schodzili się weselić, zawsze tam rojno było jak w ulu. Nieraz mi to na myśl przychodzi, że ludzie w takich razach są jako te wróble bezmyślne i obojętne, gotowe świegotać wesoło nad trumną, a nawet pochwycić z niej ziarnko, które wiatr tam zaprószy; tak i gawiedź nie bacząc kto ją bawi, jakim kosztem, czy za cenę ostatniego grosza, a własnej hańby i krzywdy rodziny i bliźnich, wszędzie tłumnie się cisną, gdzie ino kurzy się z komina.

„Rozumie się, że żona nieszczęsna i jedyna córka podczaszego Justysia, słynna powabem i urodą, były nieszczęsne ofiary jego pychy i niecnych zabiegów. Młodą, niewinną dziewczynę otaczał ludźmi niemoralnymi, rozpustnymi strasznie, szukając w bogatem jej postanowieniu naprawy

swych podupadłych interesów — były niebogi istne męczennice!

„Następował moment fatalny, limita trybunału, czyli jaśniej mówiąc ciężki obrachunek sumienia, a raczej szkatuły marszałkowskiej, która była absolutnie pustą — co tu długo gadać, marszałek nie miał o czem wyjechać z miasta. Wiadomo zaś jest, jako konstytucya z r. 1726 głosi, że marszałek i deputaci nie wprzód wyjeżdżać mają z miejsca kadencyi, dopóki kupców i rzemieślników nie zaspokoją; dozwala oraz prawo obywatelom miasta przed limitą trybunału na dwa tygodnie podać do izby rachunki swoich pretensyj i z regestru *„poenatium“* dopomnieć się *„etiam ex propositione“*.

„Owoż wstyd wielki, bo rachunki te były na stole trybunalskim, tylko powaga marszałkowska schowała je do kieszeni; regestr zaś *„poenalium“* dalekoby nie starczył, przyszłaby rzecz przed ziemstwo do egzekucyi — wstyd mosanie wierutny dla takiego dygnitarza, choć się w mysią jamę schowaj. Kilka dni pozostawało do limity trybunału, ziemstwo następnie *ex officio* obejmowało najwyższą jurysdykcyę, a sędzia ówczesny, człek prawy a stateczny, potępiał owo sowizdrzalstwo pana marszałka.

„Przyparty do muru, ten niecny człek, umyślił ratować się spokojem i przyszłością własnego dziecka, *alias* Judaszowym niecnym procederem,

sprzedać tę niewinną i czystą duszę. Pomiędzy nulaszczymi adherentami marszałka, był kasztelan słoński, starzec już siedmdziesięcioletni, zużyty ciałem i duszą, rozpustnik, libertyn i bezbożny— wszakże znany z niezliczonych bogactw; córkę mu poprostu zaprzedał podczaszy i najniespodzianiej na trzy dni przed limitą trybunału, nastąpiła solenna deklaracya o rękę Justysi, rozumie się, akceptowana przez uczciwego pana ojca — a rachunki zostały wycofane. Ile zaś krom tego, jak suponuje, wpłynęło do szkatuły podczaszego za sprzedaż własnego dziecka — jedynaczki? — to mi nie jest wiadomem.

„Przymierała z rozpaczy biedna dziewczyna, stając się w szesnastu latach życia, ofiarą pożądliwości starca, a sromotnej chciwości swojego rodzica. Podwójnie dojmowało ją to nieszczęście, bo wyznać muszę, iż oboje młodzi uczuliśmy ku sobie afekt nieprzeparty; ja prócz pracy nie znając innej rozrywki, nad towarzystwo tych nieszczęsnych prześladowanych niewiast — one zaś we mnie widziały jedyną acz słabą opiekę.

„Poznałeś zapewne waść wrażliwą naturę mojej córki Michasi, odziedziczyła ją ona po swej matce podczaszance, a mojej żonie. Biedną dziewczynę literalnie wyniesiono napół żywą z onej ceremonii ohydnych konkurów na śmiertelne prawie łoże, z którego ją młode siły zaledwie po upływie pięciu niedziel podniosły.

„Biedna matka zrozpaczona, wiła się u nóg bezlitośnego małżonka, a wyrodnego [illegible], demonstrując mu stan jedynego dziecięcia, lecz nic tego kamiennego, nieludzkiego iście serca wzruszyć nie było w stanie, sam nieraz słyszałem jego bezecne repliki:

— „Musi być żoną kasztelana, to już mój dekret nieodwołany.

— „Ależ niegodziwy człecze, spójrz na stan zdrowia tej nieszczęsnej twojej ofiary, ona prędzej położy się na mary, niżli stanie na ślubnym kobiercu — woła załamując ręce zdesperowana niewiasta.

— „Kobierzec, czy mary, to mi wszystko jedno, bo te i owe skwitują rachunki między mną a kasztelanem, inaczej psu oczy-bym zaprzedał i stracił opinię u świata — odpowiadał ten cynik z bezczelną oziębłością.

„Znów innych scen małżeńskich bywałem mimowolnym świadkiem.

— „Mężu, wniosłam ci 600.000 wiana, zabierz je, chętnie zkwituję ze wszystkiego, tylko mi zostaw dziecię, tę jedyną moję pociechę, nie gub jej młodości, a niezawodnie i życia.

— „Moja jejmość, jeżeli potrafisz odszukać swe wiano, którego w całym stoku deportatów, ewikacyi i rozmaitych prawnych prewerykacyi, którego i sam djabeł nie znajdzie, to je zabierz z na-

wiązką — odpowiadał z piekielnem szyderstwem ten bezwstydnik o wytartem czole.

„Nie masz słów, któreby zdolne były opisać bezczelność podczaszego, a boleść tych dwojga niewiast. Nie powiem już o sobie nieszczęsnym, bom tę prześladowaną dziewkę miłował nad życie; nieraz szatan podmuchiwał mi występne podszepty, chciałem zabić tego potwora ojca, aby uratować tę niewinną ofiarę, miotałem się jak szalony, doświadczając na sobie, jako *„vana sine viribus ira“* (próżny gniew bezsilnego!)

„Ale że to on czas nielitościwy nie stoi zarówno dla szczęśliwych, jak i prześladowanych, już dwa tygodnie oddzielało tylko podczaszankę od wesela, słuszniej powiem, onego całopalenia, była nieszczęsna, jakby skazany na śmierć, oczekujący fatalnego wyroku. Tu dopiero widzę, jako litościwe jest nasze mądre prawo, iż wszelkie gardłowe wyroki każe *„in triduo“* wykonywać, aby nieszczęsnego delikwenta na wolnem nie piec ogniu. Już tedy i tak ów wszetecznik kasztelan zjechał i miał do wesela zabawić, sute zaś do festynu przygotowania robiły się jego kosztem, gdyż koło podczaszego zbyt już było krucho.

„Atoli niespodzianie rozpaczliwa, niezaradna pozycya, dodała nieszczęsnej, a słabej matce sił nadludzkich — i ażeby długo nie opowiadać, zakonkluduję, w krótkich słowach, co zaszło na trzy dni przed projektowanem weselem z kaszte-

lanem — mniejsza o środki i sposoby jakiemi się to uskuteczniło:

„Wzięliśmy jednej nocy ślub z Justysią, dał nam go potajemnie zacny i bogobojny staruszek ksiądz wikary, wuj cioteczny podczaszyny, który bolał nad tem jej katowskiem prześladowaniem.

„Na szczęście, na parę miesięcy przed tem, odziedziczyłem niewielki fundusik po zmarłym bezdzietnym stryju, mecenasie piotrkowskim: ta kwotka, acz nie tak znaczna, zabezpieczyła i ułatwiła nam ucieczkę.

„Dotąd mi nie wiadomo, co się potem działo w domu tego nikczemnego ojca, zawiedzionego w podłych rachubach, ale zdaje mi się, że obraz nawet piekła samego, słaboby jeszcze wystawił całe to zaburzenie, jakie nasza ucieczka sprawiła. Jakoś Bóg nas strzegł, bo nie ulega wątpieniu, że oblubieniec i zacny jego teść niedoszły, musieli za nami liczną pogoń wyprawić.

„We troje, z żoną i jej matką, dostaliśmy się szczęśliwie, aż na Pokucie; tam miała matka nasza poczciwą krewnę, niejaką porucznikową Slaską, wdowę, już staruszkę, bezdzietną, siedzącą samotnie na szczupłej wiosce, niebogatą, ale rządną i dostatnią — ta nas wszystko troje przyjęła z otwartemi rękoma, rada, iż jej samotność przerywamy — bo okolica ta była pustą, a sąsiedztw żadnych nie miała.

„Było nam, jak w raju, Boga chwaląc, poczę-

liśmy zapominać, że jest nasz *persecutor* podczaszy na świecie. Cieszyliśmy się z młodą żoną niewymownie zapowiadającem się rodzicielstwem i czyli był jaki inny świat za naszemi górami? wiedzieć o tem nie chcieliśmy... Tak nam szczęśliwie rok blizko przeminął.

„Gdy wtem pewnej fatalnej nocy cała zagroda, wszelki dobytek biednej gościnnej wdowy stanął w płomieniu, podpalony naraz z kilku końców. Nasz domek otoczyła liczna siepaczy zgraja, na czele której poznałem podczaszego.

„Co się dalej stało, powiedzieć nie umiem, bo nie miałem czasu przeciągnąć ręki ku obronie, gdy przemagającą siłą mnie związano i srodze katować poczęto...

„W ile mianowicie czasu odzyskałem przytomność i tego nie wiem, lecz upamiętałem się dopiero w nędznej chacie chłopskiej, zbity niemiłosiernie, żem się na suchem posłaniu obrócić nie mógł.

„Na drugim tapczanie o parę kroków odemnie dogorywała w ciężkich boleściach owa staruszka, gościnna wdowa i znękanego a poczciwego ducha oddała w kilka godzin po odzyskaniu przezemnie przytomności.

„Od litościwych ludzi, co mię przygarnęli, dowiedziałem się, że ci zbóje uwieźli ze sobą obie kobiety, moją żonę i matkę. Rozumie się, iż nie-

wczesne nawet było pytanie, które mi do ust rozpacz podała:

— „Dokąd?

— „A no rozumie się wielkim gościńcem, bo była ich wielka chmara, może do sta koni, toby się na małych drogach nie pomieścili — odpowiedziano mi.

„Jeszcze parę niedziel musiałem przeleżeć w onej niemocy, która nie tak boleśnie trapiła ciało, ile ducha skazanego na bezczynność w tak stanowczej chwili, kiedy moja najdroższa istota zprześladowana, może zmęczona, najwięcej potrzebowała mojego ramienia, mojej pomocy. O zaprawdę, że wielkie męki, nawet piekielne katusze, któremi ludzi straszą, wydadzą się ukąszeniem komara, w porównaniu z tem, co wycierpiałem!..

„Nakoniec po paru tygodniach, skoro jako tako zwlec się mogłem z tego madejowego łoża, chciałem biedz, lecieć na skrzydłach najskorszego ptaka, na pomoc i ratunek mojej jedynej; a tu tymczasem okropny fatalizm ze zgrzytem szatańskiego szyderstwa, rzucał mi te pytania:

— „Dokąd? o czem? jakiemi siłami?

„Powlókłem się w łachmanach, udzielonych przez miłosierdzie biedaków, z kęsem suchego chleba w torbie, o upadających siłach.

„Dozwól, że pominę szczegóły tej mojej iście golgotowej wędrówki.

„Szedłem o żebranym chlebie, pytając ludzi po drodze, którzy mnie brali za szalonego, bo już ślad zbrodniarzy zastygł i zatarł się w pamięci ludzkiej. Wszystkim białogłowom napotykany patrzyłem badawczo w oczy, ażali nie dojrzę mojej Justysi lub jej matki, obserwowałem, że ludzie spoglądali na mnie litośnie, jak na zmysłów pozbawionego.

„Tym trybem podróżując, a w rzeczy nie wiedząc dokąd idę, bo i któżby mi powiedział gdzie on skarb mój ukryto — przymierając z frasunku ciężkiego, dla wyżywienia lichego, stawałem pod kościołami i żebrząc po drogach; aż po paru miesiącach tej cierniowej włóczęgi doszedłem do Sieradza, gdzie mój brat młodszy Szymon był pisarzem ziemskim.

„Tego brata własną pracą i staraniem wyprowadziłem na ludzi; prawda iż mi się poczciwie wypłacił; umarł biedak przed kilku laty, a pisarzował po kilkakroć na trybunale piotrkowskim.

„Szymon poczciwy przygarnął mnie jak ojciec, był mi wielką pomocą, a osłodą tej niedoli ciężkiej. Cóż ztąd, kiedy pomimo starań i zabiegów nie mogliśmy odpytać nieszczęsnych niewiast, wpadły jak w wodę. Podczaszy przed kredytorami uciekł na głęboką Ukrainę, gdzie miał tam wioskę jakąś i śladu już po nim nie było, kasztelan umarł; z jakich zaś drabów składała się ona

zbójecka wyprawa, ani jednego odpytać nie mogliśmy.

„Za protekcyą Szymona, mającego wziętość i zachowanie u ludzi, zostałem wice-rejentem w ziemstwie sieradzkiem przy rejencie poczciwym Sudyłkowskim, którego znasz. Pomimo ciężkiego frasunku i nieopisanej boleści, trzeba było coś robić, aby ludziom nie być ciężarem".

— A czemuż jegomość sądownie krzywd swoich nie dochodził i o gwałt się nie upomniał mając prawników takich jak imćp. Sudyłkowski za sobą; przecie tu był gwałt i najazd domu? — spytałem wojskiego rozrzewniony do głębi opowiadaniem jego smutków.

Uśmiechnął się gorzko narrator i odparł mi:

— Słuchajno chłopcze, żeby mi to kto inny, jaki frajer powiedział, nie dziwowałbym się, ale waść, prawnik zawołany, któryć obronił sprawy takiej jak Tarłów, coć już stanie za kolumnę sławy, to mi dziwno. Bo sam powiedz, co tu można było zrobić i z jakiego fundamentu?

— Ano, pozwać podczaszego o gwałt, najechanie domu, rapt dokonany nad bezbronnemi niewiastami, w wieży go *in fundo* osadzić, indagować, a musiałby w końcu wyśpiewać, gdzie podział niewiasty.

— A zmiłujże się — przerwie mi wojski — czy kpisz, czy drogi pytasz! Nie masz tu gwałtu ze strony podczaszego, który wobec prawa wy-

dobywał własną małoletnią córkę z rąk jej uwodziciela, a mógł prędzej mnie pozwać z artykułu 2 rozdziału 11, jako gwałtownika panieńskiego i gardło mi wziąć — mniejsza tam było o nie, dałbym naówczas i sto głów, gdybym je miał, pod miecz katowski, bo łatwo się domyślisz, że mi życie to obrzydło, alem jedyny był na świecie opiekun tych zatraconych niewiast, a może i trzeciej istotki, bo jak ci wiadomo, żona moja miała być matką.

— Byłeś jegomość tedy jej mężem — rozpocznę znów, chcąc w imaginacyi mojej ratować tego nieszczęśliwego człeka.

— Co się z tobą dzieje mości Nikodemie, jesteś w takim sztosie, iżbyś najlichszej sprawy nie obronił; wiesz, że to bywa z zawołanymi prawnikami. A rozważ tedy, coby było, gdybym moją żonę przez prawo odszukiwał, na to, aby razem ze mną gardło dała...

— Co jegomość prawisz? — zawołam zdziwiony.

— Zapomniałeś chyba rozdz. 24 art. 50, jam to wszystko z okazyi tych moich nieszczęść dobrze wertował, a mogę ci powtórzyć z pamięci, w której to dobrze zastrzegło; owóż artykuł ten „o karaniu cudzołóstwa“ między innemi tak opiewa: że mąż cudzołożnika z żoną swą pojmawszy ma wieść do urzędu grodzkiego — a tam pokazawszy to przed urzędem jawnie, prawdziwie

kogo z nią zastał, ma ich samotrzeć albo z ludźmi postronnymi, którzyby przy tem zastaniu i pojmaniu byli, albo z sługami i czeladzią domową, poprzysiądz, „a oni obie gardłem karani być mają“. Toż się ma rozumieć i „o pannie“ (§ 2), któraby bojaźń bożą i wstyd odłożywszy na stronę, wszetecznie mieszkała“ etc.

— Teraz zrozumiesz waść, iż gdybym prawnie odszukiwał Justysi, chyba na to, aby razem ze mną sromotnie gardło dała.

— A przecie byliście waćpaństwo ślubni małżonkowie — zaobserwowałem.

— Człowieku, opamiętaj się — rzecze wojski — ślub małoletniej bez woli ojca, bez zapowiedzi lub dyspensy, słowem bez zachowania form prawnych ze strony kościoła, zresztą porwanie dziewki, to jeszcze kryminał nowy, tu kilka głów może polecieć. Do tego ci dodam, że jeszczeby można wygrać coś na przychylności sądów konsystorskich w tej sprawie, gdyby ksiądz sprawca onego potajemnego ślubu wyznał dobrowolnie swą winę i odniósł za nią karę kościelną; ale przewidzieli to łotry, bo razem z niewiastami i ksiądz i dwaj świadkowie starzy słudzy podczaszego wpadli jak w wodę.

— Zaprawdę, wszystko z szatańskim pomysłem było splątane — zakończył wojski ocierając pot z czoła.

Po ukończeniu tej prawnej dysputy, z której

co prawda nie wyszedłem zwycięzko, wojski objął przerwane opowiadanie:

„Zaledwie po trzech latach od onego raptu i najazdu podczaszego na dom nieszczęsnej wdowy, nakoniec (nie będę się zastanawiał nad szczegółami, bobym nieprędko skończył), dopytałem za pomocą dobrych ludzi tyle, że żonę moją z matką osadzono w klasztorze PP. Karmelitanek w Dubnie na Wołyniu. Ale był to tylko czysty popyt, bo chociaż zaraz przez stosunki i protekcyę łaskawych przeniosłem się do Dubna na urząd pisarza grodzkiego, lecz jeno to mi z tego przyszło, iż całe dnie i noce krążyłem około klasztoru, który głuchy był na jęk mojego serca, jak jego grube mury. Dość powiedzieć, że biskupem łuckim był brat stryjeczny podczaszego, człowiek despotyczny i zapamiętały, a przeoryszą PP. Karmelitanek siostra rodzona biskupa, kobieta dumna i nadzwyczaj surowa. Widzisz, jak to się wszystko dziwnie a fatalnie zaplątało tak, iż wobec onych grawaminów ja bezsilny musiałem tylko imaginacyą boleć nad nieznanemi cierpieniami mojej drogiej żony.

„Po odszukaniu owej kryjówki, gdzie moją Justysię zachowano, jeszcze blizko lat parę przenosiłem owe katusze, przy których bledną męki Tantalowe. Czekałem przeto, a to jest moje gruntowne przekonanie, iż kto czeka w Bogu, a z za-

ufaniem w święte Jego miłosierdzie, zawsze doczeka!

„Jakoż i mnie Bóg pocieszył po tylu strapieniach: podczaszy umarł, jego krewnego biskupa przeniesiono na inną katedrę, a ja nakoniec za łaską bożą i pomocą dobrych ludzi, wydobyłem moją Justysię z klasztoru, tego piekielnego więzienia“.

Tu biedny starzec zakrył twarz rękoma, a przez łzy mówić nie mógł długo; uspokoiwszy się, smutnie prawił:

„Lecz niestety, ta moja najdroższa, która świeżym kwiatkiem wstąpiła do tego grobu za życia, wyszła zeń istnym kościotrupem; czaszkę miała z włosów ogołoconą, ledwie jakaś brunatna skóra pokrywała jej kości, trzymana w odosobnieniu, mówić prawie zapomniała. Wszelkich znęcań się nad nią opisywać nie będę, bo to tak straszne i nieludzkie, że z ust bez okropnego wstrętu dobyć się nie mogą!..

„Powiadają, iż *„homo homini lupus“*, atoli zaprawdę nie masz sroższej wilczycy nad białogłowę pastwiącą się nad inną; ztąd nasze zakony niewieście są daleko surowsze od męzkich.

„Zaraz po pochwyceniu obydwóch niewiast z podpalonego domu Slaskiej, siepacze rozłączyli matkę z córką tak, iż jedna o drugiej nic nie wiedziały, chociaż znajdowały się w jednym kla-

sztorze, przywiezione odzielnie, jak się to później pokazało.

„W kilka dni po osadzeniu w klasztorze moja żona powiła dziecię; tu zaś okrucieństwo tych panien świętych doszło do tego stopnia, że nie dały matce oglądać własnego dziecięcia, a nawet po wyjściu z klasztoru nie wiedziała, jakiej płci było. Dopiero, kiedym ja się upomniał stanowczo, pokazano w sklepach klasztornych, gdzie grzebią zakonnice, szkielecik chłopięcia, a dwie starsze mniszki, bowiem owa słodziuchna przeorysza, siostra biskupa, już nie żyła, zaprzysięgły, iż to był trup dziecięcia Justyny.

„Po roku pobytu, a raczej uwięzienia w jakiejś komórce, wyprowadzono ją po raz pierwszy, aby w kaplicy ukazać trupa matki. Uwolnij waść od komentarzy nad tą niedolą i męczeństwem tej niewinnej istoty! — dodał wojski, łzy ocierając, które grubemi kroplami spadały mu z oczu.

Nie wytrzymałem w pasyi, a zawołałem:

— Dziwi mnie, że jegomość tak zawołany prawnik, a nie pozwał tych wszystkich klechów do nunciatury.

— Małoś widzę ekspertus, mój młodzieńcze — odparł wojski — czy widziałeś, aby kto u nas wygrał podobną sprawę? radziłem ci się ja doświadczeńszych prawników, mając ten sam młodociany zapał, ale mię odwiedli od tej imprezy, z obawy, aby żonę moją za „*incestum*“ nie ska-

zano na dożywotnią pokutę w klasztorze, tak jak onego księdza, który nam ślub dawał — ten umarł na rekolekcyach u kapucynów w Ostrogu. Zachciałeś — „kruk krukowi oka nie wydzióbie!“

„Zdawało się, że już po tylu inwektywach, biedną Justysię pozostawią przynajmniej w spokoju i dadzą jej jako tako pędzić ów żywot przymusowy, ale gdzie tam, święte panienki chciały ją zmusić do wykonania ślubów zakonnych, a to jedynie, aby obwarować jej powrót do świata i zniweczyć śluby nasze małżeńskie, przy których twardo stojąc kobieta nie dała się skusić ani zbytkiem i wygodami, ani ciężkiem prześladowaniem w lochach, któremi ją dla większej dokuczliwości na przemiany traktowały panny te pobożne.

„Wydostawszy moją jedyną Justysię z tej ciężkiej katuszy — oboje radzi z nowego połączenia zapomnieliśmy owych ciężkich prześladowań, a niemal przebaczyliśmy w imię Boga miłości i pokoju. Wszystko nam się zdawało w przyszłości uśmiechać, jakbyśmy na nowo na świat przyszli. Jako człowiek zawiązujący rodzinę, z obowiązku zaprzątnąłem się około wywindykowania wiana matki mojej żony, o którem to bezwstydny podczaszy powiadał, jakoby „zawikłał je w takim tłoku deportatów, ewikcyi etc., że go i sam djabeł nie znajdzie“; owoż pokazało się, że „nie taki straszny djabeł jak go malują“ — bo sza-

cherka prócz tego, że sama przez się podła, ale tak głupio przeprowadzona przez nędznych jurów, iż wszystko z nawiązką wydarłem.

„Wszystko więc uśmiechało się, ale zdrowie mojej najdroższej noszące ciężkie ślady traktamentów zakonnych, poprawić się nie mogło. Lekarze doradzili jej cieplejszy klimat, stać ją było na ten zbytek, więc parę zim przepędziliśmy we Włoszech, musiałem dla zdrowia mojej jedynej przepróżnować, jednak w tem wojażu gdziekolwiek tylko zawadziłem o sądy lub akademie prawne, wszędzie starałem się coś sobie pochwytać.

„We dwa lata stęsknieni za krajem, wróciliśmy doń z rozkoszą. Żona mi powiła ślicznego synaczka — ja żeby fartuszkowym chlebem nie żyć, zostałem patronem przy trybunale Piotrkowskim. Szło mi dobrze, Bóg mnie nawiedzał, synek chował się szczęśliwie i już się sposobił do szkół, gdy wtem Najwyższemu podobało się ciężko nas nawiedzić, chłopiec rażony od pioruna w dzień prawie jasny, osierocił nas nieszczęsnych rodziców.

„Biedna żona znów ciężko zapadła na zdrowiu; i znów ordynowali jej medycy klimat cieplejszy i morskie kąpiele, i znów do krajów cieplejszych przenieśliśmy się; tam w lat parę Bóg nas pocieszył dwoma bliźniątkami — obie córeczki, nazwane na chrzcie św. od imion naszych „Michał i Justyna“ — Michasią i Justysią.

„Że lekarze utrzymywali, iż tak dla matki jako dla córek cieplejsza strefa będzie pożądaną dla zdrowia, pozostawiłem je we Włoszech, sam na kadencye jeździłem na trybunał, to znów do nich przybywałem.

„Dzieweczki dziwnie do siebie podobne, tak jako tę jednę z nich Michasię widzisz, rosły świeże jak dwa na wiosnę rozwinięte kwiatki, a kochały się niesłychanie pomiędzy sobą; dziwna w nich była jakaś wspólność natury i usposobień, jeżeli jedną cokolwiek zabolało, druga to żywo odczuła, a zdawało się, iż jedna drugą dopełnia, iż jedna bez drugiej żyćby nie mogła.

„Jakoż trzeba nieszczęścia, iż kąpiąc się w morzu Justysia biedna utonęła, a Michasia z żalu po siostrze prawie od zmysłów odeszła. Niemal cały świat objechaliśmy szukając dla tego ostatniego dziecka ratunku; tyle uzyskaliśmy nakoniec, iż żal ten jej głęboki przeszedł w stały rodzaj melancholii; otaczała się tylko kwiatami i ptaszkami, w nich szukała duszy utraconej siostry, krom tego nic ją na zewnątrz nie zajmowało, wszystko było obojętnem.

„Medycy najsławniejsi przepowiadali, że jedno jakieś wielkie duchowe wstrząśnienie może ją z czasem uleczyć, lecz żaden nie oznaczał, jak i kiedy — pewien nawet Włoch w Rzymie, lekarz nadworny Ojca św. szepnął mi, że może to kiedyś nastąpić przy śmierci jej matki, z którą za-

wsze była nierozłączna — jam truchlał o tę chwilę, bo i żona moja tym frasunkiem ciągle trawiona, podupadała na zdrowiu... O smutneż to moje życie!

„Widziałeś waść jak owo *crisis* nastąpiło niespodzianie z powodu zbawionego przez ciebie kanarka. Byłeś świadkiem jak moje dziewczę odżyło, jak mię wskrzeszać poczęło zamierającego tym smutkiem domowym... Ale niestety, krótką była ta nasza pociecha, Michasia biedna znów zaczyna wpadać w owy stan apatyi...

„Ot domyśl się waść reszty — rzekł wojski łzę ocierając — skończyłem tę smutną opowiedź mojego cierniowego żywota!!“..

Dosłuchawszy tej smutnej opowieści wojskiego, gorzkiemi łzami zalany, upadłem mu do nóg i wypowiem:

— Ojcze mój, któryś mnie nędznego włóczęgę przygarnął do siebie, obsypał mnie dostatkami, oświecił mój rozum, bądź mi ojcem do końca, powierz mi szczęście swojego dziecka, swojej Michasi, którą miłuję nad życie!.. Bóg się ulituje nakoniec, a szczęściem waszego dziecka, które za jedyny cel życia mojego postawię, nagrodzi cierpienia jego rodziców.

— Mój chłopcze nie zataję ci tego, że mieć cię za syna jest moją jedyną ambicyą i życze-

niem gorącem serca mojego, bo znam cię jako prawego, mądrego, a statecznego kawalera. A pomimo to zadość uczynić nie mogę twej woli, lubo i to mi wiadome, że takowa byłaby po myśli mojego jedynego dziecięcia, a przez to samo i jej nieszczęsnej matki.

— Mówcie więc, jakie są kondycye do zdobycia ręki i serca waszego dziecka, każdej zadość uczynię, przed żadną się nie cofnę, choćbym miał to życiem przypłacić! — zawołam w uniesieniu.

Wojski spojrzał na mnie załzawionem okiem i z ciężkim smutkiem prawił:

— Zwierzyłem ci historyę mojego frasobliwego żywota jedynie w tym celu, abym cię przeświadczył o świętej prawdzie słów Pisma, „iż błogosławieństwo matki buduje domy, przekleństwo ojca obala je“. Widzisz na mnie, co może przekleństwo takiego wyrodnego i nikczemnego ojca, jakim był podczaszy, że pomimo dostatków, pracy, bogobojnego, na ile stać nas grzesznych było, żywota, nic się nam nie wiodło, i ja stary, znękany trudem i nieszczęściami, patrzeć muszę na dogasającą lampę życia mojej najdroższej jedynaczki, odtrącić od niej tego, którego umiłowało jej świeże, wiosenne serce i mimowoli stać się okrutnym, aby tę ciężącą nad nami klątwę na nowe nie przenosić pokolenia...

— Panie a ojcze, toż grzeszycie zwątpieniem

o miłosierdziu boskiem, gotując dwojgu ludziom nieszczęście.

— Będę z tobą otwartym do końca: my z Sułdykowskim starzy przyjaciele nie mamy tajemnic jeden przed drugim od młodości, wiem przez niego, że ty ojcowego błogosławieństwa nie zdobędziesz.... a więc, synu, mnożyć przekleństwa na niewinne głowy z pokolenia w pokolenie nie godzi się... lepiej przecierpmy, niech gniew boski na nas się skończy.

— Czyliż nie ma na to rady, kto wie...

Rozpocząłem wesoło, w tem mi przerwie wojski, kiwając głową z oburzeniem.

— Tegom się po waćpanu nie spodziewał... odgadłem grzeszną myśl twoją, że starego ojca przeżyjesz... wybacz waść, ale wiele straciłeś od tej chwili w mojej dotąd wysokiej o tobie opinii.

— Mości wojski! — przerwę z impetem, zapominając o należytym mu szacunku — jakiem prawem poważyliście się myśl tak grzeszną a nikczemną, od której daleki jestem, mnie przypisać?.. Nie tom myślał i chciał powiedzieć, ino tylko, że jutro jadę do pierwszej lepszej chorągwi, zaciągam się na towarzysza i rangę oficerską, a z nią błogosławieństwo mojego pana ojca zdobędę i tą drogą prawą dojdę do posiadania jedynego dla mnie skarbu serca i ręki Michasi!

Niedosłuchawszy prawie słów moich, starzec

rzucił mi się na szyję, ściskał, całował, a napoły ze łzami i śmiechem prawił:

— Jakto ty, ty, zacny chłopaku, do tego miłujesz moją dziewkę, moją Michasię, że palestrant trybunału, mecenas z nabytą sławą, będziesz za prostego towarzysza, ażeby jej rękę zdobyć... nieszczęsnego ojca starość pocieszyć?.. O niech ciebie!.. niech was Bóg błogosławi!..

Nie czekając chwycił mię za rękę, a ciągnąc za sobą, wołał uradowany:

— Chodź, chodź synu, ja ci będę swatem, nie spodziewam się czarnej polewki!..

Ciągnął mię tak jegomość przez wirydarz rejenta i ową furtę zakazaną, a nieustannie, jak żaczek plótł wesoło urywane słowa:

— I ranga mosanie będzie i błogosławieństwo rodzica i weselisko i zdrowie Michasi! To poczciwie!...

A doszliśmy, a raczej dobiegli do domku, gdzie mieszkały niewiasty.

Tak smutny widok ścisnął mi serce: pani wojska modliła się klęcząc przed obrazem najświętszej Matki Bolesnej i jakby rozmawiała z tą swoją niebiańską towarzyszką. Michasia siedząc w kąciku otoczona kwiatami i ptaszkami wywoływała duszyczkę zmarłej siostry, a tak była pogrążoną w tem zajęciu, iż na nas wchodzących nie dała baczenia, oczu nawet nie zwróciła, jakby prócz kwiatków i ptaszków nic nie było na świecie.

Wojski wbiegł wesoło, jakby młody chłopaczek do komnaty, a do żony, która przerwawszy modlitwę uprzejmie nas witała, zawołał obcesowo:

— A my do jejmości w swaty.

— Mój mężu...

Wymówiła jakby z admonicyą te wyrazy, wskazując na córkę zatopioną w tej swojej kontemplacyi. Wojski z kolei podchodząc do Michasi, szarpnął ją parę razy silnie za rękę, mówiąc jej do ucha wysoko podniesionym głosem:

— Słuchaj asindźka!.. oto przytomny tu imć pan mecenas, patron trybunałów koronnych, deklaruje przez moje usta prośbę o twoją rękę, chceszli być jego żoną?..

Biedna dziewczyna padła jak długa na ziemię. Zdziwiło mię to jednak, iż rodzice zamiast zatrwożyć się, z radością smutną okoliczność powitali; a wojski dawał mi znaki zadowolenia.

Trwało omdlenie jakie minut dziesięć. Zemdlona sama się podniosłszy, powiodła po nas, jakby ze snu zbudzona, niepewnym wzrokiem, a potem pieszczotliwie zwróciła się do wojskiego:

— Coś tatko powiadał, nie zrozumiałam dobrze.

— Oj ty filutko — odparł rubasznie wojski — pytałem sobie tak nawiasem, czyli nie chciałabyś być żoną oto tego kawalera?

Zakończył wskazaniem na mnie.

Zapłoniła się dziewczyna i już zupełnie przytomnie rzekła.

— Tatko zawsze żartuje sobie.

— Ano to nie chcesz?

A zwracając się do mnie:

— Słyszysz waść, panna nas nie chce, to chodźmy zkądeśmy przyszli z rekuzą.

I ciągnął mnie ku drzwiom.

— Ale któż tatkowi to powiedział, ja przecie nic nie mówiłam?

— A no to znaczy, że chyba chcesz — ciągnął dalej nielitościwie wojski, nie oszczędzając konfuzyi dziewczyny.

— Zastaliście mię ichmościowie w rannym stroju, raczcie wybaczyć... zaraz się przebiorę.

I wybiegła z pokoju.

Zaraz tedy imćpani wojska spłakana podeszła do mnie, a całując w głowę, rzekła:

— Niech ci Bóg setnie nagrodzi mój synu, iżeś nam wybawił córkę, a smutną naszą starość uweselił.

Padłem jej do nóg sam spłakany.

— A dość tam tej łzawej kąpieli, bo ja się jeszcze rozbeczę. Chociaż co prawda, że chłop setny z naszego przyszłego zięcia, to setny, umie rąbać i miłować, toż mi dopiero szlachcic co się zowie!

Wesół był stary, jakem go nigdy nie widział.

Prawda, że i ja nigdy w życiu tak szczęśliwy nie byłem!

Poczekawszy chwilę, wojski poszedł do komnat niewieścich, a ztamtąd wyprowadził Michasię, śliczną a strojną, choć zapłonioną, ale szczęściem uśmiechniętą, piękną jak anioł.

Skoro weszli, zaraz wojski chwycił mię za głowę, pochylił ku ziemi i prawi:

— A no kawalerze submituj się imćpannie wojszczance, która cię raczy akceptować.

Padłem do nóg mojej narzeczonej, która, że się usunęła, znów wojski mnie podnosząc, zawoła wesoło:

— A kiedy nie chcesz pozwolić nóżki dawnym obyczajem, to chyba...

I głowy nasze łącząc, wyrzekł uroczyście:

— Niech was Bóg raczy błogosławić moje dzieci, jako ja was gorącem rodzicielskiem sercem błogosławię.

Pomimo, iż chciałbym opisaniem odnowić sobie w pamięci tę chwilę szczęśliwą, ale o ile boleść każda łatwo się namota na pióro, o tyle radość ucieka od wszelkiego ludzkiego obrazowania.

Myślę sobie: ja człek niedawno jeszcze mizerny, tułający się w przyswojonym habicie, dziś dać potrafiłem szczęście strapionym, pod strzechę długiem nieszczęściem nawiedzoną wlać nadzieję i otuchę...

O Panie! jakoś wielki jest w miłosierdziu Twem!

Nazajutrz po tym najfortunniejszym dniu w mojem życiu, trzeba było pomyśleć o przygotowaniach do podróży, do której mi było i pilno i nie pilno, bo odjechać Michasi było mi trudno, a znów tęskniłem do szczęśliwego momentu połączenia z nią na zawsze... Oj! byłażbo to walna dziewucha, bo to i serdeczna, jak na onej melancholii po siostrze dowód był jasny, a potem i piękna i edukowana!.. Warto było za jej rączkę potłuc się trochę w chorągwi.

Co prawda dotąd sobie żadnej chorągwi nie obrałem, a pomyślałem sobie, tak na los szczęścia, na chybił trafił, którą napotkam pierwszą lepszą, do tej się zaciągnę.

Pryncypalną było rzeczą najprzód jakoś urządzić jegomościa, boć to Bogiem a prawdą, cała ta machina jurysteryi naszej na mojej biednej głowie spoczywała; należało więc choć jako tako przysposobić manualistę, bo to już i reassumcya trybunału lubelska zbliżała się — grubo się nad tem wszystkiem zastanawiałem.

I któż powie, iż mój wybór padł powtórnie na kasztelanica, tego niegdyś zawołanego sowizdrzała?

Nie dlatego, abym go bardzo umiłował dla dzielnego animuszu i poczciwości serca, ale w istocie, iż posiadał on enutę wielką, czyniąc tak — „*et haec facienda et illa non omittenda*“, a jak można było, to prawda, że już pohulał, ale kiedy

trzeba było, to umiał fałdów przysiedzieć, a z rzeczą był głęboko obeznany i jegomość go dość nawiedząc, na mój wybór chętnie się zgodził.

Już tedy przy relacyach i recepcyi klientów asystowaliśmy wojskiemu we dwóch z kasztelanicem, jak niegdyś ja nowicyusz z poczciwym Sułdykowskim. A jegomość nasz jak dawniej bywał ponury, teraz stał się mowny, wesoły i facetus, że o ile kiedyś na relacye i recepcye szło się jak na pańszczyznę, o tyle teraz pilno nam bywało do nich.

Przez tydzień kasztelanic tak się zawinął koło roboty, a tak się usposobił, iż mogłem być spokojny o niego, iż wszystkiemu podoła i ostatni raz asystowałem przy recepcyi klientów, bo nazajutrz równo ze dniem miałem się puścić w drogę, a jak się wyżej rzekło, nieobrawszy dotąd chorągwi, na los szczęścia się spuszczałem.

Ale owoż co zaszło i jako odebrałem nowy, a cale niespodziany dowód łaski Opatrzności, za którą całym mizernym żywotem nigdy się dość Panu Bogu nie wysłużę.

Jak się rzekło, dawaliśmy audyencye klientom, a moja była ostatnią. Nie było dużo spraw, bo trybunał dopiero za parę niedziel miał się rozpocząć, więc i klientów było mało.

Nagle między innymi wsuwa się wysoka chuda figura w generalskim mundurze, ze szpiczastą głową w ogromnej peruce, a jakoś dumno i bu-

tno spoglądał, a przemawiał z wysoka, cale do siebie sympatyi nie budził.

Lubo imćpan wojski, jak to powiadałem, jeżeli komu okazował szczególną atencyę, to prędzej ubogim charłakom, magnatów z góry traktując, jednak dla jenerała był ze szczególną rewerencyą, zrazu nie zrozumiałem, co by w tem miał?

Był to jenerał-lejtnant Lubowidzki *), a przybywał w następnej sprawie, która krótko mówiąc, tak się przedstawiała: dobra na Ukrainie Nowochwastów i inne graniczące ze starostwem Białocerkiewskiem, które jak wiadomo w r. 1774 dostało się hetmanowi w. k. Branickiemu (Ksaweremu). Otóż dawniejsi dzierżawcy różnemi czasy wiele gruntów Lubowidzkiego zajęli, Branicki zaś składając się dawnością ziemską odwrócenia ich odbiegał.

Jegomość po wysłuchaniu relacyi jenerała, a rozpatrzywszy dokładnie przedstawione plany i akta, rzekł mu:

— Sprawy imćpana jenerała rad się podejmę i sukcesu się spodziewam.

— Dziękuję panu mecenasowi, a razem prosiłbym o poszczególnienie kondycyi?

— Takowe panie jenerale może się wydadzą

---

*) Lubowidzki pierwszy z jenerałów polskich, który w roku 1793 przeszedł do służby rossyjskiej, za co od cesarzowej Katarzyny orderem św. Aleksandra Newskiego ozdobiony. *Przyp. kopisty.*

za wysokie, lecz zaoponuję, że dla imćpana uciążliwemi nie będą?

— Jednakże?..

— Nic więcej, tylko waszmość pan raczysz wydać patent na oficera w jakiejbądź chorągwi oto dla tego kawalera imćpana Nikodema Nieświastowskiego patrona, mecenasa trybunałów koronnych.

Po tych słowach wskazał na mnie i otworzyły mi się oczy, co miała znaczyć ona przesadzona atencya dla jenerała, o którym wiedział, że był powszechnie nielubiany i famy dobrej nie zażywał.

— Jakto ten młody jegomość przerzuca się tak nagle z objęć Temidy do Marsowych uścisków?

Rzekł z pewnym przekąsem jenerał.

— Był towarzyszem w chorągwi imćksięcia Czartoryskiego — wtrącił p. wojski.

— Oto mi nie chodzi, był, czy nie był, patent na chorążego udzielić mogę.

— O nic też więcej nie idzie, mości jenerale.

— Chyba imćpan żartujesz, mogę to udzielić kawalerowi, jako mój upominek, aby chciał moją sprawę także popierać, to nie tak dużo kawałek pargaminu mosanie, ale raczy jegomość wyrazić dokumentnie, jakiego żądasz salaryum, życzyłbym sobie spisać o tem instrument, żeś się mojej sprawy podjął.

— I owszem mości jenerale, ale nadto żadnego salaryum nie wymagam.

— Czyliż to być może?.. oceniam tę sprawę na wartość 50 tysięcy czerwonych złotych, więc 1000 czerwonych złotych mogę bonifikować na koszta.

— Jeżeli w tem wola pana jenerała, to raczysz je obrócić na chwałę Bożą lub inne miłosierne uczynki, a mnie racz waszmość zezwolić być stałym co do pierwszego słowa.

— A skoro taka wola, więc niech będzie jak jegomość żądasz.

Co tu wiele powiadać, ugodę spisaliśmy co do obrony sprawy. Pan jenerał dziękował i był uradowany, że sprawę w dobre ręce powierzając, zbył się tanim kosztem.

Odjechał do miasta a za pół godziny jego ordynans przyniósł mi na ogromnym pargaminie patent na...

„Chorążego lekkiéj chorągwi partyi ukraińskiej“.

Laus Tibi Christe!

Z łaski najprzód Opatrzności Boskiej, a już to i przytomnego znalezienia się jegomości, wielką napełniliśmy się radością. Choć to *„propria laus sordet“*, ale moja droga Michasia była uszczęśli-

wiona, że na czas nieograniczony a niewiadomy nie rozłączymy się.

Co do mnie i słyszeć już nie chciałem o żadnej jurysteryi; kazałem sobie co rychlej uszyć mundur, szlify mi darował adjutant jenerała imć-pan Draczyński, z którym zaprzyjaźniłem się, chodziłem sobie po mieście pobrzękując szabelką a nucąc znaną żołnierską piosnkę:

„Wezmę ja mundur, węzmę ja mundur,
Szablę przypaszę,
Pójdę do dziewczyny,
Pójdę do jedynej
Tam się pocieszę!

O! bo moja Michasia była mi prawdziwą pociechą!

Ależ oto jeszcze ciekawa rzecz, jak to ludzie w onczas awansowali w rangach wojskowych zbijając bruki, ale co prawda nie mnie się to jednemu przydarzyło.

W parę dni wcale nie *ex officio* (bo mnie szlifa tak odrazu odrzuciła od prawa), ale z ciekawości siedziałem sobie w kancelaryi wojskiego przy audyencyi klientów, lubując się moim mundurem, gdy w tem wchodzi oficer meldując hetmana w. k.

Lubo jegomość nie był ceremoniant, szczegól-

niej z magnatami, ale wyjść wypadało na spotkanie takiego pana, pierwszego dygnitarza w wojsku Rzeczypospolitej. Ja z dawnej mojej praktyki znając regulamin wojskowy, wyciągnąłem się w kąciku jak struna.

Imćpan mecenas z należytą rewerencyą wprowadził JW. hetmana. Był to mężczyzna wspaniałej postawy, miłego a otwartego oblicza, w ruchach żywy, w mowie prędki, a raczej trzymał się ze szlachecka, niż z pańska; powiem, iż nie zważając na jego czyny polityczne jako dygnitarza, wcale mi do serca przypadał. Rozumie się, że stałem wyprostowany na uboczu, jak regulamin nakazywał, nie mieszając się do dyskursu, który hetman tak rozpoczął, a z prosta wcale bez fantazyi:

— A ja tu do jegomości z prośbą o patronat w sprawie z Lubowidzkim.

— Jest mi wcale niemiło nie stawić się na rozkazy jw. hetmana, ale na nieszczęście antagonista już go ubiegł i z urzędu mojego jego sprawy bronić deklarowałem się, co mi jw. pan za złe poczytać nie raczysz — prawił wojski z respektem.

— Co, jegomość człek znany z mądrości i statku podjąłeś się sprawy tego?..

— Obowiązek prawnika służyć każdemu na wezwanie jako lekarz...

— Ciekawy jestem jakie salaryum ten „czaban“ *) waszmości przyobiecał?

— Jw. panie, lubo z pracy żyję i opłacanym być mogę, ale kupionym nigdy — odparł godnie wojski z pewną intonacyą urazy.

— Jegomość widzę gorączka — podwycił hetman — czy to ludzie nie znają waszej prawości, ot pytałem sobie przez ciekawość, co ten skąpy „czaban“ mógł wam ofiarować?

— Skoro tylko o ciekawość prostą chodzi, to powiem jw. panu, że jenerał bardzo mię hojnie opłaca — rzekł wojski uśmiechnięty.

— A no proszę cię powiedz, to ja za to wyjawię ile miałem na myśli, a z góry się założę, iż więcej.

— Na rozkaz jw. pana nie chowam tajemnicy, iż imćpan jenerał jako moje honoraryum zaszczycił rangą oficerską, oto tego kawalera, a mojego przyszłego zięcia, którego jw. panu mam zaszczyt polecić.

Po tych słowach wskazał na mnie wyprostowanego w kącie.

Hetman wybuchnął śmiechem i rzekł:

— A co nie mówiłem, że ja dam więcej, czego ten „czaban“ dać nie może, bo on go tylko

---

*) „Czaban“ — tak zwą pastuszków ukraińskich, to imionisko posiadał powszechnie nielubiony Lubowidzki.

Przypisek autora.

zrobił chorążym... cha! cha! cha! chorążym i to niezawodnie chorążym lekkiej chorągwi, bo na więcej takiego czabana nie stać — wielka sztuka!..

A zbliżając się do mnie, uderzył po ramieniu i rzekł:

— Mości chorąży! winszuję waćpanu rangi rotmistrza i to „rotmistrza znaku hetmańskiego“, pofatygujesz się do mnie na zamek po patent... Tylkoż proszę cię pamiętaj, że ja to potrafię dać w piątek, czego „czaban“ ci nie da i w niedzielę.

A do wojskiego rzecze:

— Żal mi prawdziwie waćpana, że przy pierwszej, a wielce mi miłej znajomości, muszę powiedzieć, że przegrasz sprawę, bo Branicki nie da się zjeść „czabanom“ w kaszy... Ale, ale, u was jurystów zdarzają się sekty, co myszką trącą, czy nie wartoby tak za zdrowie nowego rotmistrza hetmańskiego znaku!..

— Skoro jw. pan łaskaw tyle na mnie, mam coś, czem mogę się pochwalić.

I kazał wojski dać wina, wychyliliśmy cały gąsior, hetman to lubiał, a bawił przeszło godzinę, był niesłychanie miły i uprzejmy, a wcale nie dał uczuć rankoru za to, że jegomość podjął się sprawy antagonisty.

Prawdziwie, że takiego pana ze szlacheckiem zacięciem, widzieć mi się nie wydarzyło.

Przed wieczorem patent na rotmistrza już miałem w kieszeni i to patent z podpisem królewskim, gdyż hetman miał takowe *inblanca.*

Miły Boże! w cóż to się obróciła nasza wojskowość, z której tak słynęliśmy dawniej? Przecież to rotmistrz wysoka ranga, a król sam bywa rotmistrzem niektórych chorągwi; na mnie zaś spłynęły dwie tak niegdyś zaszczytne rangi oficerskie za nic... z fantazyi i rywalizacyi dwóch panków.

Ktoby był ciekaw, to opowiem koniec tej sprawy, która wszystkich bardzo zaciekawiała, jak zazwyczaj, kiedy się dwóch magnatów pomiędzy sobą tażało.

Na nadchodzącą reassumpcyę trybunału obadwaj panowie Branicki i Lubowidzki zjechali do Lublina dla atentowania sprawy; pierwszy bywał nawet częstym gościem u wojskiego, nie zważając, iż ten był prokuratorem jego kompetytora, a to raz dlatego, iż bardzo polubił naszego jegomościa, a potem i z tej racyi, żeby Lubowidzkiemu przeszkadzać w widzeniu się ze swoim prokuratorem; jenerał bowiem unikał Branickiego, bo według dyscypliny wojskowej, przy spotkaniu jako młodszy, przed hetmanem musiałby salutować i oddawać honory wojskowe

Jakoż jegomość wziął do serca, aby tę sprawę

polubownie załagodzić, a iż to się działo za marszałkowstwa imćpana Kickiego starosty ryceńskiego, który acz nie wielki jurysta, atoli słynął jako pojednawca, jak się wzięli z wojskim, jakoś ich tam sprowadzili i ogromny ten zatarg zakończył się w ten sposób, że ziemię odpadłą do starostwa Branicki wedle taksy skarbowej bez kalkulacyi w przeciągu lat dziesięciu miał opłacić; stało się tedy tak, że i „wilk syty był i owca cała“.

Pan hetman tedy jegomości za tę przysługę, bo prawdopodobnie sprawęby przegrał i z kalkulacyą płacił — darował piękną wiedeńską kolasę i cztery białe ogiery z uprzężą, a przytem pytał:

— A co mój miły wojszescenin, czy nie mówiłem, że zawsze dam więcej niż ten „czaban“, chociaż jego sprawę atentowałeś, on cię zbył „oślą skórą“ (alluzya do patentu na pargaminie, który jak wiadomo robi się z oślej skóry).

I w rzeczy samej, że Lubowidzki nie znał się więcej na grzeczności, a nawet niewiadomo co się stało z onem 1,000 czerwonych złotych, które wojski na dobre uczynki destynował — bo przez samą galanteryę mógł był zdać z nich rachunek; wszakże to już na jego sumieniu.

Nie byłem przy końcu onej sprawy, bo nazajutrz po otrzymaniu patentu na rotmistrza, nie spodziewając się dalszego awansu wojskowego

pospieszyłem do domu, bo spieszno mi było pocieszyć pana ojca, zdobyć jego błogosławieństwo, a z niem osiągnąć cel najwyższy moich życzeń, najukochańszą moją Michasię!

Drogę odbyłem spiesznie i szczęśliwie, chociaż mi się zdawało ciągle, że lezę jak na raku.

Było to pod wieczór jak zeszłym razem, pana ojca zastałem jak i wtedy siedzącego przed bramą, a przy nim stał Macierzański, coś tam sobie dyskurowali jak zawsze, a może dysputowali, bo już to zawsze, pomimo miłości, w kontrze bywali co do opinii.

Skoro dojrzałem z daleka pana ojca, o kilkanaście staj kazałem konie zatrzymać i przez należną rewerencyę synowską doszedłem pieszo, trzymając on patent rotmistrzowski w ręku, który tym końcem miałem na pogotowiu w puszce blaszanej, którą kazałem sobie dla lepszego zachowania przyrządzić.

Dobiegłszy do pana ojca padłem przed nim na kolana i obłapiłem za nogi, a patent zawsze przed sobą trzymając. Jak powiadałem ojciec mój już trochę niedowidział, więc schwycony z nienacka ozwie się do Macierzańskiego, stojącego obok:

— A co to, kto to, czego chce?

Ja nie czekając na to, gromkim głosem, a zawsze klęczący:

— Rotmistrz znaku hetmańskiego. z respektem, a czcią powinną synowską dla ojca jegomości!

— Co! Nikaś rotmistrzem!.. Boże wielki bądź pochwalony i błogosław mego najmilszego jedynego syna!

Zawołał ojciec oblewając się łzami radości, a podjąwszy mnie z ziemi, jakby dziecię z kolebki, począł tulić i piastować, jak niegdyś. Skoro się nacieszył mną, a uspokoił:

— A cóż to za papier? — spyta.

— To patent panie ojcze na rangę.

— A co Macierzański, a gdzie głowa, do pozłoty chyba, ha? za karę czytaj mi tu waść na głos co napisano.

Macierzański włożywszy okulary, rozpoczął jąkając czytanie od słów jakie były: — „My z łaski Bożej“ etc. aż skończył na podpisie — „Stanisław August król“.

Ojciec uradowany ściskając mię na nowo, wołał:

— A widzisz Macierzański, ty kapuściana głowo! uważaj, że to sam król mosanie, to gdybym był ciebie posłuchał, byłbym z mojego jedynaka zrobił jura i kauzyperdę, a z gęby cholewę; rotmistrz to mi rzecz, co w razie czego wojny, toby nas mosanie obronił, a kauzyperda to tylko waśnią ludzką żyje, łzami a krzywdą. I ty po wiadasz, że masz rozum, kiedy nawet nie umiesz

sobie poradzić z onemi paroma włokami gruntu, co z młynem a stawkiem, tak po głupiemu włażą do twojego przysiółka; atbyś poprosił imćpana rotmistrza hetmańskiego znaku, rozumiesz ty stara wygo, *hetmańskiego znaku!* toby ci darował, bo od dziś wszystko to jest imćpana rotmistrza... czy rozumiesz? Zwołaj mi tu całą czeladź i gromadę, a przygotuj suty traktament i zadeklaruj im to... a wara, żeby tu kogo innego słuchano nad pana rotmistrza... a dla pamięci zapisz to sobie węglem na kominie: „iż kiep jest, kto z gęby cholewę robi“, a to tak niby chciałeś, hę! oto mam twoje *sensum quintum!*

Nie potrafię opisać żywej radości najdroższego pana ojca mojego i szczerze Bogu dziękowałem, że w miłosierdziu swem niezmierzonem zesłał nam ją, bo i w rzeczy czemem się ja do tego przyczynił?

Dom już nasz prawie obumarły odżył na nowo; pan ojciec rozesłał inwitacye do wszystkich sąsiadów, a bankietowali przez dni kilka. Słowem cała parabola z Pisma św. „o marnotrawnym synu“ co do joty się teraz na mnie powtórzyła.

Skoro się nakoniec uciszyło, przystępowałem nieśmiało do najważniejszej kwestyi małżeństwa, nie przewidując, iż nietylko w tej mierze oporu nie doznam, ale wielką radość panu ojcu spra-

wię, bo ściskając mnie i okrywając pieszczotami na nowo, wołał uradowany:

— O Boże! jakeś łaskaw i tą jeszcze niespodzianą pomyślnością starość moją pocieszasz! A cóż to się waść mnie jeszcze pytasz. Rotmistrz i to *hetmańskiego znaku*, nie ma się nikogo pytać, a ta, którą zaszczycił swoim wyborem, nie musi być ladajaka podwika, ale pewny jestem, iż będzie jego godną. Jutro zaraz jedziemy, niech co prędzej poznam tę miłą córkę, a rotmistrzównę hetmańskiego znaku do ojcowskiego serca przycisnę!

Dom się przewrócił do góry nogami, całą noc dwór nie spał, do paradnej gotując się podróży, a równo z dniem wsiadaliśmy z ojcem do kolasy, wyruszając w drogę do najdroższej Michasi!

Pan ojciec zwróciwszy się jeszcze raz do Maciarzańskiego, który nas czule żegnał, a mnie błogosławił, nie darował swego i wyrzekł z przekąsem:

— Taki przyznaj stary wygo, że to twoje *sensum quintum* djabła warte. Ta mosanie co innego i Panu Bogu dziękuję, że do samej śmierci „z gęby cholewy nie zrobię“...

I tyle jest rękopisu palestranta.

KONIEC.